



(1)

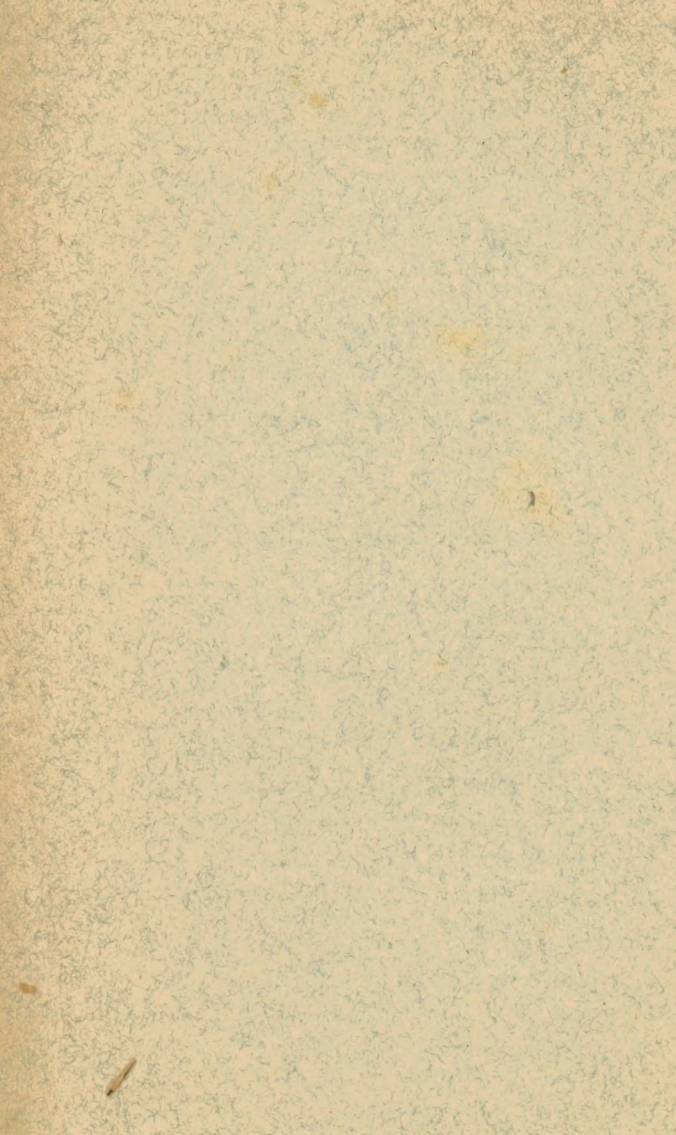
A. C.

Jan 1

18

2





MORITURI.



# MORITURI.

POWIEŚĆ

W DWÓCH TOMACH

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

**TOM II.**

WARSZAWA.

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

1875.

Дозволено Цензурою.

*Варшава 18 Апрѣля 1874 года.*



106313

---

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki, Nr. 2406 (3).



Morituri vos salutant.

Wieczór pierwszych dni jesieni słotny i chmurny, opustoszył zupełnie Winiary; zawczasu zaczynały po domach pokazywać się świeczki, bo ciemność nadchodziła wcześniej niż była powinna; na ulicy zato żywego nie spotkałeś ducha, wszystko się do domów skryło. Jednostajny szmer wody, ciekącej strumieniami z rynien dachów, przerywał ciszę wieczorną. Zanosilo się na długą ulewę. Dla mieszkańców niebrukowanego w większej części przedmieścia, których domy połączone tylko były gdzieniegdzie na przepascistych miejscach pokładzionemi cegłami, słota była bardzo dotkliwą, a błoto nieprzebrnione prawdziwą klęską. Każda téż postać, która o szarym mroku ukazywała się w ulicy, obudzała żywą ciekawość i stary Zelmanowicz z wielkiém zajęciem wpatrywał się w słusznego

wzrostu draba, który, pokrywszy głowę połą opończy, zwolna brnął po błocie wprost ku Firlejowszczyźnie.

Nie była to godzina, w której pan Zembrzyński przyjmował. Wprawdzie w dwóch oknach jego mieszkania słabe widać było światelko, był więc w domu—ale kto mógł do niego iść w godzinę?

Zadanie to zajmowało tak żywo Zelmanowicza, iż wyszedłszy do sieni, od wrót jeszcze przypatrywał się idącemu; nie więcej wszakże nie zobaczył oprócz szerokich jego pleców, które wsunęły się między kupy śmiecia dom okalające i dopadłszy drzwi, w nich znikły. Zelmanowicz wyczekał kilka minut, ażeby pewnym być iż ów gość nocny został przyjęty, i wrócił, zapisując sobie tę ciekawą okoliczność, że stary lichwiarz po nocy podejrzanych ludzi do siebie ściągał.

W istocie odwiedziny te w porze niezwykłej były wszakże spodziewane. Zembrzyński palił świecę i nie kładł się; wyglądając oknem niekiedy, chodził po izbie, czekał, a gdy w sieniach posłyszał chód, otworzył drzwi, aby drogę wskazać przybyłemu. Ten, otrząślny się z dżdżu i błota, wkroczył przez próg i stanął, lekkim pozdrawiając ukłonem dziedzica Firlejowszczyzny.

— No—spóźniłeś mi się, panie Marcynie—rzekł gospodarz — ale trudno inaczej, kiedy droga się popsuła.

— Oślizła i rozwilgła, a to takie gliny, odchrząkując począł przybyły — konisko nieszczerólnie i — roboty było téż dosyć.

— A masz wszystko co potrzeba?

— Co można było napytać, to wiem. We dworze, co prawda, nie byłem, bo się nie mogę pokazać, ale ja tam swoich mam i wszystko się wie.

— Cóż się tam dzieje? co? ciekawie jął rozpytywać Zembrzyński; mów od początku do końca, mów wszystko, bo każda rzecz się przydać może, choćbyś ty tego nie rozumiał.

— To się wie! skrobiąc się po głowie, zaczął przybyły, ino ja tak przy drzwiach stać nie mogę, bo mnie téż i nogi stare bolą.

— To siadaj.

Zembrzyński podsunął jedyny stołek swojemu gościowi. Ten, poły zawinawszy, siadł — ciekło z niego jak z rynny.

— Teraz pytajcie, rzekł, bo któż jego wie co wam gadać.

— Księżę młody wrócił z Warszawy? poczęło się badanie.

— Wrócił, potajemnie, wieczorem; chowali go do rana, nocował u Gozdowskiego, potem zaprowadzili do ojca. Gniów słyszę na hrabiego wielki.

Zembrzyński się śmiał w sobie i zatarł ręce.

— Dalej co? nie odebrali tam jakich wiadomości?

— Musieli odebrać, bo i po sufragana posłali, i narady były, i krzyczeli, i hałasowali, i na

tém pono stanęło, żeby wierzycieli wezwać do układów.

— Aha! wierzycielil począł się śmiać Zembrzyński—wierzycielil! no to dobrze, a co więćej?

— Przyszedł list od hrabiego, co mało nie ubił słyszę apopleksyą starego pana, taki go guiów opanovał.

— Od kogo?

— A od tego hrabiego.

— Więćej-że nic?

— Frasunek wielki, wszyscy chodzą jak struci. Starego obalamucili podobno i nic nie wie—spokojny.

Znowu gospodarz śmiać się począł do siebie.

— Widzicie, że co mnie było przykazano i com był powinien, tom wszystko wywiedział się i przyniósł — rzekł przybyły. — Wierzyciele mają zjechać, a już tam nie wiem co oni z nimi za układy rozpoczną, kiedy niéma co układać. Alem ja jeszcze się czegoś dowiedział, *extra*, i myślę że za to powinienem dostać od was kubana, bom się dlatego i przypóźnił, a jestem pewny że to się też na coś przyda.

— He? co? podskakując ku niemu, zapytał stary, co? co?

— Jak się to już wszystko skończyło, radzili, uradzili, a już miało się jechać nazad, dają mnie znać że Gozdowski się do Lublina wybięra. Choć to ja Gozdowskiego niebardzo się obawiam, żeby

co mądrego wymyślił, ale zawszeż ostrożność nie zawadzi, pomyślałem. Jedzie on do Lublina, pociągnę ja za nim zdala i powącham czego to on tam ciągnie. Tak się i stało.

— Był w Lublinie?

— A był, ano posłuchajcie i kubana mi nago-tujcie, dalipan jest za co. Stał Gozdawa w hotelu, a jam na tyłach się z wózkiem uczeplił. Drugiego dnia jedzie on, ruszyłem i ja. Dokąd, do Skoków, do Garbowskiego. A no! to wiem co się święci. Dowiaduję się, a to jego cioteczny. Dobrze, trzeba się pilnować. Wrócił Gozdawa nad wieczór, ja za nim jak cień. Późno w noc syn Garbowskiego hulał, Gozdowski z nim; pili wino i bardzo się kochali. Drugiego dnia starego na obiad prosił. Kazali nakryć na górze w osobnym pokoju, ale było przepierzenie, że można ich było słuchać i słowa nie stracić. Dopieroż okazało się że Gozdowski krewniaka umawia, żeby dał pieniądze na wykup majątku i złote góry mu obiecuje... A co.

Zembrzyński tak się zbliżył do mówiącego, że o mało mu na kolana nie wlaźł; oczy otworzywszy, ustami krzywił, brwiami rzucał, a w całej twarzy ciekawość natężona się malowała.

— Cóż on na to, ten swiniopas? w gniewie rzucił Zembrzyński.

— Nie głupi on, choć świźmi handlował, ho! ho! dobrze Gozdowskiego wymacał i wypatroszył

—dobył mu prawdy z pod wątroby, poprowadził do adwokata, rozpatrzył i dopiero...

— Jakto? pieniędzy dać obiecał? krzyknął Zembrzyński, łamiąc ręce—osieł stary! pieniędzy dać!—a to już głupszego niema człowieka na świecie, a to...

Wyrazów mu nie stało.

— Któż go wie, tego Gozdowskiego, czém on go wziął? coś szeptali i o synu. To wiem że Garbowski ma z sobą Zygmunia swojego zabrać do Brańska.

Zmarszczywszy brew i pofałdowawszy czoło, podniósł pięść do góry Zembrzyński.

— Niedoczekanie wasze! zawołał! niedoczekanie! z tego nic nie będzie, albo mnie diabli wezmą! To ja całe-m życie pracowałem, aby się dobić do tego, a oni mi mają z przed nosa chwycić! Niedoczekanie! to nie może być, ja tego nie dopuszczę!

Postrzegł się dopiero, wygadawszy tak gorąco Zembrzyński, że się niepotrzebnie przed swym pomocnikiem zwierzał i uciął. — Poszedł chmurny po izbie kroczyć gorączkowym krokiem, mruczając:

— Niedoczekanie wasze! ten stary gagatek gotów mi wszystko zepsuć.

— Ja się dopominam kubana — nielitościwie przypomniał się posłaniec—dalibóg zem wart!

— Ani słowa, choć kułakiem za taką wiadomość radbym zapłacić—ale co ty winien—przer-

wał Zembrzyński. Niech ci Bóg zapłaci żeś mię ostrzegł. Rubla dam! rubla dam!

— Mało, mało, panie bracie, dwa dni zjadłem i podedrzwiami słuchałem.

— No, to się pogodzimy, daj ty mi teraz pokój, syknął Zembrzyński. Czy Gezdowski odjechał?

— A cóż, zaraz ruszył do domu.

— Kiedy się im Garbowski obięcał?

— Na zjazd.

— Na zjazd! począł się śmiać Zembrzyński — to jest czas, żeby tego niedopuszczyć. Zachciało się staremu świniopasowi o książąt się ościęrać! Ale co oni mają do stracenia? gotowi wydać księżniczkę za tego łotra, sprzedadzą rodzone dziecko, byle się im mitra świeciła, a państwo było czem utrzymać, a ludziom było czem oczy zamydlić! Zdarzało się i to — ale niedoczekanie, niedoczekanie!

— Jegomościuniu? odezwał się przybyły.

— A co?

— Jam tu się do was wybrał nocować.

— Co? toś chyba oszalał—gdzie? u mnie jedno łóżko, a Stroczycha śpi na garści słomy; w całym domu kąta nie znajdziesz.

— I po błocie nazad na Grodzką? a to niechże was...

— Cichoż no—cicho—milczałbyś, zagniewany dodał Zembrzyński, już przenocujesz, pal cię li-

cho; ale żebyś ty mi nie gadał o tém, żeś u mnie tu noc przepędził.

To mówiąc z pod siennika dobył kluczów i wysunawszy latarkę z komina, zapalił ją.

— Chodź, rzekł—ja mam co do roboty; znajdę ci w pustce dziurę, ano i o tém gadać nie trzeba.

Drzwi od podwórza zamknawszy, aby światło nie zdradziło ich, gospodarz otworzył wrotka, które wniście na górę zamykały. Wschody wiodące na piętro były całe, ale drzwi do pustych już sal z pozabijanemi oknami ani śladu. Wiatr chodził wszędzie swobodnie. Grobową pustką wiało od murów, na których pasami zielonemi wilgoć zalegała od góry do dołu. Kto inny byłby może się uląkł tych ruin, tylko nie ów posłaniec Zembrzyńskiego, człek znać bywały i na wszystko obojętny... Szedł ze swym przewodnikiem, głowę tylko podnosząc do góry i rozpatrując się w pięknie przyozdobionych stropach, na których zblakłe malowania widać było.

Przeszli tak kilka sal. Wszędzie drzwi, znać popalonych, brakło. Naostatek do ściany na pozór gładkiej się dostawszy, Zembrzyński kluczem w nią pocisnął jakiś gzymsik i część muru się otworzyła. Tu znajdowała się kryjówka tak zręcznie utajona, iż jej, obchodząc cały dom, domyśleć się nie było podobna. Szklane okno zakratowane w dachu oświecało z góry spory pokoik, najlepiej zachowany z całej ruiny. Zdało się jakby wczora dopiero



wynieśli się ztąd dawni mieszkańcy. Izdebka była białą wymalowana i złocona, z kominem marmurowym, nad którym w murze błyszczało zwierciadło stare, a na ramach jego czepiały się amorki i wieńce. Wgłębienie w murze zawierało łóżko żelazne, z materacem wyżłobionym. Na prętach pochyłych trzymała się jeszcze osłaniająca je niegdyś piękna, lecz wypłowiała makata, po rogach były marmurowe stoliczki, a w ścianach domyślać się należało szafek tak misternie skrytych, iż ich spojeń oko nie dojrzało. Podłoga kamienna, wysłana była sukniem szarém, już wytartém. Innych tu sprzętów nie znalazł gość. Na kominie stał kagamek, który gospodarz zapalił.

— Jeśli się nie boisz, to śpij tu, a jutro rano do dnia przyjdę po ciebie.

— Czegobym się miał bać? odparł drab—umorzyc mnie i zamknąć tu nie macie powodu. Ciepło dosyć, posłanie niezgorsze. Światło mi zostawicie.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

— Ale słuchaj, Jałowcza, odwracając się ku niemu, szepnął Zembrzyński, jak ty mi komu słowo szepniesz o kryjówkach na Firlejowszynie...

— Komu? na co? co ci się śni, mój dobrodzieju, zaśmiał się Jałowcza—skarbów-że tu niema, bo swoje pewnie chowacie gdzieindziej. At—myślcie o kubanie—i—śpijcie spokojnie.

Gdy powiedziawszy to chciał się jeszcze poże-

gnać z gospodarzem Jałowcza i odwrócić ku niemu, bo wprzód się po izbie rozglądał—drzwiczki się już zamknęły i znalazł się sam, z kagankiem płonącym na kominie. Osobliwsza rzecz, że ze środka nawet dojrzeć nie było podobna którędy Zembrzyński wyszedł, tak owo potajemne wejście dobrze w scianie było ukryte. Jałowcza wcale się nigdy w życiu niczego obawiać nie miał w naturze i zwyczaju, przecież w piérwszej chwili jakiego dreszcze przeszły, gdy się znalazł w tój zewsząd zamkniętej izbie, jakby zamurowanym.

— El gdyby tu o mnie stary zapomniał, rzekł, śmiejąc się, — tobym sobie zasechł jak w grobie. A no, nie—dodał, podnosząc głowę, jest okno na dach; wysokie, to prawda, alebym się dostał do niego i wylazł na świat.

Uspokoiwszy się w ten sposób, poszedł pomać materaca na łóżku i znalazł go aż nadto wygodnym.

Jałowcza całe życie swe wielce ciekawością grzeszył, nie mógł więcej i tą razą z taką osobliwszą kryjówką, do której go los zaprowadził, nie poznać się! Przy tój więc sposobności począł obchodzić ją z uwagą wielką, przypatrując się złoconym gzémsikom, figlom i wykrętasom na murze, niemal każdej szparce w drzewie. Tak badając kryjówkę, za zasłoną zieloną która łóżko osłaniać miała, domacał się stolka wysokiego, skrytego za nią, znać tu pocós wniesionego, nie mogąc

jego użytku odgadnąć. Były to widocznie niby wschodki, po których się gdzieś dostawać musiało... Ciekawością tknięty, zdjęwszy kaganek, śledził dalej: dokąd te wschodki posuwane być mogły. Po suknie wytartém ślad od nóg prowadził ku bocznej ścianie.

— Po coś to on tu łazi, ten stary lichwiarz — rzekł w duchu Jałoweza; nie okradnę go, bo tego we zwyczaju nie mam, i gdybym kradł, dawnobym w siermiędze nie chodził — ano ciekawa rzecz, dalipan, co on też tu chowa?

Zaczekawszy trochę i pewien, że Zembrzyński na dół powrócić musiał, Jałoweza posunął owe wschodki ku ścianie za śladem, przystawił je do niej, ale ściana była tak gładka i podobna do innych, że jój o żadną schówkę posądzać się nie godziło.

Ciekawy człowiek, który wszystkich rzemiosł próbował, jał się przypatrywać, dobył z kieszeni podróznego trzosa różnych narzędzi i dłutkiem jał macać tu i owdzie.

Nie wszakże nie odkrył i miał porzucić to podglądanie cudzych tajemnic, gdy w murze dostrzegł zabelonego gwoźdźcia główkę tak wpuszczoną, że jój zrazu widzieć nie było można. Pocisnął ją palcem i skrzydło szafki misternie w mur wpuszczonej, zlekka się uchyliło.

— Aha! pdezwał się — otóż to tu skarby swe

chowa mój kochany pryncypał. Zobaczymy co też ma.

Szafa otwarła się łatwo, a w jej wnętrzu ciekawe oko Jałowczy dostrzegło tylko mnóstwo nagromadzonych kupkami różnych papierów, jak w archiwum jakimś rozłożonych porządnie. Ani pieniędzy, ani worków, ani żadnych kosztowności tu skrytych nie było. Z wyjętych plików, według lat poskładanych i ponumerowanych, znać było że do interesów służyły. Kontrakty, kwity, nabycia, umowy, registry, okazywały bardzo rozległe stosunki pieniężne z różnemi domami i czynną spekulacją na dobra, pod różnemi imionami prowadzoną. Najczęściej trafiało się nazwisko Dawida Salomsona, z którym znać Zembrzyński największe miał stosunki.

Nasyciwszy ciekawość, Jałowcza poukładał na miejscu papiery, a śladu naruszenia ich nie było. Dotarł tak aż do najpierwszego roku, od którego poczynąła się coraz rosnąca potem działalność Zembrzyńskiego. Tu na samym spodzie leżała książeczka oprawna w papier siwy, wytarty, na którym zapisany był rok 1795 prawie studencką ręką. Otworzył ją Jałowcza i sądząc że znajdzie registry, trafił na rodzaj dziennika.

— A już co temu, to nie daruję, żeby nie przeczytał, zawołał, biorąc ją ostrożnie tak, żeby wiedzieć gdzie ją ma później położyć; przynajmniej raz dobadam się z kim mam do czynienia.

Dla wszelkiego bezpieczeństwa, obawiając się by gospodarza niepokój jaki w nocy nie przywiódł, przymknął Jałowcza szafę, wschodki za makaty schował, a sam kaganek wzięwszy i książkę, położył się na łóżku i czytał co następuje:

U góry stało kręconemi głoskami, z kaligrafiicznymi ozdoby, zdradzającemi studenta, wypisane: *Ad majorem Dei gloriam*; potem powtórzony był rok 1795 i data dnia pierwszego stycznia; dalej już sporem literami, niedawno emancypowanemi z pod dwóch linii, zaczynał się niby dziennik.

„1795 r. d. 1 januarii. Gdy taka jest rzeczy ludzkich kolej, iż wszelkiego człowieka na ziemi pamięć się zacięra, postanowiłem, dla własnego lepszego przypomnienia i rachunku sumienia, oraz ku nauce i pożytkowi tych, którzy to czytać będą — notować coby mi kolwiek w życiu godnego zapamiętania przydarzyć się mogło.

*Ultimo decembr.* Przybyliśmy z jegomością księciem szambelanem do Brańska, gdzie na przyszłość stałą rezydencją obiera. Pałac bardzo wspinały i obszerny, lecz zrujnowany i opuszczony, tak że kilka tylko pokojów na dole mieszkalnych zostało, gdzie tymczasowo się pomieszciliśmy. Księżna jejmość naówczas dopiero przybędzie, gdy już wszystko będzie gotowe. Posłano po rzemieślników do K. Niewygoda wielka, zwłaszcza po Warszawie; księżę jegomość chce jednak sam tu być,

aby się na sługi nie spuszczać, boby pałac restaurowali do sądnego dnia.

*15 januar.* Taki pośpiech we wszystkiém i roboty nawał, że nikt nie może wydołać temu, co po nim książę wymaga. Powszechnie skwiérczą. Mnie téż dla téj służby ani dnia, ani nocy, ani spoczynku niéma, chodzić trzeba jak w pługu. Używa książę pan i na posylki, i do pióra, i do dozoru. Nie lepiej innym; Panie Boże daj, aby się to raz przecie skończyło. Wczorajszego dnia w sali odbicia młotami stary sufit ze szczętem padł i dwóch ludzi przygniotło, ale śmierci, dzięki Bogu, nie było.

*5 februarii.* Przybył w odwiedziny ks. kanonik, brat księcia jegomości, trochę ułomny, ale powagi wielkiej człowiek; może téż odetchniemy, choć dla gościa.

*20 marca.* Nie było czasu nawet zapisać sobie *pro memoria*, cośmy tu przebyli z tą zimową około domu robotą. Istne piekło. Księżciu się śpieszy, ani chce wiedzieć, że ludziom ręce marzną i spocząć téż trzeba. Pracuje téż on sam, acz tylko oczyma, a tak się stał niecierpliwym, że lada co go do gniewu pobudza. Panie Boże strzeż, aby mu się nie narazić, bo już kilku odpędził precz. Ks. kanonik przed Wielkanocą odjechał, znowuśmy sami.

*Maj.* Robota około pałacu idzie bardzo pośpiesznie, mówią że wielkie summy kosztować będzie,

ale księżętom w lada jakich pokojach mieszkać się nie godzi, musi wszystko być jak dla stanu ich przystoi. Zjechał teraz na czas pan pułkownik w odwiedziny, znowu tedy księżę nie sam. Pułkownik piękny ma mundur i wojskową postawę, a znać w nim żołnierza, miło nań patrzeć. Powiadają że ślubował nigdy się nie żenić i do takiego należy zakonu, co razem żołnierską służbę odprawia i Panu Bogu służy. Słyszałem jak stary Jackowski tłumaczył, iż ks. kanonik i pułkownik wyrzekli się świata, aby całe dobra przeszły na głowę szambelana.

*R. 1796.* Nie było czasu pisać, a i co zapisywać nie miałem. Trochę zelżała służba dworska, bo roboty około pałacu mają się ku końcowi. Już tylko stolarze, pozłotnicy i ślusarze pracują, a malarze kunszty swe na ścianach i stropach wyprawują dziwnie pięknie i misternie. Księżna pani spodziewana w maju. Ma też nastąpić zaraz i uroczyste poświęcenie odnowionego pałacu, i wielkie przyjęcie a bale na inkrotowiny. Księżę na mnie wciąż krzywo patrzy, ani wiem dlaczego, bo mu się akomoduję jak umiem i mogę. Byle najmniejsza rzecz, zawsze coś od niego oberwać muszę.

*Czerwiec.* Odwiedził mnie ojciec, anom się darmo ucieszył. Myślałem że mnie ztąd weźmie; skarżyłem się mu że łaski u księcia jakoś nie mam; nic nie pomogło. Powiedział: staraj się, błaznie, zasłużyć na nią. Kazał w miejscu zostać i jeszcze

podobno sam księżdz prosił, aby surowo trzymać mnie kazał. Chyba łaska Boża przyjdzie mi w pomoc, ażebym się utrzymał i wytrzymał, tak mnie już teraz w kluby wezmą. Pojechał ojciec, zostawiwszy talarów dwa i tynfa.

*Grudzień.* Coraz gorzej. Jak się marszałek dopatrzył tego, że mnie ksiązę nie lubi, jeździ po mnie jak chce. Szesnaście lat kończę, a za ucho kręci — trudno i znieść. Panie Boże daj cierpliwość i wytrwanie! Na nowy rok słyszę barwy nowej nie dadzą, chyba pod Wielkanoc, a co mnie, to i zwykły podarek minie, bo już tak pan marszałek osądził.

*1797 roku.* Odebrałem wiadomość z domu najsmutniejszą, jaką w życiu mieć mogłem. Dnia 7 stycznia dobry ojciec nasz, Panie świeć nad duszą jego, skończył w Mokrzyńcu, o godzinie czwartej z południa. Nie zastało po nim ino trochę ruchości, które w testamencie są wszystkie pominięte. Brat mi pisze, że mnie sygnet z krwawnikiem, który na palcu zawsze nosił, przeznaczył, *item* delią starą lisami podbitą z kołnierzem z kun, pas słucki, parę pistoletów dla parady, szablę w jaszczur oprawną dziadowską i pościeli dwoje. Gotowemi pieniędzmi z działu wypada talarów 27, tynfów dwa. Wolny jestem co z sobą czynić chce i radbym z tego dworu się oddalić, a na innym szczęścia szukać, ale wprzód trzeba sobie coś obmyśleć. Marszałek zawsze mnie jak malikowatego



konia przesładuje i księciu na mnie donosi. Jeszczem dobrego słowa tu nie słyszał.

*Sierpień.* Gdyby wszystko opisywać na co się tu patrzy, papieruby nie stało. Od przyjazdu księżny jęjmości i onych inkrotowiu, na których moździerz pękł od strzelania i hajduków poranił, niema prawie tygodnia, żeby wielkich festynów nie było, zjazdów, tańców i gości. Ani się marszałkowi dziwię, że ponury chodzi, ma on za swe, a spoczynku i jemu nie dają. Mnie znać nauczyć chcą, żebym konie odsedniał, tak nieustannie za czems posyłają. A mam takie szczęście, że gdyby jak koń był okulbaczony, zawsze podemną skórę odparzy i namuli. Nie pomaga nic... jeździć muszę, jakbym się już do niczego innego nie przydał.

Dla innych wesołe to może życie, a dla nas bardzo twarde. Dwóch, nie wytrzymawszy, bez pożegnania poszli gdzieindziej szczęścia szukać. Zgłaszałem się i ja, czy gdzie mnie nie przyjmą, ale teraz ubogiej szlachty po dworach co niemiara, nie żądni ich. Nigdzie miejsca nie dadzą, chyba służyć na swoim, nawet bez obroków, poki wakans się jaki nie otworzy. Boże miłościwy—jakże tu ciężko trwać! Od dwóch tygodni człowiek prawie nie śpi, a tyle zje, co z półmiska zliże ukradkiem. Były imieniny, była oktawa, potem wielkie łowy, potem przyjęcie pani hetmanowej, które pięć dni trwało. Zanosi się znowu na bal. Ile to kosztować musi, trudno policzyć.

*Październik.* Znowu miałem biędę z księciem, żem ledwo kobiérca uszedł. Staliśmy w przedpokojach ze Serebrzyńskim i Morszem; tamtym niewiedzieć co do głowy przyszło, że się poczęli wyśmiewać z gości i przedrzeźniać, a mnie też pokusiło udawać podkomorzego, i wypiąwszy się, począłem chodzić, aż tu naraz jak makiem siał. Obejrzę się: ksiązę stoi i patrzy. Zmartwiłem się. „Pojedziesz waść do marszałka i powiesz mu, aby ci na kobiercu wyliczył piętnaście, a poszanowania dla starszych nauczył.“ Serebrzyński i Morsz, którzy się gorszych dopuścili rzeczy, uszli cało, a mnie spotkał wstyd i groźba. Ledwie jakoś sam marszałek u księcia mnie, ulitowawszy się, wyprosił. Zapowiedzieli mi że za drugim razem liczba będzie podwojona, ale ja już pono czekać na nią nie zecheę.

*1798 marzec.* Za łaską Bożą, osiemnaście lat dokończywszy, tu zapisuję, iż mi się wasy ciemne sypią jak nie można lepiej, że je juz podkręcić mogę, a brodę golić muszę, bo bardzo gęsto zarasta. Przypomnienie to człowiekowi, iż o sobie sam myśleć powinien, a tu się nie uczyniło nic i ani się wie co począć z sobą, chyba Pan Bóg natęchnie.“

Tu w rękopiśmie reszta karty próżną stała, na odwrotnej charakterem zmienionym, krzywo i pośpiesznie wypisane były tylko te słowa:

„1798 w lipcu. Czynię ten ślub uroczysty, iż

hańby swojej nie przebaczę i onęj na wszelki sposób mścić się będę do ostatnich dni moich, do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tehu życia, tak mi Panie Boże dopomóż! Nie może inaczej być—bo szlacheckiej krwi pohańbienie zmazanem być powinno.“

I znowu miejsce stało próżne, a na innej stronie, charakterem już mniejszym i wprawniejszym, następujące opisanie:

„Ażeby mnie ludzie i Bóg nie sędzili surowo, nie znając sprawy mojej, takowej opisanie wierne, wedle sumienia i pod przysięgą, tu zamieszczam. W roku 1798, miesiąca lipca 26 dnia, na św. Annę, gości zjechało wiele do Brańska i dwór cały musiał być w ruchu. Kazał marszałek barwę najświeższą wdziać i we drzwiach otwartych sali z innymi być na zawołanie. Księżna jejmość i cała kompania zgromadzoną tu była, tylko księcia szambelana nie widziałem. Rozmowy toczyły się żywe. Widzę iż księżna jejmość palcem skinęła jakoby na mnie: mógł był inny pójść, alem się wyrwał, a raczej pchnął mnie znać mój los nieszczęśliwy. Poszedłem i staję. Księżna, patrząc mi się w oczy, powiada: idź waćpan do pokoju męża mojego, na stoliku pod oknem znajdziesz list w kopercie, ten weź i tu mi go przynieś.

Spelniając rozkaz, wprost udałem się do gabinetu księcia, nikogo też nie widząc, a ze zwyczaju na palcach, cicho, jak było nakazano. List leżał

pod oknem, więc też, niewiele myśląc, zbliżyłem się doń, nachyliłem i rozpoznawszy adres, wziąłem go do ręki. Zaledwie to uczynić pośpieszył, gdy — jakby piorun padł na mnie, księżę, którego nie dojrzałem wchodząc do pokoju; zbliżył się i wyciął mi policzek. Krzyknąłem i z bólu i ze sromu, a nie wiedząc kto i co, obróciłem się z pięściami, ale spostrzegłszy księcia, rzuciłem mu tylko list pod nogi.

— Łajdaku jakiś! zawołał na mnie — to ty mi tu będziesz potajemnie papięry przetrząsał?

— Jako żywo, mości księżę—jestem przysłany po ten list przez księżnę jéjmość, mam na to stu świadków; lecz od téj godziny, gdy niepytany i niesądzony na honorze moim pokrzywdzonym zostałem, bodajbym z głodu umiierać miał; nie jestem sługą księcia—ale wrogiem na życie całe!

Księżę się zaczerwienił i zmieszał.

— Kłamiesz! zawołał.

— Mówię prawdę i klnę się na zbawienie, a tak samo się zaklinam, iż krzywdy méj nie daruję.

Nie wiedziałem już ani wiem co się działo dalej, bom wprost z komnaty wyszedłszy, do izby swéj poszedł, wszystko co kiedy od księcia miałem precz wyrzuciłem, wdziałem odzienie własne, związałem węzełek ubogi i natychmiast pieszo chciałem uchodzić, gdy nadszedł marszałek. Spojrzał tylko na mnie i woła:

— Co ty robisz? co ci jest?

— Idę ztąd, gdzie służby szlacheckiej szanować nie umieją, a ludzi karzą, winy nie patrząc, idę, abym się całe życie mścił.

— Dudku ty jakiś—zawołał marszałek—co ci za krzywda się stała? Smarkacz jesteś, księżę się mógł omylić, to ci wynagrodzi, nie pleć andronów i krokiem mi się nie rusz. Przysłał mnie księżę, abym ci pięćdziesiąt czerwonych złotych obiecał, żebyś milczał, a nikt o tém wiedzieć nie będzie.

Na to ja cały zburzony odpowiedziałem:

— Ani waszych pieniędzy, ani łaski, ani służby nie potrzebuję. Powiedz swojemu księciu, że mnie on popamięta. Młody jestem, ale z tą myślą, z tą żądzą, abym się na nim i jego rodzie mścił—urosnę i...

Nie wiem zresztą, com mu powiedział więcej, bo mi oczy łzy, a uszy krew buchająca do głowy zalala i wyszedłem z węzelkiem swoim w świat, otrząsłszy pył z nóg moich; ani marszałek, widząc mnie tak słusznie zburzonym—śmiał wstrzymać. Posłali za mną Serebrzyńskiego, z którym w przyjaźni byłem, i ten mnie dognał w Brześciu, ałem mu toż samo co im powiedział.“

Taki był początek dziennika który się wrywkami ciągnął aż do roku 1800; dalej go brakło. Z ułamków widać było, iż Zembrzyński długo się wałęsał, nim do krewnych matki trafił, a tu szczęściem jakimś dowiedział się o spadku po stryju i wraz z rodzeństwem, choć przedawniony, odzyskał.

Następowały niezrozumiałe rachunki summek pożyczanych na zastawy, procentów i różnych spekulacyj, których już i Jałowcza nie był ciekawym. Złożywszy więc książczynę i znowu przystawivszy ów stołek: na miejsce ją dawne wrócił, zamknął, ślady swój ciekawości o ile możności zatarł, a sam przy gasnącym już kaganku spać się położył.

Gdy nazajutrz rano do dnia wszedł Zembrzyński do izdebki, ledwie gościa rozbudzić potrafił i z niewoli go tój wypuścił. Jałowcza, jak najniewinniejszy w świecie człowiek, otrzymawszy kubana, po błocie i dęszczu udał się na miasto.

---

W Skokach targ był wiekuisty — od świtu do nocy, jedni odjeżdżali, drudzy przybywali, dziedziniec pełen wózków, biédok, fur i wypędzanych a przypędzanych wołów; w ganku i sieni ludzie, błoto, furmani i panowie, parobcy i oficjaliści, naostatek w kancelaryi u stołu kilku poważniejszych kupców, Garbowski i flaszką z wódką wśród papierów. Rzadka godzina żeby ktoś nie przyjechał i żeby nie było co do roboty, a gdy się trafiła taka, naówczas znużony spekulant, w krześle siedząc zmęczony, natychmiast się zdrzemywał.

Tak całe życie jego upływało, z wyjątkiem niewielu podróży i dni świątecznych.

Nazajutrz po widzeniu się z Jałowczą, pan Zembrzyński przygotował się jechać do Skoków. Nie potrzebował się tu ubierać wytworniej, włożył kapotę, nadział buty po kolana i poszedł za grodzką bramę furtki szukać. Tę znalazłszy, pod parasolem starym wyruszył po błocie do Skoków, obrachowawszy iż w taki deszcz mało tam kogo znajdzie, co by mu mógł przeszkodzić. Z Garbowskiim się trochę znali, obaj wiedzieli o sobie, że byli ludzie pieniądze, skąpi i zabiegliwi; bliższych stosunków nie mieli z sobą. Zembrzyński nazywał Garbowskiego świniopasem, Garbowski jego lichwiarzem. Chociaż deszcz nieustający drogę rozkwaślił, w dziedzińcu były dwa wozy, a w ganku stali Żydzi, mimo to Zembrzyński wszedł.

— Jak się ma pan Garbowski?

— Do nóg padam pana Zembrzyńskiego. Siadajcież.

— Chciałem z jegomością pomówić.

— A dobrze, zaraz z Abramkiem skończę; może się wódki napijecie?

Zembrzyński napił się wódki i siadł. Z Abramkiem szło twardo, lecz wreszcie Garbowski dobił targu: sprzedał mu wół, który był złamał nogę. Gdy Żydzi wyszli, odwrócił się do gościa.

— Zkąd-że Pan Bóg prowadzi?

— No tak, z Firlejowszczyzny niby.

— A z czém?

— Hm! z czém... jest coś do pogadania, macie czas?

— Czemu nie.

Zembrzyński z krzesłem się do stołu przysunął.

— Nie pytajcie z kąd wiem. ani jak, to moja rzecz, tylko dosyć że wiem, iż się wybićracie jechać do Brańska i robić interesa z księżętami. Brat wasz Gozdowski namówił was na to.

— A z kąd-że wy, u licha, wiedziéć o tém możecie?

— Hm, wszystko się wié, panie bracie, a prawda to?

Garbowski, na stół patrząc, mruzczał coś i rzekł:

— No—a jakby prawda była—to co? to co?

— Jakby to prawda była, to się zarzniecie, bo choć wy rozumni, a oni niby lekko rzeczy biorą—wam z nimi się nie mierzyć. Interes zły, zły i zły!

— A wy z kąd o tém tak dobrze wiécie i dla czego wam tak moja kieszeń miła?

— Nie pytajcie! może ja w tém téż i swój interes mam, dosyć że was ostrzegam: nie leźcie w to błoto, ugrząźniecicie.

Garbowski się uśmiechnął.

— Wiécie co? niebardzo miałem ochotę leżć, ale teraz, gdy wy mnie odradzacie, muszę rozważyć. Niezgorsza to rzecz być może.

— Jak komu — rzekł spokojnie Zembrzyński. Ja wam przywiozłem wykaz hypoteczny.



— Ja go już widziałem.

Obaj zamilkli i zmierzyli się oczyma.

— Gadajcie szczerze, co wy w tém macie? odezwał się Garbowski. Tam waszego nazwiska nie widać.

— A przecie ono tam jest, uśmiechnął się Zembrzyński—co wy na tém wskóracie? Dacie pieniądze, ugrząźnicie na dobrach, koniec końców będziecie musieli zrujnowane i bez gospodarstwa wziąć, a weźmiecie drogo chyba, bo ja będę je licytował. Ich żadna w świecie moc ocalić nie może. Dacie im piżma, to dwa, trzy lata dłużej pożyczą, a potem toż samo co było.

— A no --i ja zabiorę dobra, odezwał się Garbowski.

— Wszystkie? spytał Zembrzyński.

Spekulant spojrzal: trudno było kłamać przed takim wygą. Na wszystkie go nie stawało.

— Wezmę część.

— O co chodzi? bierzcie *zaraz*, to ja przystępuję z wami do spółki, pozwolę wam wybrać co się podoba i w cenę pędzić nie będę—ale zamiast za lat trzy, bierzcie *zaraz*.

— Dlaczego?

— Hm, dlaczego? dlatego że mnie tak lepiej.

Garbowski wziął pióro i począł cyfry stawiać na zabrukanyim stole—milszeli obaj.

— Gozdowskiemu, waszemu krewniakowi, o nic nie idzie, tylko by do czasu książąt przy majątkach

utrzymał..., on was do tego potrzebuje na podstawkę; potem was zbęda czém zechcą, albo proces...

— Ja się opiszę.

— Opisz ty się jak chcesz... oni mają lepsze od was plecy. Nie dajcie się zdurzyć. Chcecie interes robić, róbcie, ale zaraz i razem ze mną.

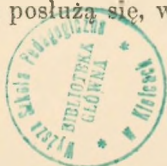
— Czemu z wami ma być lepiej niż z nimi? spytał Garbowski.

— Bo ja mam na tym majątku więcej niż oni, stanowczo odezwał się Zembrzyński i z krzeselka wstał. Zresztą jak wola i łaska. Ja przyjeżdżam do was z dobrém słowem i dobrą radą. Jeżeli chcecie ratować książąt, choćby parękroć stracić— a, na to rady niema! Tracicie, bo że stracie, to tak pewne, jak dwa a dwa cztery.

Garbowski znać nie odpowiedzieć nie chciał, podniósł głowę, na krzesle się oparł i pióro za ucho założył.

— Powiedźcież mnie, gdzie wy w tym interesie? ja was tu nie widzę na spisie, wy dla kogoś faktorujecie.

— Dla siebie. Co ja wam się będę tłumaczył— rzekł Zembrzyński—wola wasza słuchać, dobrze, nie — z Bogiem, i jeszcze wam dopowiem jedno, o czém dalipan nie wiecie. Wy ani Gozdowskiego nie znacie, ani książąt, a małoście mieli do czynienia z takimi ludźmi. Gładkie to, układne, pięknie wygląda—ale ostrożnie! Oni waszeci za Boże stwozenie nie mają: posłużą się, wycisną jak cytrynę,



a lupinę rzucą w kąt. Gozdowski wam nagadał, że wam syna marnotrawnego poprawi, że go tam wprowadzi, że go tam i ożenić gotów... Póty łaski tej, pókiś wasan potrzebny; gdy pieniądze dasz, drzwi ci zamkną. Ja ich znam. Toż wasan pracował w pocie czoła całe życie na to, żeby potem oni za krwawicę waszą pasztety sobie kupowali? Jak ci się podoba... jak się podoba... Ja waćpanu wręcz powiadam: będę przeszkadzał i napędzę tak, że tam wsadzisz do ostatniego grosza, a nic nie odbierzesz. Jak wola... Waćpan mi w drogę włazisz, ja się będę bronił. Ja tam *primus occupans*...

Słyszac łacinę, Garbowski się zląkł, jak się zwykł był obawiać wszystkiego, czego dobrze nie rozumiał, i krzyknął:

— Co to takiego? co? co?

— Ja tam piérwszy, a wy mi nieproszeni przeszkadzacie, nie dam się. Co asan robisz, kiedy woły kupujesz, a któs ci licytuje?

— Pędzę, bronię się i kupuję.

— Kupujesz, ale drogo... Otóż ja ci napędzę tak samo majątki.

— Sluchajże, panie Zembrzyński, przerwał drugi, śmiejąc się—czy wy mnie macie za dziecko. Ja z wami się licytować nie potrzebuję. Przypuszczam że macie summy na majątku, to oni je memi pieniędzmi splacą, a ty pójdziesz z kwitkiem.

— A dalej? spytał przybyły.

— No—dalej, to moja rzecz—mruknął gospodarz.

— Niekoniecznie, niekoniecznie. Poczekacie rok, dwa, musicie nabyć, bo nie będzie was czém spłacić; oni nie sprzedadzą po dobrej woli, przyjdzie licytacya.

— Co wam się o mnie turbować? rozśmiał się Garbowski; do lat trzech kto tam wie co będzie, albo na was, albo na mnie, albo na nich może co przyjść.

— No—to jak wola wasza—odparł Zembrzyński, biorąc czapkę i sięgając po parasol, z którego woda ciekła w kącie. Jak sobie chcecie.

I zbierał się ku drzwiom.

Garbowski, który był nawykł każdy interes dobrze obracać wprzód, nim się na coś stanowczego odważył, myślał jeszcze.

— Czekajcie-no, jegomość, rzekł—takie sprawy na poczekaniu się nie kleją; waćpan mnie mało znasz, ja was też niekoniecznie. Musiemy się dobrze rozgadać. Ja waćpanu powiem otwarcie: oszukać się nie dam, oszukiwać nie chcę—znienacka mnie nie weźmiecie.

— Ja was brać nie chcę, cobym z wami robił? ruszając ramionami, wycedził Zembrzyński—jak wola.

— Dajcie mnie czarno na białem na stół dowód, że wy macie coś w tym interesie, to będę gadał.

— Słowo uczciwe, że to będzie między nami?

Garbowski podniósł dwa palce, jak do przysięgi. Wtém Zembrzyński sięgnął za opończę i dobył duży, zatłuszczony pugilares, wyjął z niego jeden, drugi, trzeci i czwarty papier, z kolei je stawiając przed oczy patrzącemu i wskazując w nich palcem swe nazwisko, potém w milczeniu zawinął je do pugilaresu i zasunął pod opończę.

Garbowski posepnie nań spojrział.

— No—no—rzekł—zkađ wam tyle piędędzy?

— Nie ukradłem ich, to pewna.

— Nie spodziéwałem się. Siadaj, Zembrzyński, dodał, klepiąc go po ramieniu, siadaj—trzeba pogadać po ludzku. Ktoby ciebie posądził po kapocie, że ty masz pod nią tyle słoniny?

— A was?

— O mnie i ludzie wiedzą. Cós trzeba obradzić, rzekł gospodarz.

— Ja od was nie chcę nic, tylko jednego; nie brońcie teraz ks. Brańskich, a zarobkiem się podzielimy. Dla nich téż łaski nie wyświadcycie. Jeżeli dziś ich zlicytujemy, może cós im zostanie, za lat trzy—ani grosza. Oni muszą tak żyć jak żyją, czy będą mieli z czego, czy nie; zjedzą się do reszty. Jedź waćpan ze mną, ano, trzeba działać stanowczo—zaraz.

Ciężki był do interesu stary Garbowski, westchnął:

— Zobaczymy!

— Kiedy?

— Przyjedź waćpan jutro, przyjedź pojutrze—  
daj mi się rozmyśleć.

— Ja wam więcej powiem — rzekł Zembrzyński, jedźcie wy sobie do Brańska, rozpatrujcie się na miejscu, rozpatrujcie. Mnie nie macie powodu wierzyć. Możemy się porozumić, gdy sami się przekonacie, że lepiej brać dziś to, co za lat trzy dopiero wam obiecują. A za lat trzy, jak się książkę Robert ożeni, figę wam pokażą i nie będziecie mieli nic—daj Boże swoje pieniądze, albo proces.

Zachwiałwszy w ten sposób postanowieniem Garbowskiego i rzuciwszy mu do rozmysłu argumenty nie bez znaczenia, Zembrzyński oknem wyjrzał, parasol znowu zabrał z kąta i począł się żegnać.

— Toć się może zobaczymy? zapytał Garbowski trochę niespokojnie.

— A no—może, może, gdzieś, na którymś świecie. Do nówek upadam.

Garbowski go aż do ganku wyprowadził, tamten siadł na bryczkę, rozpiął nad sobą parasol i—kazał jechać.

W ganku pozostał stary wieprzarz i dumał.

— Co to ma znaczyć? Trzeba dobrze na rozum brać, żeby się nie poszkapić. To jur i — wyga, a wywatowany weksłami! no! no! Cięższa będzie sprawa niż sądziłem.

Jeszcze stał w ganku, gdy okrutne palenie z bicza słyszeć się dało i mimo błota, klusem zawieszonym lecąca najtyczanka wpadła jak bomba w dzie-

dziniec. Woźnica bardzo zręcznie zawrócił przed ganek i konie się zasapane, kurzące od potu, zatrzymały jak wryte. Z bryczki wyskoczył w burce, z czapeczką na bakier—Zygmus i wprost ojcu się rzucił na szyję.

— O! jakżem ja szczęśliwy, że tatka w domu zastaje!

Ojciec ścisnął go, ale zakłopotany.

— No, już dość, dość tych całusów, pewniuteńko po pieniądze.

— A jakże? Tatko ma cudowną siłę proroczą, od czegoż ojcowie którzy w kozłowych butach chodzą, synom którzy muszą nosić lakierki? Rodzicielu kochany, tak—odgadłeś, a gdybyś nawet był na ten raz nie zgadł, miłoby mi było, przez samo uszanowanie, zastosować się do twego proctwa. Nie chcę ci zadawać fałszu. Lecz o tém potem. Pozwoli tatko, dodał — ponieważ tu tylko wódka jest i owa wędzona kiełbaska, którą mam przyjemność znać, że ja każę dobyć swoich zapasów podróźnych i ojca dobrodzieja zaproszę na przekąskę.

Garbowski ruszył ramionami i nie odpowiadając, wszedł do izby, a za nim syn. Chłopak w kapeluszu z kokardą dobywał tymczasem z bryczki pudło i butelki. Zygmus, jak tylko wszedł i burkę zrzucił, wyciągnął się w fotelu. Ręce założył pod głowę, nogi wysunął na środek izdebki i odpoczy-

wał. Ojciec, który się przechadzał, za każdym razem nogi synowskie omijać musiał.

— Poniekąd dobrze iż przyjechałeś — odezwał się, mamy do pomówienia.

— I kochany tatko da pieniędzy? bo Żydki za weksel do kozy wpakują. Trudno inaczej, nie mając odpowiednich do mojego wychowania dochodów, jestem zmuszony robić długi, a długi ciągną za sobą konsekwencye fatalne.

— Już ty mi nie mów, nie mów, ofuknął Garbowski—ty tylko jedno znasz: ojciec — pieniądze! a da ojciec, ruszasz hulać, i znowu, jak przedtém: ojciec—daj pieniądze!

— Litania! zawołał, śmiejąc się, Zygmunt—litania, którą synowie odmawiają, dopóki sami dzieci się niedoczekają. Wtedy naodwrot: marnotrawny synu, idź precz! Ale, proszę tatka, jeśli też ja się marnotrawnym nazwać mogę. Ojciec jak miałeś, tak masz miliony, a ja wiecznie goły i goły.

— Bo ja pracuję, a ty...

— Juściż ja, jak tatko, pracować nie mogę. Na całym świecie jest podział pracy. Tatko spekulujesz na małą skalę, aby się dorobić, jabym powinien milionami obracać. Proszę mi dać jeden tyłko, a zobaczycie...

Garbowski się zżymał.

— Nie bredziłbyś—ja z tobą chcę pomówić na seryo, dosyć już tych *perebendiów*, dosyć.

— Słucham kochanego ojca, ale wnoszę—ode-



zwał się Zygmus, ażebyśmy do nabrania sił do poważnej rozmowy, naprzód się posilili. Dzieba (to było przezwisko ulubionego sługi p. Zygmunta) przyniesie tu śniadanie, i ojciec mi nie odmówi.

Garbowski mruczał tylko coś, chodząc, jak nie-dźwiedz. Zygmunt wziął od dewizek świstawkę srebrną i w najokropniejszy sposób gwizdnął— Dzieba się zjawił.

— Przynos tu śniadanie i butelki!

W mgnieniu oka stół ostrożnie został oczyszczony z papierów, serwetką podróżną herbową nakryty i zastawiony pasztetem strasburskim, szynką, salamisem, séréami i t. p. Dwie butelki zawierały Sherry i Bordeaux, był Alasch i Cognac. Stary Garbowski chodził, nie patrząc na te przygotowania, ale po wyjściu Dzieby, nie mówiąc słowa, zasiadł do stołu. Syn gospodarował, uśmiechając się.

— Widzi totko, że to są dobre rzeczy, rzekł— a nas na to stało, żebyśmy z pracy waszej użyli sobie nieco.

I nalał mu kieliszek Sherry, który Garbowski z rozwagą wypił i próżny postawił: syn pośpieszył go napełnić.

— I teraz już możemy mówić seryo— odezwał się do ojca— niech tatko poczyna, ja będę słuchał. O co to idzie? abym się ustatkował? he?

— A no, pewnieby czas było, ale co do takiej szalonej pałki gadać darmo. Pięknie to z lada ho-

lyszami, darmozjadami czas trawić? Opiją, obje-  
dzą, ogadają... Przecież ty lepszej kompanii wart.

— Ależ żyć bez ludzi niepodobna.

— Żyj-że z takimi, którzyby rozum mieli.

— Wié ojciec, to strasznie nudne. Gdy kto ma,  
albo się komu tylko zdaje że ma rozum, tak się  
dmie i peroruję, że z nim wytrzymać niepodobna.

— Nie plótlbys.

— Ale cóż ojciec miał powiedzieć?

— Gdybys ty mi dał słowo, że choć na kilka  
dni się wstrzymasz i żadnego głupstwa nie zmalu-  
jesz...

— Kilka dni, mogę, i jak dam słowo, ręczę że  
dotrzymam; ale ojciec mi za to coś da i potém so-  
bie pozwolę.

— O! o! atóż masz! zawołał Garbowski—nigdy  
z niego nic nie będzie! szalona pałka!

— Niechno ojciec powie, o co idzie.

— Już przecie czas, żebys z urwisami wałęsać  
się poprzestał a począł żyć z tymi, do których je-  
steś wychowany. Pan Bóg ci dał dosyć, aż nadto  
talentów i sprytu, tylko rozumu brak.

— No, to trudno! westchnął Zygmus; rozum  
może przyjść. Powiadają że chodzi i nawiedza na  
starość ludzi. Może być i u mnie z wizytą. Ale,  
proszę papy, z kimże to ja mam żyć? Z Żydami  
w Lublinie nie mogę, bo świninę lubię; z urzędni-  
kami nie śmiem, bo się ich boję; szlachta się mnie  
lęka...

— Ja dobiore ci towarzystwo, tylko o to idzie, ażebyś się znaleźć umiał.

— Byle nie nudne, znajdę się co się zowie.

— Proszę cię, mówmy seryo.

Tu zatrzymał się nieco Garbowski i dodał:

— Jeśli będziesz statkował, możesz po mnie kiedyś wziąć piękny majątek; niejednen całą gębą pan będzie ci go zazdrościł. Jesteś szlachcic, po francuzku mówisz, możesz przecie bywać w najpiérwszych salonach.

— A mogę, odezwał się Zygmus—i cóż potém?

— Możesz się przyzwoicie ożenić.

— Ja? ożenić? zrywając się z siedzenia, podchwycił Zygmunt, chyba tatko żartuje! Ja? ożenić się? A, bardzo dziękuję, świata sobie zawiązywać nie myślę.

— Gadajże z nim! mruknął Garbowski — no! gadajże z nim!

— Zawsze proponować tatko może, ja słucham.

— Ja cię przecie jutro ożenić nie myślę, ale chcę żebyś raz między innych ludzi wszedł.

— Wnosząc z tych, z którymi ojciec dobrodziej żyje, rzekł Zygmunt, czybyśmy mieli oddać wizytę pani Zelmanowiczowej na Winiarach? czy państwu Ickostwu.

— No—pleć, pleć! co tu już gębę psuć z tobą?

— Tatku — ja jeszcze nic nie wiem; umiérám z niecierpliwości, ażebyś mi odkrył tajemnicę,

w jaki dom zechcesz mnie dla dusznego zbawienia wprowadzić.

Wzdychał nieszczęśliwy Garbowski, nasmarował sobie po raz ostatni wątróbkę na chleb, zjadł i zapił.

— Co z tobą gadać? odezwał się, nigdy niczego nie chcesz słuchać. Cheiałem cię wziąć z sobą do wielkiego, pańskiego, do najpięrszego można powiedzieć, domu w okolicy — ale, jak mi ty wstyd zrobisz.

— Dokądże? zaciekawiony spytał Zygmunt.

Korzystając z powstrzymania się syna od żartów nieznośnych, Garbowski począł:

— Mam pewien interes do Brańska, może mi wypadnie tam być, mamy tam krewnego.

— A no! już wiem, pojedziemy do tego poczciwego Gozdowskiego. Słowo daję, to mi się podoba, będę udawał świętoszka, tylko jedźmy! Raz w życiu zdaleka ujrzałem księżniczkę Stellę — bóstwo piękności i pannę Antoninę — jagódkę różową. A! ojcie! uszczęśliwisz mnie.

— Ale ty mnie możesz zgubić, zrobiwszy tam jaką niedorzeczność.

— Za kogóż mnie tatko masz? Dobrze w Lublinie z temi urwipolciami dokazywać, to znowu co innego, ale w Brańsku ani mnie poznacie. Daję słowo, odegram swoją rolę statysty — jakbym nigdy w życiu butelek nie tłukł i kocięj muzyki nie sprawiał. Na to daję — szlacheckie słowo! Lecz

ojciec kochany jest nadto rozsądnym i bystro rzeczy obejmującym człowiekiem, aby tego nie pojął że ja, jak stoję, nie mogę pojechać do Brańska. Potrzebuję wyekwipować się od stóp do głowy, jako dziedzic milionowej fortuny. Wyekwipować się tak, by fortunie ojca a smakowi własnemu wstydu nie uczynić, można tylko w Warszawie; najkrótszy znowu pobyt w takim mieście pełnem pokus, którym młodość, opierając się nawet, czasem przez krewkość uledez musi,—pobyt taki, powiadam, wymaga funduszków. Wymaga je i co się zowie porządne wyekwipowanie, słowem ciągnie to za sobą wydatki, które w tej chwili nawet obliczyć trudno.

Z załamanemi rękami stojąc, milczał ojciec.

— Ja to wiem, odezwał się, pojedziesz do Warszawy, kupisz słoik pomady i stracisz parę tysięcy.

— A! gdzież parę tysięcy! jeśli tatko na złote rachuje—nie można niżej rachować jak pięć razy tyle.

— Dajże ty mi pokój. Nie pojedziemy do Brańska!

— Możemy wejść w pewien kompromis, odezwał się Zygmunt; mówmy poważnie. Ja zwykle gdy słowo dam, dotrzymuję, ceny przedmiotów znam, wnoszę więc aby spisać regestr, zliczyć, a po powrocie moim odebrać je wedle inwentarza.

Ojciec i syn uciérali się tak jeszcze z godzinę, nie mogąc z sobą trafić do końca; wreszcie stanęła

ugoda i Garbowski dał tysiąc rubli, wzięwszy słowo uczciwe że zostaną użyte na wyekwipowanie. Miał pewną rękojmię w tém, że Zygmus sam niepomrotnie pragnął być w Brańsku, a czuł że tam porządnie musi wystąpić. Na smaku mu nie zbywało. Dla zabezpieczenia się zaś, żeby go Warszawa nie obalamuciła, ojciec miał mu dodać ze swęj ręki rodzaj dozorecy. Był nim faktor Żydek, człowiek uczciwy i stateczny, z którego Zygmus nielitościwie żartował, lecz jego oporu i nudziarstwã zwyciężyć nigdy nie mógł. Ile razy mu go dodał ojciec, chodził za nim krok w krok i choć się straszliwie zmęczył, nie dopuścił ani burdy, ani szaleństwa.

Na tém stanęło. Zygmus kazał zebrać śniadanie i konie zaprzęgać: wzdychając, ojciec pieniądze wyliczył i rozstali się w ganku w daleko lepszej zgodzie i porozumieniu niż przywitali zrana.

— Za sześć dni, byle Chabou z sukniami pospieszył, jestem z powrotem! zawołał z bryczki Zygmus, ojciec mnie nie pozna—daję słowo—taki będę rozumny —ale potem...

Garbowski stał długo i patrzył za odjeżdżającym. Zamyslił się — „Pan Bóg raczy wiedzieć co z tego jeszcze będzie, ale to pewno, że już jak ja kozłowych butów nie włoży i wołami handlować nie pójdzie. Taka kolej rzeczy ludzkich. Ale kochana bestyjka!“ Westchnął stary i poszedł do rachunków.

W pałacu brańskim, chociaż na pozór nic się nie zmieniło od ostatnich wypadków — rzeczywiście czuć było jakąś wewnętrzną wielką a bolesną zmianę, jakiś przełom w życiu téj rodziny. Powiało na nią groźbą... cisza po niéj wróciła znowu, ale obłok z którego grzmiało, stał nad głowami. Dawny ten uroczysty spokój, co trwał długie lata, ta wiara w niezmienny byt rodziny — zachwiane, nie wróciły. Po wszystkich twarzach znać było tajoną trwozę. Łudzili się, mówiąc z sobą, pocieszali wzajemnie, wyzywali nadzieje, chcieli znaleźć otuchę — a nie mogli. Każdy z głową spuszczoną wracał do swojego kąta i wzdychał nad przyszłością.

Najmniej wstrząśnienie to uczuć się dało staremu szambelanowi, który zadługo żył w téj atmosferze pogody, ażeby w trwanie innéj uwierzył. Przechodzącą chmurkę rozumiał; katastrofy przypuścić nie mógł. Dla niego wielkość rodziny, jéj posłannictwo były rzeczami Opatrzności, o które Ona sama powinna się była troszczyć, a nie wątpił, że sobie radę dać potrafi. Wedle starego świata porządku, uważając się za konieczną część jego budowy, nie lękał się o losy związane z losami społeczeństwa i świata. Zwolna w umyśle jego jaśniejsze znowu poczęły się rodzić myśli, znajdował środki łatwe do naprawienia złego, jeśli jakie było, i nie chciał się nawet zbytnio rozpytywać, ażeby nadaremnie przemijającą rzeczą nie trwożyć

się i nie gryźć. Biskup téż, generał, Robert unika-  
li z nim w rozmowie wszelkiej wzmianki i aluzyi  
do interesów.

W równej prawie nieświadomości istotnego po-  
łożenia była księżniczka Stella; nikt nie śmiał jej  
dziewiczej wesołości zaćmić przedwczesnemi groź-  
bami. Lecz ona więcej odgadywała, przeczuwała,  
domyślała się czegoś, czytała z twarzy otaczają-  
cych, choć napróżno od nich domagała się praw-  
dy. Przyjaciółka jej Antonina, która o wszystkiém  
wiedziała od brata, tała to przed nią—straciła je-  
dnak humor, odbiegła ją wesołość i chodziła dzi-  
wnie zaniepokojona, składając to na chorobę.

Generał, gdy pozostał sam na sam, truł się i za-  
męczał próżnemi wysiłkami myśli, walczył—i ma-  
rzył, najdziwniejsze obroty interesów wynajdując;  
z Robertem mówił o tém nieustannie, na pokojach  
zaś i przy ludziach udawał dawną swą wesołość i  
obojętność. Udawał niezgrabnie dosyć, ale nie po-  
znawano się na tém. Biskup wprędce odjechał,  
gdyż przerażony postanowił szukać wszelkich mo-  
żliwych środków ocalenia majątku rodziny. Zdało  
mu się że potrafi pewne summy i legaty duchowne  
przenieść na te dobra i w ten sposób zabezpieczyć  
Brańsk od sprzedaży. Nie rachował wszakże cza-  
su, jakiego spełnienie samych formalności wyma-  
gało.

Księżę Robert od powrotu z Warszawy zmienił  
się nadzwyczajnie, wszyscy to widzieli; pomimo



smutnych dosyć wypadków, był jakby odmłodzony i zrezygnowany—milezący, ale nie tak przybity i roztargniony jak przedtém. Gdy z Zenonem mówił, wydawał się pełnym nieuzasadnionych jakichś nadziei, chociaż na niczém stałem oprócz ich nie mógł. Żurba z ciekawością wpatrywał się w niego, nie pojmując co na tę zmianę wpłynęło, a przypisując ją uwolnieniu od niemiłych konkurów o Alfonsynę. Jakkolwiekby, Robert zdał mu się teraz bliższym rzeczywistości, niż był przedtém.

Największy popłoch i trwogę widać było na twarzach dworu, rezydentów i tego co żyło w Brańsku przy książętach. Spokojnym był jeden Żurba, który najwięcej miał do stracenia—inni łamali ręce i modlili się. Ks. Serafin odprawiał nowennę i co dzień po nabożeństwie wzywał przytomnych: Na intencyą osób w niebezpieczeństwie zostających proszę o trzy Zdrowaś Marya. Wszyscy rozumieli do czego się to odnosiło i modlili się gorąco.

Łozdowski od powrotu z Lublina, nie nikomu nie zwierzywszy, okazywał taką pewność siebie i tryumfalne oblicze, że się domyślać musiano, iż jakąś niespodziankę gotował. Generał, Robert i Zenon próżno go o to badali—powiedzieć nie chciał—przebąkiwał tylko.

— Znajdą się sposoby, okaże się moje niedołęztwo.

Dla tém większego zapewnienia się, iż Garbow-

ski przyjedzie, napisał do niego, przypominając mu dzień i oznaczając miejsce. Żurba stary zgodził się naturalnie najchętniej, ażeby zjazd odbył się u niego, dla spokojności szambelana, który nic o nim wiedzieć nie miał, lecz że szlachecki dwór jego nie obfitował w przybory dla przyjęcia liczniejszych gości, obiecano mu kucharzy, usługę i pomoc z Brańska.

Na ostatnie dni sierpnia przypadał termin zjazdu, wyczekiwanego z niecierpliwością. Gozdowski w wigilią już zajął kwaterę w oficynie u pana Zenona, który mu miał być radą i pomocą. Obračhowawszy wierzycieli, spodziewano się najmniej pięciu lub sześciu osób, a oprócz tego Gozdowski liczył Garbowskiego z synem.

Nadszedł nareszcie ów dzień ostatni... Generał i ks. Robert przybyć mieli dopiero wieczorem. Panna Antonina, znalazłszy jakiś pozór ku temu, uwolniła się na kilka dni, aby ojeu pomódz i zarządzić przyjęciem. Wszystko było w gotowości i obiad spóźniony odbył się w kółku domowém: nikt nie przybył. Dopiero wieczorem dała się słyszeć trąbka pocztowa, ukazał się mały powozik i w ganku wysiadło dwóch ichmościów, na których przyjęcie pan Gozdowski we fraku, wystrojony i z wielką powagą, pośpieszył. Jednym z tych panów był znany nam już mecenas Hartknoch, drugim, grającym skromną rolę jego pomocnika (zarekomendowano go tak, iż nikt nazwiska pochwy-

cić nie mógł)—znany nam także Zembrzyński, lecz na warszawski sposób przebrany i wyglądający na podstarzałego kancelarzystę, który nigdy wyżej nad przepisywacza cudzych pomysłów wydzwignąć się nie mógł. Chciał też tu tylko grać tę rolę. Nie życzył sobie występować tu ze swym nazwiskiem, ażeby przypomnień zawczasie nie wywołać i nie zdradzić się, a wymógł na mecenasie, chcąc go sam dopilnować, żeby w tym charakterze zabrał go z sobą.

Wszedłszy do saloniku, gdzie miano zaraz podawać herbatę, mecenas zaprezentował się panie Antoninie i zajął miejsce przy kanapie, Zembrzyński zaś zajął bardzo pokornie miejsce w kątku, niedaleko drzwi, sam oceniając się niby iż wyżej sięgać nie miał prawa. Po pierwszych przywitaniach, Gozdowski wyraził mecenasowi ubolewanie, iż dotąd nikogo z Warszawy, oprócz niego, nie było, i że inni wierzyciele tak się z przybyciem opóźniali.

Mecenas odprowadził go na bok.

— Muszę pana dobrodzieja objaśnić, rzekł—iż wątpię aby oprócz mnie kto przyjechał, gdyż—o ile wiem, mam upoważnienie do traktowania—od wszystkich wierzycieli.

— Od wszystkich? zawołał zdumiony Gozdowski; który nieco na *divide et impera* rachował—od wszystkich?

— Tak jest—zdaje mi się że od wszystkich.

Popsuło to już humor plenipotentowi; z niecierpliwością wyglądał teraz kuzyna, lecz Garbowski się opóźniał. Podano herbatę; towarzystwo, nie przystępując do interesów, które odłożono na jutro, zabawiało się rozmową. Zembrzyński siedział milczący w kątku. Nikt na niego uwagi nie zwracał.

Przyjazd generała i Roberta ożywił nieco zgromadzenie. Rozmowa ciągnęła się do późna, nastąpiła wieczerza, którą panna Antonia poszczycić się mogła... humory powoli rozjaśniać się zaczęły. Dopiero przy pożegnaniu, gdy goście szli na spoczynek, umówiono się nazajutrz przystąpić do traktowania.

Zembrzyńskiemu dano łóżeczko i pościółkę w izdebce przylegającej do pokoju mecenasa, generał z Robertem odjechali do Brańska na noc, obiecując przybyć zrana.

Już byli wszyscy powstawali i obnoszono kawę i herbatę, gdy w uliczce wiodącej do folwarku, skromnymi otoczonej płotami z chróstu, dała się słyszeć trąbka i klaskanie z bata. Zdawa widać było karétkę podróżną i lokaja na koźle siedzącego, jak dobrze wymusztrowany możnego domu sługa siedzieć powinien, z rękami na piersiach założonemi, z postawą poważną i dumną. Za zbliżeniem się powozu, z wielkiem zdumieniem stojących w dziedzińcu ludzi, okazało się, że ten na koźle wyprostowany jegomość był błyszcząco-czarnym *murzynkiem*. Ale któżby karétę z murzynkiem miał przy-

bywać? Gozdowski, oczekujący w ganku, pojąć tego nie mógł. Dopiero zajrzawszy w okno powozu, poznał w nim Garbowskiego z synem. Oslupiał! Garbowski w karęcie i z murzynem! Było to dzieło pana Zygmunta, który ojcu wmówić potrafił, iż inaczéj przyzwoicie na żaden sposób przybyć tu nie mogli.

Murzyn zażądał pokojów gościnnych. Tymczasem Gozdowski witał brata i szepcząc mu coś na ucho, prowadził go. Za nimi szedł, wedle wymagań najwykwintniejszój mody po podróznemu ubrany, piękny pan Zygmunt ze swobodą człowieka, który wszędzie znaleźć się potrafi, którego nie nie kłopotuje i nie dziwi. Zygmunt, raz przyrzekłszy ojcu, iż się dobrze znajdować będzie, nie czyniąc mu wstydu, w istocie przybrał postawę tak przyzwoitą, tak skromną zarazem, iżby się w nim nikt tego szalawały lubelskiego nie domyślił.

Garbowski stary, znać téż za radą Zygmusia przebrał się skromnie, lecz bardzo starannie i wyglądał na innego człowieka. Był tylko zmieszany, jakby nieswój wśród ludzi obcych, a niemało go go téż i suknie, i powóz, i syn, którego się niezmiernie obawiał, oniesmiały. Rzuczał coraz okiem na Zygmusia, jakby go błagał o dotrzymanie słowa, na co syn wcale się nie zdawał uważać.

Murzyn, karéta i młody człowiek piękny, zrobiły we dworze wrażenie wielkie, a że nie wiedziano, kto byli ci panowie—domyślano się w nich je-

dnego z głównych wierzycieli. Przez okno mieszkania mecenasa Zembrzyński dostrzegł i poznał Garbowskiego i uśmiechnął się złośliwie. Gozdowski śpieszył naprzód tych gości umieścić, bo pragnął się na osobności z bratem rozmówić.

Zygmuntowi nawet w tym celu dano pokój osobny, do którego on wszedł zaraz, murzyna prowadząc za sobą.

— Kochany Garbowski — rzekł pośpiesznie plenipotent, niech ci Bóg płaci, żeś mi słowa dotrzymał. Spodzielam się, żeś się namyślił i że mi skuteczną podasz rękę. Jest to tém potrzebniejszem, iż rachowałem nieco na korzyść jakąbym był odniósł, traktując osobno z każdym z wierzycieli, a tu mi figla spleatano i od wszystkich plenipotencye są w jednych ręku... to mi psuje moje plany. Masz na wypadek pieniądze.

— Pogadamy, pogadamy... wszystko się znajdzie; ale widzisz, pod pewnemi warunkami.

— Jakież są twoje warunki?...

— Ale łagodne... łagodne...

— Naprzykład?...

— Będzie czas, pogadamy... będzie czas, rzekł tajemniczo przybyły, potem... potem...

Nie było sposobu nalegać. Z drugiej strony ten Garbowski, o którym i o jego roli nikomu naprzód nie wspominał Gozdowski, teraz mu jakoś przybywał niezręcznie. Pobiegł więc najprzód tajemnicę swą zwierzyć generałowi, Robertowi i Zenonowi.

— Ponieważ mojemu kuzynowi bardzo szło o to, aby syna w lepsze towarzystwo wprowadzić, a musiałem go czémś ująć, więc zaprosiłem i syna.

Generał i ks. Robert nie powiedzieli nic; środek wynaleziony przez Gozdowskiego podobał się, szczególnież kawalerowi maltańskiemu, który zato plenipotentą wyściskał, a cicho spytał:

— Ale szlachta?

— Ojciec trochę hreczkosięj zardzewiały, ale jak skoro mój cioteczny, nie może nie być starym szlachcicem.

Na tém się badanie skończyło i postanowiono, ponieważ mecenas naglił, aby do interesów przystępować — rozpocząć z nim traktowanie, Garbowski zaś wprowadzić do salonu, gdzie Żurba i panna Antonina przyjmować ich mieli.

O godzinie naznaczonej Hartknoch z niosącym za nim papiéry Zembrzyńskim wpadł do pokoju, w którym krzesła, dokoła stolika ustawione, oznajmywały, że tu miały się narady odbywać. Zajęli miejsca nieco opodał generał i ks. Robert, bliżej Zenon i Gozdowski, Hartknoch i jego pomocnik.

Wzrok tego pomocnika chodził nieustannie do oczów mecenasa, i mogło się zdawać niewtajemniczonym, że tak pilno dowiadywał się o jego wolę, gotów na rozkazy, a w istocie strzegł ócz p. Hartknocha i dyktował mu własną.

Zenon zagaił posiedzenie zręcznie kilku słowami, oczekiwano, co pocznie mecenas.

— Moi mocodawcy, odezwał się krótko Hartknoch, przysłali mnie tu, nie chcąc się uchylać od układów, lecz zawczasu, dla uniknięcia nieporozumienia, zastrzedz muszę, iż o innych układach mowy być nie może, tylko o rozłożeniu wypłat na pewne terminy z warunkiem, że pierwszy musi przypaść niezwłocznie.

— I my téż inaczéj nie rozumiemy układów, odezwał się generał z boku, o ustępstwa nie prosimy... o ułatwienia tylko. Czasy są ciężkie, brak kredytu i gotówki...

— W razie gdybyśmy się ugodzić nie mogli, z przykrością wyznać muszę, dodał mecenas, że do subhastacyi okoliczności nas prowadzą. Nie opieramy się wszakże sami nabyciu dóbr, lub odebraniu niemi wierzytelności, wedle zobopólnie umówionego szacunku.

— Na miłość Boga! zawołał generał — gdybyśmy się [dóbr] pozbywać chcieli, nie żądalibyśmy układów.

Rozmowa toczyła się tak ostrożnie i grzecznie, zaczepiając coraz głębiej o główny przedmiot. Gozdowski niecierpliwy żądał warunków... Na to Hartknoch odpowiedział z równym słów doborem, że wierzyciele żądają nieodmiennie natychmiastowej wypłaty połowy, a drugą gotowi są rozłożyć na dwa lata.

Nastąpiło głuche, przeciągłe milczenie. Zembrzyński ostro spojrział w oczy mecenasowi i spu-



ścił wzrok na papiery, wszyscy spoglądali po sobie. Gozdowski odezwał się wreszcie z zapytaniem, czy to ostatecznym jest; odebrał odpowiedź, iż mecenas na włos z tego ustąpić nie może i prosi o namysł do jutra rana. Hartknoch zawahał się nieco i przystał, zastrzegając sobie, iż czas ma bardzo ograniczony i że nad jutrzejszy dzień, w żadnym razie dłużej zabawić nie może.

Dwadziścia cztery godziny zostawało do ułożenia się z panem Garbowskim... Pośpieszył plenipotent do salonu... Tu zastał starego na rozmowie z Żurką, a Zygmunta wystrojonego z angielska, z wielką prostotą wiodącego ożywioną gawędkę z panną Antoniną, mieszaniną wszystkich europejskich języków, co jest, jak wiadomo, największym *szykiem*.

Zygmunt może miał tę wadę, iż był zapowadźny, widocznie trzymał się na pasku, pilnował—czyniło go to trochę nienaturalnym. Ze stroju i miny podobnym był do Anglika — Gozdowski nie mógł się zmianie wydziwić, niemniej ojciec, który teraz oddychał swobodniej. Gdy księżę Robert i generał nadeszli, a młodzieniec się im zaprezentował, uczynił też na nich jak najlepsze wrażenie. Mówił dowcipnie, łatwo, tonem najwykwintniejszego towarzystwa, fizyognomię miał sympatyczną, w dodatku wesołość, która młodości wielki urok nadaje. Osądzono go zaraz, zgodnie ze zdaniem panny Antoniny, jako młodzieńca *très comme il faut*.

Ojciec, którego jedno ucho ciągle skierowane było w stronę syna, nie wiele go rozumiał, ale słuchał z uwielbieniem.

— To diabeł nie człowiek! powtarzał sobie w duchu!—to diabeł nie człowiek!

Gozdowskiemu, nie tracąc czasu, chciało się wyprowadzić zaraz kuzyna na osobność i dobić z nim interes, lecz stary jakoś się zręcznie opierał. Na poobiedzie ksiązę Robert zaprosił wszystkich gości do Brańska, ojca uprzedziwszy wprzód, iż będzie kilka osób z interesami, ażeby nie wychodził lepiej; szambelan zgodził się na to bardzo chętnie.

Ze szczególną atencją był od pierwszej chwili pan Zygmunt dla grającej rolę pani domu, Antoniny, nie było w tém jednakże najmniejszego cienia zalotności. Mówiono o rzeczach obojętnych, o muzyce, o teatrze, nowościach literackich i t. p.

W rozmowie Zygmunt wspomniał, iż pannę Antoninę i ks. Stellę raz już zdala miał szczęście oglądać i że to pobudziło go do korzystania z podróży ojca, aby mógł bliżej to urocze zjawisko oglądać. Unosił się szczególnie (nie ujmując pannie Antoninie) nad idealną pięknoscią księżniczki i wrażeniem, jakie ona na nim zrobiła. Mówił to naturalnie, lecz z takim ogniem i siłą, że panna Antonina uśmiechnąć się musiała, obiecując sobie nacieszyć się z księżniczką. Bardzo zręcznie tłumaczył się czią gwiazd i słońca, którym i naj-

nędniejsze istoty składały ofiary i pokłony. Śmiało się trochę, i na tém się to skończyło.

Gozdowski niecierpliwy, przed obiadem jeszcze pochwycił kuzyna na stronę i wyprowadził do osobnego pokoju.

— Mówże, rzekł, jakie są twoje warunki? Oni chcą od nas teraz połowy długów, a resztę rozkładają na lat dwa.

— Hm — odezwał się Garbowski, spuszcżając oczy— hm! ja wam powiem, ja się dobrze namysliłem— te roboty was do niczego nie prowadzą, to umarłemu kadzidło. Wodę warzyć, woda będzie. Najlepiejbyście zrobili, żebyście od razu dobra sprzedali—zawsze się na tém skończy.

Gozdowski aż odskoczył.

— Co się tobie marzy? właśnie my tego chcemy uniknąć.

— A jak? spytał Garbowski.

— Książę się ożeni.

— Książę się nie ożeni, szepnął stary do ucha krewnemu — najprzód że żadna za niego nie pójdzie, bo wszyscy wiedzą że ma romans do dzisiaj z tą hrabiną Natalią; potem...

— A ty z kąd o tém wiesz?

— Cały świat o tém wie i dlatego to fałszywa rachuba.

— Książę się poświęci.

— Ale któryż ojciec poświęci dziecko dla ty-

tułu na takie życie, jakiego się przyszła księżna spodziewać może.

Gozdowski osłupiał, w oczach mu się zrobiło ciemno.

— Cóż ci w to wchodzić? rzekł — daj pieniędzy. Jeśli ci ich nie zapłacimy, wówczas weźmiesz dobra.

— Zapewne—odbąknął stary — zapewne — ale po co to wszystko? Jabyś miał taki projekt, że, powiem ci, byłby i wilk syty, i koza cała.

— Jakież to projekt? spytał zdumiony Gozdowski.

— Bardzo śliczny projekt, ale trochę śmiały, trochę śmiały, mówił Garbowski; mógłbym ci z niego się zwierzyć, żebyś był pewny, że ty się gniewać nie będziesz.

— Dlaczegożbym się miał gniewać za twoją życzliwość?

— Bo to, widzisz, są przesady na świecie, są, a tymczasem po ludzku gdy się od kogoś żąda czego, trzebaż za to coś dać.

— Naprzykład?

Stary wolarz poprawił się na krześle.

— Będzie na to czas, pogadamy, niechaj-no...

— Kochany bracie, mylisz się, czasu nie mamy, jutro o dziesiątej wszystko się skończy. Jakikolwiek masz projekt, będę go musiał poddać pod decyzję książąt, niema więc chwili do stracenia.

— Mylisz, że niema chwili do stracenia? Cóż

tu robić? Wiész co — tylko się nie gniewaj, ja ci powiem. Mam ten doskonały projekt, żeby Zygmunusia ożenić z księżniczką Stellą; on się już nawet w niej kocha.

Nie chcąc wierzyć swym uszom, plenipotent otworzył usta, wstał i spytał:

— Co?

Garbowski pomalutecznie powtórzył mu cicho.

— Ożenić Zygmunusia z księżniczką.

— Ale ty chyba zwaryowałeś! krzyknął w gniewie Gozdowski — tobie się w głowie przewróciło! Jego z nią? cóż ty sobie myślisz?

— Co ja myślę? Chłopiec młody, ładny, bogaty, szlachcic — wisusowaty, ale toby się utemperowało; cóż tak straszego?

Gozdowski ręką o rękę uderzył.

— Waryat! zawołał — niema co z tobą mówić — waryat jesteś!

— A no, to dajmyż pokój — cicho — sza, i chodźmy do pokoju.

W plenipotentą jakby piorun uderzył. Wszystkiego się mógł po Garbowskim spodziwać, ale tego rodzaju pomysłu — nigdy. Wychowany w czci bałwochwalczej prawie dla domu i rodu książęcego, nie pojmował, jak człowiek tego rodzaju, co Garbowski mógł się dopuścić zbrodni i obrazy majestatu książąt Brańskich. Stał jak posąg, jak kamień, nie wiedząc nawet co począć, co mówić, a wyrzucając sobie, że takiego człowieka mógł tu

wprowadzić. Lękał się pomyśleć, że on mógł z tą myślą wynurzyć się komuś, że Zygmunt mógł dać poznać po sobie dziwaczne urojenie swoje. Rad był się pozbyć ich jednej chwili, zapominając prawie o interesach i położeniu niebezpiecznym.

Co tu było począć? Pojmował prędzej już sprzedaż dóbr, ruinę, wszystko, niż przypuszczenie tak potwornego związku.

— Słuchaj, rzekł do Garbowskiego, chwytając go nagle za piersi — jeśli ty mi z tą głupią myślą przed kim się jeszcze wyrwiesz... jak mi Bóg miły do bonifratrów cię wsadzę.

Garbowski się rozśmiał, ruszył ramionami i nieulękniomy dodał:

— Daj ty mi pokój — at się sobie gadało — jak nie, to nie, i po wszystkim, ale ja pieniędzy nie dam. Albo parę folwarków kupię, albo syna ożeniwszy, oczyszczę im dobra, to co innego; ale tak znowu zмагаć się dla nich, kiedym już nic nie wart, nie będę.

— Gdybym był wiedział, że ci się tak w głowie przewróci, tobym cię tu nie wzywał, gniwnie począł Gozdowski — toś mi się pięknie przysłużył!

— Niema nic! nic się nie stało! Proponować można, w targu gniewu niema; dajmy pokój, książęta nas zaprosili na herbatę: pojedziemy, boć tę atencyą im oddać należy, a Zygmusiowi szepnę, że nie, i wprost ztamtąd do domu. Chłopcu będzie strasznie żal, bo formalnie w niej zakochany.

— Gdzież on ją u licha mógł widzieć? rozpaczliwie odezwał się plenipotent.

— W kościele, roześmiał się Garbowski—ja mu to z głowy wybiję—dodał spokojnie; ale że téż ty, panie bracie, takie fochy stroisz, jakbyś swoją własną krew tak lichy cenił. Co tak straszego?

I ruszał ramionami. Gozdowski patrzył i powtarzał tylko:

— Zwaryował! dalipan zwaryował!

Chciał jeszcze coś mówić z Garbowskim i odjąć mu odwagę popisywania się z pomysłem niedorzecznym, gdy ten wysunął mu się, z najzimniejszą krwią krocząc do salonu.

Tu właśnie zaproszony do fortepianu pan Zygmunt popisował się na nim z taką szaloną werwą i pewnością siebie, że na wszystkich słuchaczach potężne wywarł wrażenie. Grał bardzo dobrze i wprawnie, trochę stukliwie, a nadto ognście, z wielkiem *brío*, ale miał siłę, ogień ogromny i lisztowskim sposobem pokonywał najtrudniejsze rzeczy. Panna Antonina i ks. Robert przyklaskiwali marszowi węgierskiemu; nieproszony już, Zygmunt zaczynał mazurka Liszta.

Gozdowski, wszedłszy ze starym, spojrzał na popisującego się z ukosa z gniewem i trwogą — wyznać jednak musiał sam przed sobą, że ów szalawiła wyglądał wcale dobrze, miał minę diabła paniczykowaną i piękny był—nawet przy ks. Robercie.

— Trzeba tych intruzów co najprędzej się ztąd pozbyć, a nie, to oni mi tu piwa nawarzą, a ja za nich potem pokutować będę musiał.

To powiedziawszy, zasepiony uszedł na stronę. Rozpacz go niemal ogarniała, nie wiedział jak z tego wybrnie, jak się wytłomaczy, jeśli go pytają o warunki, wyrzucał sobie, że się w to wdał, nadewszystko zaś lękał się, ażeby książe, dowiedziawszy się jakim przypadkiem o pretensjach Garbowskiego, jemu nie przypisali myśli szalonej połączenia przez księżniczkę starożytnego domu udzielnych niegdyś książąt z rodziną panów Garbowskich i Gozdowskich.

Siedział tak ponnry, a patrzył z przerażeniem na Zygmunta i jego ojca, którzy jakoś tu sobie byli tak swobodni i weseli, jak ryby w wodzie. Położenie książąt, ich własne zawikłanie interesów, oburzenie Gozdowskiego, wcale się ich nie zdawało obchodzić. Stary Garbowski, z rękami w tył założonemi, w pośrodku salonu stał tak jakoś bezpiecznie i twardo, jakby tam wrosnąć myślał.

Korzystając z odwróconej uwagi, mecenas Hartknoch dał znak panu Zembrzyńskiemu i pokornie za sobą idącego pryncypała wyciągnął w dziedzińiec dla narady.

— Nie sądzisz pan, spytał, że ci Garbowscy panu szyki pomieszają? Przyjechali z pieniędzmi.

— Z pieniędzmi, tak jest, uśmiechając się, rzekł Zembrzyński, ale z tego nic nie będzie—oni



podają twarde warunki. ja z Garbowskim się widziałem wprzódy i spokojny jestem o niego. Puszczaj pan ich, niech idą swoim porządkiem, i owszem, i owszem, nam oni rychlej pomogą, niż zaszkodzą; my przy swoim twardo stać będziemy, a w dodatku się naświejem. Cicho! sza! żeby nas tu na naradach nie widzieli!

Po chwili zaś dodał:

— Państwo po obiedzie jedźcie do Brańska; ja tam nie mam po co, zostanę sobie w oficynie.

---

Jeszcze przed obiadem odjechała panna Antonina do Brańska, ażeby tam znowu dopomódz Stelli do przyjęcia gości, księżniczka bowiem przyświecała salonowi, jak gwiazda, ale do gospodarstwa wcale się jej mieszać nie dopuszczano. Stary książę pilnował surowo, żeby do zbytku temi powszedniemi sprawy domowemi się nie zajmowała, upatrując w tém niebezpieczeństwa, przez ocieranie się o służbę, odciągnięcie od wyższych zajęć i utratę ogłady salonowej, do której wielką przywiązywał wagę.

Księżniczka Stella wychowała się w tych warunkach do życia salonu, do wyższego towarzystwa, jak gdyby nigdy nie miała potrzebować sama się

czémś zaprzętać, bo od tego był dwór, fraucymer i służba. Nieraz to ją smuciło, gdy jej zabraniano pospolitować się przy zajęciach gospodarskich, które ją zabawić mogły -- wreszcie nawykła do swych krosienek, fortepianu i książek. Dla towarzystwa miała jedną pannę Antoninę. Pomimo wieku, była dziecinna prawie, a świata znała tylko tę cząsteczkę, na którą jej patrzeć było wolno w salonie i w troskliwie dobranych książkach.

Nikt mniej nad nią przygotowanym nie był do zmiany, do nieszczęścia, do osierocenia i samoistnego władania sobą. Służyło jej wszystko na skinienie i Stella znajdowała to w końcu tak naturalnym, jakby inaczej nigdy być nie mogło.

Szczęściem była to jedna z tych dusz i temperamentów spokojnych, które życie bez troski do jakiegoś pół-snu kołysze; nie pragnęła więc więcej nad to, co miała — nie marzyła o niczem, prócz tego, do czego była nawykła. Uśmiechem witała ludzi — życie płynęło dla niej niezmaconym kryształem, — nie ciążyło jej to nawet, że powtarzało się z dnia na dzień z nużącą jednostajnością.

Panna Antonina, która była usposobienia i charakteru całkiem różnego, zastosowywała się do niej myślą i mową, z pewnym rodzajem poszanowania, nie chcąc odsłaniać przed jej oczyma tego, czémby przerazić się mogła — kochała ją jak dziecko, któremu się wielu rzeczy nie mówi, boby ich nie zrozumiało. Kochali też wszyscy tę idealną Stel-

łę, która zdawała się z innego świata spadłym, brylantowym aerolitem.

— Po obiedzie będziemy mieli gości! gości! gości! zawołała Żurbianka, wpadając jeszcze w kapelusiku do księżniczki -- a doprawdy ciekawych i osobliwych, nadewszystko jednego młodzieńca, niejakiego Garbowskiego, syna bardzo majątnego obywatela, którego ojciec wygląda na ekonoma, a on na królewicza. Żwawy, dowcipny, muzyk wielki, artysta, trochę podobno poeta, nadewszystko oryginał, i—(tu się roześmiała, pokazując ząbki białe,) zakochany w kimś, w kimś...

Księżniczka wielkimi oczyma spojrzała,

— W tobie?

— Ale gdzież znowu! w księżniczce.

— Przecież mnie nie zna.

— Widział raz w kościele, i naturalnie, głowę stracił.

Stella się zarumieniła.

— Jest to ciche, zdala, niesmiałe uwielbienie Parsów dla słońca,—tak on sam swe uczucie okręśla.

— I mówi o tem tak?

— Zupełnie otwarcie — przyznał się odrazu przedemną. A jaki zabawny! jaki miły! dodała Antonina — ojciec przy nim mógłby za jego arendarza uchodzić. Śliczny chłopiec, śmiały, — ale — przyzwoity.

Paplała tak urywanemi słowy panna Antonina,

ściskając księżniczkę i patrząc w jej jasne, spokojne oczy.

— Pan Zygmunt i jego niepozorny ojciec, to już dwóch, za tymi idzie mecenas, któregośmy tu już mieli, ów z Warszawy, co raz był na herbacie przy księdzu biskupie. Któż jeszcze więcej? A! jakaś milcząca figura, którą zdawało się czuć atramentem i kancelaryą. Otóż wszyscy podobno. Zenon także przyjedzie, Gozdowski wróci, ale to nie goście. Cóż tam, jakieś interesa u ojca umawiali.

Stella, mimo obojętności swój, zajęła się tym zachwalonym Zygmuntem, z którego Antonina śmiała się, ale się go odchwalić nie mogła.

— Grajak Liszt! na pamięć całe poematy umieć! u nas na wsi, to zjawisko niepospolite. Gdyby bliżej mieszkał, czasemby się bardzo przydał na zimowe wieczory, bo miałby nas czem zabawić. Ręczę, że i ks. szambelanowi by się podobał. Generał do niego przylgnął, ks. Robert nawet się, z nim mówiąc, rozchmurzył.

Słuchając o tem, księżniczka milczała z pozorną obojętnością, lecz ciekawość jej mocno była pobudzoną, Antonina pobięła wydać rozkazy, zdawało jej się, że należało wystąpić okazale, aby obcym a jeszcze w interesach przybyłym, starą książęcego domu zamożność i przepych okazać—kazano dobyć do wieczery, podawanęj zwykle z herbata, zastawę staroświecką srebrną, wazy, kosze

do owoców, samowary, wanienki, oświecić salony, przystroić je w kwiaty.

Antonina tak dbałą była o sławę kobiet, jakby część jej do niej należała. Wyświężono więc stary pałac brański, a gdy Garbowscy z mecenasem weszli doń, przechodząc szereg cały sal, aż do jadalnej i bawialnej, musieli być uderzeni wspaniałością, która dziwny stanowiła kontrast ze stanem zropaczonym majątku i nieodzowną tego starego gniazda ruiną. Być może, iż Garbowski pomyślał sobie nawet, jakby on tu w opustoszałym gmachu się urządzał. Nie obudził jednak przepych i wystawa w żadnym z nich współczucia dla właścicieli, ani chęci ratowania ich. Mówili w duchu:—tak to się majątki tracą... Oglądali się, liczyli, oceniali, co też to kosztować mogło i za ile dziś nabytém być powinno. Gozdowski zbliżył się do zamysłowego kuzynka.

— Nie widzisz-że ty tu dopiero niedorzeczności swego projektu? Córkę tego domu chciałbyś mieć za żonę dla syna takiego dorobkiewicza, jakim ty jesteś—z motyką na słońce.

Garbowski się odwrócił, ruszając ramionami.

— A cóżby to było tak dziwnego? Trafiało się po świecie i gorzej. Mnie się przecię może większy honor należy, żem się dorobił, niż im, że takie dostatki stracili.

Nie było co z nim mówić.

Nadzwyczaj śmiało, ale z wielkiém uszanowa-

niem przedstawił się księżniczce p. Zygmunt Garbowski. Stella przywykła była do ludzi, którzy ją spotykali z uniżonością przesadzoną; ten zdawał się przy wielkiem uwielbieniu stawać z nią zupełnie na równi i nie okazywał najmniejszego pomieszanania. Siadł, zawiązał rozmowę, śmiał się, dowcipkował, z tą śmiałością nietylko że nie obraził księżniczki, ale się jej podobał. Zdawał się ją z długiego snu przebudzać, powołując z marzeń do życia.

P. Antonina pomagała robić Stelli honory domu, a że młodzieniec bardzo był ciekawy i unosił się nad wspaniałością brańskiego pałacu, panny poszły mu pokazywać jego osobliwości, obrazy, starożytne sprzęty. widoki, ogród i t. p.

W tej małej przechadzce, w której Stella była ciceronem, p. Zygmunt okazał, że nie zawsze siedział w Lublinie w warszawskim hotelu, że też po świecie bywał, widział i pamiętał wiele. Ztąd bardzo wesola i ożywiona zawiązała się rozmowa, do której przyłączył się ks. Robert.

— W istocie, rzekł Zygmunt, piękniejszej rezydencyi nie znam u nas w kraju, gdzie dotąd tak mało się starano o upiększenie siedzib wiejskich, wyjąwszy Puławy i Nieborów. Za granicą więcęć tego lubownictwa... niebezpiecznego zresztą, bo ono człowieka, jak każda namiętność, ciągnie za daleko.

— O! myśmy tu, przerwała księżniczka Stella,

z łaski mojego ojca nie mieli nic do robienia, potrzeba tylko było utrzymać. On to w początku tego wieku Brańsk stary dźwignął i na tym stopniu postawił.

— Trzeba wyznać, że dał książę dowody wybornego smaku. Nie dziwię się teraz, dodał p. Zygmunt, iż nikt z mieszkańców Brańska nie ma ochoty na świat się wychylać. Tak tu miło i dobrze!

Ks. Robert mimowolnie westchnął; przyszło mu na myśl, że to stare gniazdo przyjdzie może rzucić i oddać na pastwę jakiej fabryce cukru lub warsztatom sukiennym. Żal ścisnął mu serce.

— Trzeba być w duszy artystą, aby taki krajobraz odmalować, ciągnął dalej p. Zygmunt — te stare mury na tle ciemnej zieleni; te wód zwierciadła, te ulice ciemne, a we wnętrzu gmachu przeglądające się w lustrach krajobrazy ogrodu, to coś czarodziejskiego. A gdy, dodał grzecznie, jeszcze wśród murów i cieniów tych wystąpią dwie takie urocze postacie, jak księżniczka i wy, mości książę, i pani (rzekł, zwracając się do Antoniny), i ta jakby z grobu wskrzeszona postać księcia generała... toć najpiękniejsze dzieło sztuki nie dorówna rzeczywistości.

Stella się zarumieniła.

— O! to nie jeszcze, rzekła; gdybyś pan widział siwo-włosą postać majestatyczną, patriarchalną ojca mojego, z jego uśmiechniętym spokojem i dobroci pełnym obliczem...

— Bardzo mi żal, że się jęj pokłonić nie mogę, zawołał Zygmunt, lecz dość mi tego, co widzę, bym na zawsze pamięć dnia dzisiejszego zachował.

Zręczne te słodycze nie mogły się nie podobać— spojrzano sympatycznie na chłopaka — Stella się ożywiła. Wszyscy z podziwieniem patrzyli na rozjaśnioną jęj twarzyczkę i na pełną życia rozmowę wesolą, w której Zygmus rej wodził. Ojciec miał łzy w oczach.

— To diabeł nie chłopiec, powtarzał—ale tylko gdy chce, szalona pałka!

Gozdowski był zły widocznie i gniewny.

— Wiiesz, że ten młody człowiek, co się zowie sprytny i do rzeczy, szepnął mu generał. Jak się znaleźć umieć, co za aplomb! a przytém i na takcie nie zbywa.

— A tak, tak, szkoda tylko, że wisus na wielki kamień, szepnął Gozdowski.

— To się utemperuje—wrzucił ks. Hugon.

— I marnotrawca, dokończył wujaszek.

— Z czasem będzie skąpy.

— Byle nie po czasie — rzekł Gozdowski—ja go nie lubię.

Wieczór przeszedł tak najmilęj, a że p. Antonina zachwaliła bardzo talent Zygmunta na fortepianie, zmuszono go grać. Siadł i nową jeszcze zagrał Berceuse Schumann'a, potém parę pieśni bez słów Mendelssohn'a, dobrawszy najrzewniejsze, aby inną stronę swojego talentu pokazać.



Potem powrócił do księżniczki Stelli, rozpoczął coś o kwiatach, które wiedział, że lubiła, zabawił generała opowiadaniem o swęj bytności na wyspie Malcie, zajął ks. Roberta dowcipnemi ucinkami z towarzystwa warszawskiego — podobał się wszystkim. Gdy wreszcie pora przyszła odjeżdżać, żalowano powszechnie, że go zatrzymać nie było można, bo Garbowski oświadczył, iż odjeżdżajutro — ks. Robert prosił go, by o Brańsku nie zapominał. W ogóle wieczór upłynął, jak wśród najszcześniejszych i najswobodniejszych czasów.

Na wychodnem, gdy już do powozów siadać mieli, Gozdowski zaprosił Garbowskich do siebie. Chciał się ze starym rozmówić ostatecznie. Zgodził się na to wolarz. Wyszli przed dworkiem plenipotentą.

— Napijemy się u mnie ponczu, rzekł, kryjąc swe nieukontentowanie, Gozdowski — a potem wrócicie do Żurbów.

— I na to zgoda! odezwał się Zygmunt — tu przynajmniej u kochanego stryjaszka — gębę wolno puścić mogę, bo mnie aż boli od sznurowania. A!

Plenipotent zbliżył się do ucha kuzyna.

— No cóż ty teraz? nie żalze ci będzie tego domu? nie pięknieżby to było dla ciebie przyjść rodzinie na ratunek?

Wolarz kiwał głową.

— Wujaszku kochany — ozwał się Zygmunt,

jeśli są sekrety jakie, chyba mnie precz odprawicie ztąd, inaczej odgadnę. O co to idzie? może ja się też na co przydam? ja jestem *à toute sauce*.

— Potrzebują pieniędzy książęta, odezwał się ojciec.

— I do tatka się z tém udali, westchnął syn. O mój Boże! nie spytawszy mnie, który wiem najlepiej, jak u tatka kieszeń ciasna. Jest to skarbona, w którą zawsze wrzucić coś można, ale nigdy z niej dobyć.

— Mów-że, panie Zygmuncie, za nami! wrzucił Gozdowski.

— Za wami, a przeciwko sobie? nie mogę—odparł Zygmunt.

— Ja im propozycją uczyniłem, pociągając ponczyk i zadowolony z syna, zwracając się do niego, odezwał się wolarz—he? niech ci księżniczke wyswatają, a pieniędzy dam? A co?

I począł się okrutnie śmiać.

— Daj-no pokój tym żartom! surowo odparł Gozdowski.

Zygmunt zmierzył go oczyma.

— Przyznam się wujaszкови — dodał, że ojca myśl nader praktyczna i szczęśliwa. Ja jej przyklaskuję. Lecz ojciec, jak ja, musi to wiedzieć, że gdy uratuje książąt, najmniejszej dla mnie nie będzie nadziei; przeciwnie, gdy zubożeją, kto wie?

— Nigdy w świecie! obaście waryaty! Co z wami mówić?—obruszył się Gozdowski—dosyć!

— Zygmuś nie głupi! o! nie głupi! wtrącił ojciec, a no dosyć—ja jutro jadę.

Plenipotent począł chodzić po pokoju.

— Bracie—rzekł, namyśl się, uczyn coś dla tego szanownego domu bezinteresownie — uratuj ich! Zyskasz sobie najczcigodniejszych ludzi.

— Zyskasz ludzi, a stracisz pieniądze! zły handel! odparł Garbowski—to do niczego. Ludzi ja zawsze znajdę, gdy zechcę, a pieniędzy trudno.

Gozdowski próżno się na argumenty wysilał, napróżno chciał Zygmunta w pomoc pozyskać; chłopak zbywał go żartami, a ojciec twardą odmową.

— Wysokie progi na moje nogi. Zobaczymy, gdy się zniżą, to i Zygmuśowi przystęp będzie łatwiejszy. *Dziewczyna* (o zgrozo! tak zwał księżniczkę) podobała mi się, mógłbym mieć ładną synowę.

Obu ich z tej myśli szalonój wywieść nie było podobna; naostatek Zygmunt, poncz wypiwszy, wstał i zakończył:

— Jedźmy tatku, nie mamy tu co robić, trzeba czekać lepszych czasów.

Gozdowski wstrzymał starego w progu.

— Na miłość Boską cię zaklinam, daj pieniędzy! Nie stracisz ich, ręczę ci! Wybierz sobie z głowy projekty niedorzeczne, a zrób poprostu spekulacyą. Poczekasz, to ci się może część dóbr dostać w najgorszym razie.

— Nie mogę, nie mogę—odparł Garbowski— to darmo. Jechałem tylko dlatego, żeby coś dla Zygmunia zrobić i starać się jego uratować, bo inaczej chłopiec mi się zmarnuje. Jak nie można, szukać będę gdzieindziej. Dobranoc.

Gozdowski zęgnął się, stał i sam wreszcie w gan-ku—gdy odjeżdżali—zawołał:

— Niech was wszyscy diabli porwą! Syn go- dzien ojca, a ojciec syna! Waryaty!

---

Nazajutrz rano z mecenasem ostatecznie rozmó- wić się było potrzeba. Ks. Robert już nie przybył, nadjechał tylko generał. Nim do rozmowy przy- szło, karéta Garbowskich zaszła, murzyn popako- wał ich tłomoki, wybiérali się odjeżdżać. Gozdo- wski zachodził około nich jeszcze...

— Cóż wam w głowie świta? zawołał — czyż myślicie, że księżniczkę wam sprzedadzą? Wszak- że gdyby nawet Zygmunt był jej równym, musiał- by się starać, a niewiadomo czyby go przyjęła.

— To jego rzecz—rzekł stary, niech nam uro- czyste słowo dadzą, że starać się pozwalają, że je- śli ona zechce, żenić się nie zabronią, pieniądze kładę na stół!

— Ale ja im tego powiedzieć nawet nie mogę— krzyknął Gozdowski—w oczyby mi napluli. Oni-

by jeszcze może udziałnemu księciu robili trudności.

— Udziałnemu księciu, to co innego, przerwał Zygmunt, udziałni książęta często teraz bywają wypraszani ze swych udziałów, a taki majątny szlachcic, jak tatko, pewien jest swojej kieszeni.

Na tém się skończyło, pożegnali się Garbowscy i pojechali.

— Powiedz-że ty mnie, spytał, podchodząc, generał—i nic z nimi nie zrobiłeś? czemu?

— Czemu? bo obydwaj waryaty, zawołał plenipotent; niech się mnie pan generał o więcej nie pyta. Innej rady trzeba szukać.

Nachmurzony ks. Hugon, nie dopytując w istocie, zamilkł.

— Z mecenasem już inaczej nie możemy traktować, rzekł Gozdowski, tylko na tej podstawie, że część dóbr musimy na lat trzy dać zastawą.

Tak się w istocie stało, wniesiono projekt nowy. Mecenas spojrział na Zembrzyńskiego, który nieznacznie dał znak głową, że przystaje. Dlaczego to uczynił, zrozumieć mecenasowi było trudno; znał jego wewnętrzne usposobienie, więc tego rodzaju powolności nie rozumiał. Zawarowano natychmiastowe objęcie dóbr i przejście ich na dziedzictwo, jeśliby summa wyplaconą nie była. Lecz gdy przyszło do otaksowania, okazało się, że oprócz miasteczka Brańska i folwarku, który trzymał Żurba, wszystko z rąk wypuścić było potrzeba.

Kilka godzin przesiedziano nad papierami i nie zrobiono nic. Brańscy cenili dobra wysoko, mecenas nisko; sprzeczano się, pisano, rachowano, wieczór nadszedł i nie było nadziei układów. Z wielkimi prośby dał się mecenas nakłonić i pozostał nazajutrz do rana—generał i Gozdowski pojechali znowu do Brańska.

---

Dwadzieścia cztery godzin upłynęło od tego utrapionego wieczora, gdy generał wyjechał z głową rozbitą, z myślami powikłanymi, zrozpaczony niemal, chory w istocie, przekonawszy się, że wszelkie starania ocalenia majątków będą nadaremne. Jechał tak w myślach zatopiony, że gdy powóz stanął, musiano mu przypomnieć, aby wysiadł—nie wiedział, co się z nim działo.

Wprost udał się potem do Roberta; smutnie przemówili do siebie słów kilka. Młody książe z góry był pewien, że ratunek jest niemożliwy, nie chciał się jednak sprzeciwić; wysłano na całą noc (rozstawne konie dla pośpiechu, umieszczając podrodze) do księdza biskupa. Generał łudził się tą nadzieją, że biskup potrafi sumny duchowne, o które się starał na dobra, w porę jeszcze dostarczyć.

Nazajutrz wrócił posłaniec, przynosząc kartkę

niewyraźnie nakreśloną. Ks. sufragan był chory, pisał, że prędzej jak w pół roku nic mu zrobić nie podobna.

Rano ruszył znowu ks. Hugon z prośbą i naleganiem o folgę półroczną. Mecenas był nieubłagany, zastawa stawała się równie straszną, jak sprzedaż, a groźniejszą tem, że nie dopuszczała licytacji i cenę dóbr oznaczała bardzo niską. Układy więc spełzły na niczem, a mecenas zabięrał się do podróży, ze swym towarzyszem nieodstępny.

Na wyjeźdném jeszcze przemówił do niego generał gorąco, ze łzami w oczach, poruszony, i spotkał zimną, grzeczną, ale bardzo stanowczą odmowę. Dobra więc musiały iść na sprzedaż, cały ten sztuczny gmach zamożności, blasku, wielkości, dnia jednego miał runąć. Nie było ratunku. Gozdowski mówił o wypaleniu sobie w łeb, Żurba milczał, Zenon chodził chmurny i w myślach zatopiony. Wszyscy temi długimi spory znużeni byli i wyczerpani.

Gdy nareszcie powóz zaszedł i Hartknoch wsiadł doń z pokornym ciągle Zembrzyńskim, ci co w ganku pozostali, słowa do siebie nie mówiąc, rozeszli się.

Każdy z nich po cichu powtarzał:

— Niéma ratunku!

I przy téj ostatniej naradzie nie było ks. Roberta; spędził on ten dzień częścią przy ojcu, częścią

w swoim pokoju, nie mogąc spocząć na chwilę, miotając się i dręcząc.

Tymczasem Stella wesoło grała na fortepianie i śmiała się do Antoniny, której łzy stawały w oczach co chwila. Biędne dziewczę coraz to się wymykało do kątku, aby je otrzeć niepostrzeżone.

Wieczór już był, gdy generał wysiadł powtórnie z powozu, tak prawie onieprzytomniony, jak wczoraj—lecz wczoraj nieszczęście go przybijało, aż do odjęcia mu władz wszelkich, dziś ono budziło jakąś gorączkową ruchliwość. Wprost pieszo poszedł znowu do Roberta.

Zastał go chodzącego po pokoju tym krokiem bezmyślnym, który staje się potrzebą przy gwałtowném wzburzeniu. Instynktowo naówczas porusza się człowiek, jakby natura wskazywała mu, że powinien działać i pracować. Nie mówiąc słowa, ks. Hugon, zatoczywszy się prawie, padł na kankę, kapelusz rzucił, podparł się na rękę, nie pozdrowił nawet Roberta, który na chwilę zatrzymał się w chodzie i znowu tym krokiem maszyny począł mierzyć ciasne mieszkanie.

Po długim milczeniu:

— Stało się! zawołał generał.—Do czego się ludzi? na co daremnie uwodzić? Czas jest sytuacji, jaką nam uczynił los, zajrzeć w oczy śmiało i po mężku. Robercie—umieliśmy być szczęśliwi—nauczmy się cierpieć godnie. Brańsk przepadł... ale wiadomość o tem zabiłaby szambelana; bądź co



bądź, największemi ofiarami oszczędzić mu trzeba tego ciosu. Myślmy, radźmy, działajmy!

— Kochany stryju, rozkazuj — ja nie wiem, co począć; lecz co każecie, to spełnię — wszystko! bez wyjątku!

— Mój Boże! łamiąc ręce, krzyknął generał, to nieszczęśliwe, dobre, śliczne dziecko nasze — serce mi pęka! Dojeżdżając słyszałem jej fortepian zdało mi się że jej srebrny, miły, wesoly śmiech słyszę. Ona nie nie wie, ona się niczego nie domyśla. Jeśli oni nas zlicytują, jak grożą — cóż nam zostanie?... Pałac? może! — ale to będzie ciężar, którego my nie potrafimy utrzymać. Co począć z ojcem?

— Najwięcej obawiam się o ojca — oszczędzać go trzeba do ostatniej chwili. Stella się zastosuje do naszego położenia. Ubóstwo nasze będzie znosnym, coś nam zostanie w ostatnim razie — rzekł Robert. Sprzedamy pamiątki, sprzęty, kosztowności i jeszcze z tego skłębimy odrobinę, z której Stella, ty, kochany stryju, ojciec, będziecie mogli żyć wygodnie. Co do mnie, ja do służby powrócę.

— Wygodnie! tak, dla tych ludzi, którzy nie nawykli do zbytku, w jakim my wzrosliśmy, byłoby to aż nadto, ale ojcu odéjm-że ludzi, do których od wieku nawykł, jego stare sługi, jego obszerne mieszkanie, ceremoniał, który go otacza. Mnie, mówił generał, nie wiele zostało, czuję że

nie przeżyję długo tego ciosu, lecz ty—Stella, ojciec...

— Ja—ja niczego nie potrzebuję, odparł Robert, idę w służbę.

— A Stella, co się ze Stellą stanie?

— Stryju kochany, trzeba to wcześniej obmyśleć.

— Ja już nie mam myśli nawet! zawołał ks. Hugon, jam zabity.

W istocie silili się oba napróżno na wynalezienie nawet środków, z pomocą których mogliby oznajmić o nieszczęściu szambelanowi, w części przynajmniej, a Stelli—nie przed nią nie tając. Generał przebąkiwał, iż dla niej nic nie pozostawało, nad ten klasztor, którego ksienią była ciotka. Lecz Robert zaprotestował.

— Stella nie może się zamknąć w celi, przebywszy młodość na świecie, nieprzygotowana do tego życia.

I znowu milczeli, i siedzieli tak część nocy, to wzdychając, to rzucając słowa bezużytecznemi, które się rozpryskiwały w powietrzu.

Późno już nadszedł Gozdowski. Biedny człowiek, w tém zrozpaczoném położeniu chciał czémś być użytecznym. Nię było wątpliwości, iż wierzyciele posuną się do ostatecznych środków wyzyskania swych należności, że mogą areszt położyć na ruchomościach nawet, obawiając się, iż wartość dóbr nie wystarczy.

— Niema tu co czekać, zawołał Gozdowski—

co tylko jest kosztowniejszego: srebra, klejnoty, obrazy, należy natychmiast pakować, wywozić i byłbym za t<sup>ę</sup>m, żeby to sprzedać, a zapewnić w ten sposób jakikolwiek fundusz na przyszłość. Przychodzę po rozkazy.

— Rób pan, co uznasz dobr<sup>ę</sup>m, rzekł ks. Robert, jednakże zastanów się — nie może to odbyć się tak, aby szambelan tego nie dostrzegł, aby się nie dorozumiał.

— Myślałem już i o t<sup>ę</sup>m — dodał Gozdowski, i przychodzę z t<sup>ę</sup>m, aby p. szambelana, pod pozorem jego zdrowia, namówić na wyjazd do Warszawy. Tym sposobem oszczędzi mu się widoku najboleśniejszego.

— Szambelan za nic wyjechać nie zechce.

Rozprawiano tak, a każdy poddawał myśl swą, niepraktyczną i o dobr<sup>ę</sup>m tylko sercu świadczącą. Chciano posyłać po ks. biskupa, ale ten leżał chory. Generał wreszcie przypomniał sobie jedyne go blizkiego krewnego, jakiego mieli, brata żony ks. szambelana, księcia, którego nazwiemy tu dawnym mu powszechnie przydomkiem Pokrzywką.

Stosunki z nim od bardzo dawna były zaniedbane. Wiedziano, że mieszkał na Wołyniu, gdzie obszerne dobra posiadał. O stanie jego majątkowym mówiono różnie; jedni go mieli za bogatego, drudzy za bankruta. Czynny był bardzo, dobra kupował, sprzedawał, frymarczył, żył na wielką stopę, przecież nikt stanu jego majątkowego dobrze

nie znał. Było to t $\acute{e}$ m trudniejsz $\acute{e}$ m, i $\acute{z}$  ksią $\acute{z}$ ę, mi-  
mo wieku i siwego włosa, grał w karty tak zapal-  
czywie, i $\acute{z}$  nieraz wiecz $\acute{o}$ r jeden sto tysięcy m $\acute{o}$ gł  
czynić w kasie różnicy.

Generalowi zdawało się, i $\acute{z}$  wpadł na najszczę-  
śliwszy pomysł, przypomniawszy sobie tego czło-  
wieka.

— On jeszcze nas może wybawić! Zapomnieli-  
liśmy o nim. Niech Robert bierze pocztę niezwł $\acute{o}$ -  
cznie, niech jedzie, niech mu powie wszystko,  
niech się odezwie do jego serca!

Robert ruszył tylko ramionami.

— Pojechać mogę, rzekł, lecz, kochany stryju,  
uprzędzam was, że się to na nic nie przyda.  
Wszystkie te paliatywy uratować nas nie mogą.  
Zapó $\acute{z}$ no jest—umi $\acute{e}$ jmy z godnością upaść.

Po księciu Pokrzywce, wystąpił jeszcze z kilka  
równie niedołącznemi wnioskami generał; w osta-  
tku opuścił ręce i pogrą $\acute{z}$ ony w zadumie, siedział  
w krzesle, jak nieżywy.

Gozdowski domagał się decyzji co do sprzeda-  
ży—Robert nic nie śmiał rozstrzygać. Bezsilność,  
kt $\acute{o}$ ra powoli podkopywała ich przez długie lata,  
występowała coraz wyraziści $\acute{e}$ j w ostatniej godzi-  
nie. Nikt nie wiedział, co robić, co począc, od cze-  
go zaczynać.

Świtający ranek zastał ich jeszcze tak, narzeka-  
jących na los, na ludzi, na zdradę—a bezsilnych.  
Gozdowski powlókł się do swego dworku, generał

odszedł na górę, Robert został i nie rozbiierając się, znużony, rzucił się w fotel i usnął.

Jasny dzień i bijące w szyby słońce przebudziły go. Przed nim, cała w bieli, z bukietem i książką w ręku, stała, ze współczuciem wpatrując się w niego — piękna Stella, z twarzą anielskim spokojem opromienioną, dziecięcym uśmiechem jaśniejąca. Znalazła go tak po nocy bezsennej, z wpadłemi oczyma, bladego, znękanego, śpiącego w krześle, pokój w nieładzie po wczorajszych gościach, i powoli twarz jej z wesołej stawała się coraz poważniejszą, trwoga malowała się na niej.

Ks. Robert otwierał oczy zdziwione, nie mogąc jeszcze myśli pozbiierać.

— Bracie drogi—co ci jest? tyś cierpiący. Spałeś tu całą noc w krześle? Chory jesteś? — spytała go czule—mów. O jakież to szczęście, że ja nadeszłam tutaj. Nikogo nie było przy tobie, nikt nie wiedział, że jesteś chory. Mów, czy ci czego nie trzeba? co ci jest?

— Ale nie, moja droga, oprzytomniając, odparł Robert — zasnąłem tak, sam nie wiem, jak się to stało, ze znużenia, czytając... Mówiliśmy długo ze stryjem.

Mimowolne westchnienie wyrwało mu się z piersi; niespokojne oczy Stelli z niedowiarstwem go badały.

— Mój drogi—odezwała się nieśmiało, przysiadając na małym stołeczku u nóg jego, lękam się,

że wy, mnie za dziecko mając pieszczone, wszystko przedemną taicie. Ja przecię nie jestem tak ślepa: coś się tu dzieje z nami, o czém ja nie wiem, a czego tćm bardziej się lękam. Ci obcy ludzie, którzy przyjeżdżają z interesami, te narady potajemne, niepokój generała, nieustanni posłańcy do biskupa; ja się domyślam i drżę. Cóż się stało, drogi Robercie? ja mam odwagę: ja chcę wiedzić, ja chcę z wami podzielić się troską, wszystkićm—co dotknąć nas może—mówcie mi, nie oszczędzajcie mnie!

Wejrzeniem czułości pełnćm, prawie łzawćm, spojrział na nią Robert; była tak piękną, tak dotąd szczęśliwą, tak spokojną! Miała jednym wyrazem zniszczyć to dzieło rąk Bożych, oszczędzane tak długo. Zamilkł. Ona wzięła dłoń jego w drobne rączki i przymilając mu się, napraszała:

— Na miłość twą braterską dla mnie! Robercie, mów mi prawdę całą!

— Dziecko moje — zawołał brat, wićsz-że ty, czego się ode mnie domagasz? czy dźwigną ramiona twoje losy, które na nas spać mogą? Do dziś dnia nic się jeszcze nie stało, Stello moja, lecz dłużej taić ci nie chcę. Powoli mienie i byt naszego domu chyliły się ku ruinie. Wyczerpały go ofiary, wojny, wypadki—może nasza zbytnia ufność w Opatrzność i nałóg życia, którym żyliśmy wieki. Jesteśmy zagrożeni ubóstwem.

Stella zbladła; pierwszy wyraz, który z ust się jęj wyrwał był:

— Ojciec! biedny ojciec! ojcu nie mówcie!

— A! nie lękaj się, musimy go oszczędzić, do ostatniej chwili kryć przed nim będziemy katastrofę. Chciałaś wiedzieć — wiesz ją. Jutro może wypędzeni będziemy z dóbr, wyzuci ze wszystkiego.

Wielkimi oczyma osłupiałemi patrzyła długo Stella na brata: bladła, lecz pierwsze wrażenie przemogła — potarła ręką po czole i z powagą, głosem drżącym, odezwała się uroczyście:

— Bóg dał, Bóg wziął, niech imię Jego będzie błogosławione. Ubóstwo — dodała, a! to nie dla nas! myśmy młodzi. Ubóstwo? cóż to — praca? ale nigdy upokorzenie — a! nigdy! Czy ty się lękasz ubóstwa?

— Ja? nie! zawołał Robert, rozgrzany jęj wyrazami — ja, nie — ale dla nich..

— Wszak ludzie pracują, odezwała się — wszak i my pracować możemy — dla siebie i dla nich. Ja się nie zleknię ubóstwa, o! nie — ale ojciec — ale oni — ale owi biędni, starzy słudzy, przyjaciele, cóż z nimi? dla nich nasze ubóstwo może być nędzą... O mój Boże!..

Zaczęła chodzić po pokoju.

— I spadło to na nas tak nieprzygotowanych, jak piorun z jasnego nieba. Cóż się stanie z Brańskim, Robercie? Te miejsca dla nas święte, gro-

by, te wymodlone progi, te zawieszzone wspomnieniami ściany. A nie! to śmierć! to śmierć!

Zakryła sobie oczy i łzy z nich wytrysły.'

— Stello — zawołał żywo Robert — chciałaś prawdy, a brzemienia jej udźwignąć nie możesz. Uspokój się—groźba losu jeszcze się zmienić może.

— Nie — ja to przeczuwałam oddawna, odpowiedziała, odsłaniając powieki —nie wiem, czemu śniły mi się często okropne z raju wygnania, jakieś z domu ucieczki, jakieś łachmany brudne na mnie, na ojcu, i ludzie urągający się nieszczęściu naszemu. Lecz któżby śmiał się urągać, któż ma do nas żal? nie zawiniłiśmy nikomu. Tym snom oblegającym mnie broniłam się nieraz modlitwą i wstawałam, drżąc długo na jawie, gdy mi się wszystko śmiało.

— Więc to prawda! dodała po chwili—Robertcie—o ojcu myśleć trzeba, ojciec nic nie wie?

— I nie będzie wiedzieć, powtarzam ci, dopóki tylko utaić przed nim potrafimy.

— A generał? biedny stryj, on cierpi za wszystkich... a biskup, oni wiedzą?

— Wiedzą i starają się czynić, co mogą, aby uchronić nas od zguby, lub przynajmniej ją przeciągnąć. Nie możemy się skarżyć, mamy przyjaciół wiernych, Żurbowie ostatni grosz oddali, nie mogąc nas nim ocalić—Gozdowski poczciwy szaleje.

Zamysliła się Stella, zwieszając głowę.



— A tak! zawołała, teraz to rozumiem, dla czego generał tak pragnął tego małżeństwa z Alfonsyną, sądził, że się niem wykupimy. I ty biedny gotów byłeś na ofiarę, bo jej kochać nie mogłeś. Jam to uczuła, ja patrzyłam i zrozumieć cię nie umiałam. A! jakież to szczęście, że los cię uratował, że Bóg nie przyjął twój ofiary.

Z rękami ciągle złożonemi, jak do modlitwy, chodziła i płakała. Nie był to jednak płacz rozpaczy bezsilnej; w jej głosie i wzroku znać było mężką niemal odwagę. Podala rękę Robertowi.

— Bracie! mężstwa, mężstwa! my dwoje musimy robić wiosłami na tej tratwie rozbitków, myśmy młodzi i silni. Nasze szczęście w ich szczęściu. Ci starzy, to nasze relikwie przeszłości, to cały ród, dziady i pradziady uosobione w ich świętych postaciach... dla nich — miejmy siły.

Robert stał zamyślony.

— Ja dawno w tobie widziałam — odezwała się, jakby wyczerpanie bolesne, jakby obojętność dla życia, ale nam niewolno rozpaczać i paść i płakać, my musimy dźwigać, co najcięższe... Robercie! słyszysz mnie?

— Słyszę, Stello kochana, i uczę się od ciebie obowiązku... Nie lękaj się, spełnię go, ale daj mi odetchnąć. Najcięższem dla mnie było ciebie wtajemniczyć w tę niedolę.

W tej chwili szybki, łatwy do poznania krok generała dał się słyszeć w przedpokoju. Stella

spojrzała w zwierciadło, otarła oczy, starała się przybrać twarz wypogodzoną i pobiegła kilka kroków ku niemu.

Ks. Hugon szedł z jakimiś papierami w rękach. Spotkawszy synowicę w progu, przestraszył się i cofnął, lękał się, aby mu z oczów nie wyczytała tajemnicy, którą jeszcze chciał ukrywać. Niósł z sobą najrozmaitsze listy, notaty, adresy, wszystko, co według niego mogło posłużyć jeszcze do ratowania w nieszczęściu. Ratunku tego szukał ciągle w drugich, nigdy w sobie. Przez resztę nocy pousnuwał najdziwniejsze plany. Zdawało mu się niepodobieństwem, aby Opatrzność dała upaść wielkiemu Brańskich domowi, byłaby to z jej strony niewdzięczność. Fundowali tyle kościołów, tyle klasztorów, tyle szpitali... Ufał nawet w bilet loteryjny, który był wziął przypadkiem; oprócz tego przynosił adres jednego z ks. ks. bawarskich, z którym gdzieś służył, chciał pisać do osobiście mu znanego cesarza austriackiego, pokładał nadzieję w Rotschildach, z którymi onego czasu był na bardzo dobrej stopie...

Stosy tych urojeń dźwigał stary, zdyszany, znowu niemi odżyć usiłując — w progu spotkawszy Stellę, przestraszył się. Lecz wlepiając w nią oczy, popatrzywszy na Roberta, domyślił się, że musiała wiedzieć o wszystkiém, papiéry wypadły mu z rąk, lzy się rzuciły i pobiegł ku Stelli, ściskając ją z płaczem.

— Dziecko moje, aniele mój! Na co ci to powiedziano?

— Ale jam sama odgadła — łkając, przerwała Stella—to nic—tak lepiej—ja się na coś zdam, ja pomogę, ja nie chcę być wyjątkiem i oszczędzaną, słabą istotą; wezmę tę część, która na mnie przy-pada.

— Al ty jesteś święta, tyś aniol! krzyknął generał zachwycony—przed tobą klęknąć potrzeba!

Mimowolnie Stella się uśmiechnęła z za łez.

— O! stryjaszku.

— I zobaczycie—przerwał, poczynając zbierać rozsypane papiery razem z Robertem i Stellą, stary kawaler maltański — zobaczycie, że to jeszcze wszystko jakoś szczęśliwie się skończy. Jeszcze jest tysiące środków, o których się w pierwszej chwili nie pomyślało. Ja mam rozległe stosunki, nasza rodzina, znaną jest całemu światu, nie dadzą jej upaść. Esterhazowie, spokrewnieni z nami, są niezmiernie bogaci. Ja mogę wygrać na loteryi. Napiszę do cesarza austriackiego, do króla bawarskiego, do Rotschildów. Ze starym Rotschildem byłem za pan brat, lubił mnie bardzo! Ile to ja u niego dobrych zjadłem obiadów! To są ich listy. Chciałem właśnie Robertowi pokazać je, aby się przekonał.

Stella i Robert, nie dzielając tych marzeń stryjowskich, milczeli, niedowiarstwo ich wyczytał z oczów.

— Nie wierzycie mi? otóż przekonacie się.  
Rzucił papiery na stół.

— Tylko ty, moja Stelciu, nie gryź się, nie martw, nie płacz—nic jeszcze niema, oprócz groźby. Ja przeczuwam nawet, że ci ludzie, co nam grożą, w ostatniej godzinie zawahają się, zatrzymają i cofną sami, zobaczycie—nie trzeba rozpaczać.

Stella stała z oczyma spuszczone, myśl jej była już gdzieindziej; pocałowała stryja w rękę, brata w czoło.

— Ojca oszczędzić trzeba! powtórzyła pocichu, zresztą co Bóg da, to da—wola Jego błogosławiona.

Spojrzała, oczy otarła i jasna znowu, ale drżąca cała, ale słaniająca się od wewnętrznego tajonego bólu, wysunęła się z pokoju. Poszły za nią wejrzemia starca, który, patrząc, płakał.

— Za co? za kogo? za czyje grzechy anioł ten niewinny cierpieć będzie? rzekł powoli. Niezbada-  
ne wyroki Boże, niepoścignione drogi boleści i kary. Któż ten świat pojmie? kto wyczyta, co na nim hieroglifami pisze palec Boży?

I padł stary na kanapę, jakby go nagle wszystkie owe nadzieje świetne odeszły.

---

Izdebka pana Polikarpa Wincentowicza, od ogrodu położona, miała przed oknami tyle akacyj,

bzów i jaśminów, że w niej nawet o południu przy oknie tylko czytać było można. Wprawdzie śpiewały mu za to w maju słowiki tak, że często całą noc usnąć nie mógł, latały świętojańskie muszki, pachniały bzy i czeremchy rozkwitłe, i dlatego może nie chciał nigdy tego kątku, trochę nawet wilgotnego, na inny zamienić. Jakkolwiek ciasny, pokoik miał od bardzo dawnych lat przywilej, że się w nim nałogowo rezydenci, oficyaliści i czasem nawet skromniejsi goście schodzić byli nawykli na pogadankę i fajki. Miejsca zbyt wiele nie mieli, lecz można było we trzech siedzieć na łożku; krzesła prostych znalazło się do czterech; służył też za wygodne pomieszczenie ogromny kufer, a raczej skrzynia Wincentowicza, której tajemniczego wnętrza nikt nigdy nie widział; naostatek już przez gospodarza zafundowana najnowsza ławka pod oknem.

W pewnych dnia godzinach można było być pewnym iż, jeśli tylko Wincentowicz w domu, u Wincentowicza są goście. Zbięrali się szczególnie przed obiadem, przed wieczerzą, a niekiedy w dni świąteczne po obiedzie. Nie było bezprzykładnym, że się tu znalazła partya marysiku i warcaby. Tu sam Wincentowicz opowiadał obszernie historye sławne łowów różnych, a między innymi i radziwiłłowskich; tu Burski rozgadywał się o wielkim Napoleonie, którego znał osobiście, i o wyprawie do Hiszpanii, w której uczestniczył

i gdzie mu kula palec u nogi prawej urwała; tu ks. Serafin prawił swe legendy o strachach i duszach bez ratunku zostających, które przychodziły dłonią wypalać stoły swym znajomym i przyjaciółom, o co się zawsze z Burskim sprzeciali, bo Burski w nic nie wierzył i nazywał te powieści dziecinadami. Tu czasem pocziwy stary Żurba przyszedł, niosąc to proch dla Wincentowicza, to flaszkę starzej wódki, to przysmak jaki domowy.

Jeśli ks. sufragan przybył ze swym kapelanem Ablamskim, nie gardził i on skromną izdebką pana Wincentowicza, zwanego wielkim łowczym. Jeden Gozdowski, który trochę był pyszny, wcale tu nie zachodził, uważając takie pospolitowanie się z rezydentami za nieodpowiednie stanowisku, które zajmował.

Łatwo pojąć, że rezydenci nieraz zmuszeni milczyć w salonie i przy stole przez uszanowanie, nieśmiejący się poufale wygadać i wysmiać, tu znajdowali prawdziwą pociechę i swobodę, nie potrzebując ani słów dobiierać, ani hamować głosu. Pozwolił sobie który choćby co tłustszego, to dostał tylko od ks. Serafina paskiem, naśmieli się i po wszystkim. Można też powiedzieć, że owa izdebka Wincentowicza była kuźnią wszystkich wiadomości krążących po Brańsku, i tu się najlepiej dowiedzieć nowego, a sprawdzić niepewne było można.

Przystrojenie pokoiku było ubogie, skromne: strzelb kilka na kolkach, torby, siatki, rogi, obró-

że i wszystko, co zajęcia wielkiego łowczego znamionować mogło. Oprócz nich ks. Józef Poniatowski wisiał na jednej ścianie, straszliwie przez muchy zeszpecony, z drugiej Attala i Szaktas—Attala, na której trzymał się kawałek szkła, wyglądała nieźle, Szaktasa dym od fajek, wyziewy i pył zbrukały nielitościwie. Za piecem krył się dzbanek, miska i ręcznik. Tam także spoczywać był zwykły ulubiony wyżeł Wincentowicza, bekas. Trzeci to, czy czwarty już z kolei legawiec nosił to nazwisko, do którego wymawiania tak był nawykł łowczy, iż raz, mając wyzlicę, nazwał ją bekasą, ażeby się nie odzwyczajając.

Od kilku dni, to jest od początku zjazdu u Żurbów, izba Wincentowicza ciągle była pełną; tu przychodziły najrozmaitsze spostrzeżenia, wiadomości, domysły i podchwyczone słowa, z których różne wnioski snuto. Trwoga była powszechną,—cały już dwór dorozumiewał się, że książętom coś groziło; o złych interesach dawno wiedziano, bo Gozdowski, gdzie jakie były małe sumki, powychwytywał.

Nie dlatego smutne widać było twarze, żeby się wszyscy o siebie tylko lękali—cały ten tak sklejonny byt dworu, obyczaj jego, to jego życie społeczne drogim im wszystkim było. Poprzywiązywali się do szambelana, do generała, który jeszcze popularniejszym był od niego, do księżniczki Stelli. Robert obudzał w nich rodzaj współczucia, a choć

mało z ludźmi żył, znano jego dobre serce; nie mógł wiele, ostatnim się groszem jednak podzielił zawsze i pomógł każdemu, każda więc wiadomość niepomysłna, przychodząca od Żurbów, mnożyła u niepokój i gniéwy—gniéwy, bo dwór i rezydentenci najmniejszej winy upadku nie przypisywali księżętom, składali ją na niegodziwych lichwiarzy, na złych ludzi, na chciwość i łotrostwo. W ich przekonaniu nie było czcigodniejszych i lepszych panów nad Brańskich. Na samą myśl, że im tam jakiś przybłęda, groszołowca może wydrzeć majątek, sięść w ich dziedzicznych murach i rozpostrzeć się na ojcowiznie, Wincentowicz krzyczał, że szelmie gotów w łeb wypalić, Burski pięść podnosił, ks. Serafin mitygował i dodawał:

— Pan Bóg tego nie dopuści, to rodzina pobożna, to ludzie świątobliwi, kościołowi wierni, dla sług jego dobroczynni—czekajcie końca!

Czekano końca, a ten właśnie coraz się gorzej zwiastował... każdy na ostatek musiał i o sobie pomyśleć. Wincentowicz bardzo spochmurniał, Burski chodził, założywszy ręce w tył, ks. Serafin, modląc się, płakał.

Ostatniego dnia, gdy już gruchnęło wszędzie, że układy zerwane, że rady z wierzycielami dać nie było można, stał się lament wielki i rozpacz, a pocziwe ludziska znowu nie o sobie myśleli, tylko o starych tych, z których łaski żyli, a którzy dziś sami na łaskę i niełaskę losu mieli być oddani.



Najstarszym ze sług w Brańsku był właśnie Wincentowicz, który, choć trochę się po świecie tułał, za młodu tu służył i na starość powrócił. Znał on najdrobniejsze fakty i tradycje dworu, a ponieważ niczego stanowczego do badać się nie było można z nadchodzących plotek, zaczęto nalegać na Wincentowicza, aby ukradkiem do folwarku pojechał do Żurbów, i tam zasięgnął języka.

Wincentowicz wieczorem, przed rozjechaniem się jeszcze gości, pieszo poszedł niby ze strzelbą na polowanie, a powrócił markotny bardzo i późno. Ks. Serafin, który zawsze przed północą dla mszy św. zwykł był zasypiać, tego dnia był tak niespokojny, iż położyć się nie mógł. Burski, chodząc po dziedzińcu, czekał, znalazł się i ekonom z samego Brańska, któremu bardzo szło o wiadomość, co się tam święci.

Za Wincentowiczem wnet wszyscy wpadli do jego izdebki.

— No cóż? no cóż? mów! cóż się tam dzieje? będzie co z tego?

— Gdzie zaś, jakieś już nieszczęście, czy fatalność nad nami, zawołał Wincentowicz. Powiadają, że cały dzień gadali, rozpiérali się, kłócili i taki wszystko zerwane. Te bestye Warszawiaki... pieniądze i pieniądze, choć im, co chcesz, rób, nie myślą czekać ani kwartału. Trudno znowu z palca im wywinąć te summy, co im od lichwiarskich procentów porosły. Ale to jeszcze nic—rzekł ciszej Win-

centowicz, i to nie, żem murzyna widział, który istotnie z tym jakimś kuzynem Gozdowskiego przyjechał, ale coś mi się takiego trafiło, że sobie rady dać nie mogę.

— Cóż takiego? zapytał ks. Serafin, gadaj-bo...

— Trudno powiedzieć, gdy człowiek sam nie dobrze rozumie, mówił Wincentowicz. Trzeba państwu wiedzieć, że mam z małości taką pamięć, ale taką, że kogom raz w życiu widział, choćby w lat dwadzieścia po głosie i po nosie poznam.

— Et zaś! ofuknął Burski, fanfaronada!

— No—to mi ludzie poświadczą. Nie będę czasem mógł nazwiska przypomnieć, ale twarz i człowieka zaraz poznam, żem gdzieś już go spotkał.

— A z kimżeś się tam waćpan zetknął? spytał ks. Serafin.

— Otóż zaraz opowiem, proszę posłuchać, mówił dalej Wincentowicz, bo to ciekawa historia. Wiadomo państwu, że u Żurbów, tuż zaraz za folwarkiem, jest lasek brzozowy. Panna Antonina, niby to imitując nasz park, porobiła tam ścieżki i ławeczki. Miejsce wcale przyjemne. Ja skradając się, żeby tam dostać języka, najprzód sznurkowałem koło dworu, najrzałem parę figur; potem, widząc, że na mnie bardzo patrzą, poszedłem do lasku i w krzakach bzu przysiadłem na ławce. Po niejakięj chwili widzę i poznaję, jak z oficyny wychodzi mecenas, a za nim figurka niepoczesna, stary człek, dependent, czy coś. Póki szli przez dzie-

dziniec, dependent się niemal pół mecenasa trzymał, a kłaniał, jak swemu pryncypałowi. Śmiać mi się chciało. Tymczasem weszli ku mnie do lasku, a jak ludziom z oczów zeszi, widzę... mój dependent nagle spoufalął, zmienił ton, bierze mosanie mecenasu za guzik i coś mu szepcze i klepie go po ramieniu, i słyszę, jak mu daje przepisy, co ma robić, jak ma gadać. Jak tylko znowu w dziedziniec wrócili, mój stary zmienił się na najniższego sługę i za piętami mecenasu, jak pies, przy nodze idzie. Co to jest? myślę sobie—co to znaczy? co to za figura? Strasznie mnie kolnęło. Ponieważ mecenas zaraz do oficyn wszedł, a ten drugi w podwórzu został, poszedłem mu się przypatrzeć. Wglądam się, wglądam... dalibóg, zem go gdzieś widział, przysięgłbym, dalibóg. Gdzie? kiedy? trę czoło, trę, ani sposobu przypomnieć. On, jak tylko zobaczył, że mu się przypatruję, myk — i zniknął. Ale mnie niepokoiło to, myślę: — to tak nie może być, ja tu dojdę, coś ty za jeden i dlaczego inny jesteś w lasku, a inny w dziedzińcu. Poszedłem do dworu do starego Żurby, ot tak na gawędkę; zającą mu przyniosłem, więc miałem prawo. A pytam się go od niechcienia, kto taki ten, kto ów, jak się zowią. Ten mi prawi: mecenas Hartknoch, a to Garbowski młody, a tamten stary, jakiś dependent mecenasu, niby skrybent, kat że go wie, zapomniałem, jak się zowie. Źle. Idę ja do ludzi, począłem znowu sznurkować, żeby coś dostać; na-

ostatek od służących dowiedziałem się, że to niejaki Zembrzyński, powiadają skrybent, ale łgarstwo oczywiste, bo widziałem, jak w lasku pryncypała po ramieniu klepał. Zembrzyński!... Nazwisko to gdzieś słyszałem; szukam po łbie, szukam, aż oto jestem w domu! Stare to dzieje. Ja jeszcze byłem małym chłopcem, alem już przy dworze wysługiwał, kiedy się z Zembrzyńskim ta historia stała.

— Jaka historia? spytał ks. Serafin.

— Cały dwór ją wie i pamięta. Wyrostek Leon Zembrzyński był przy księciu szambelanem. Książę go nie lubił, miał do niego taką jakąś odrazę, że co dla innych dobry był, to na niego burczał i burczał i pokoju mu nie dawał. Raz tedy, a doskonale to wiem, bo było bardzo głośne i książę sam swęj popędliwości mocno potem żałował—raz gdy wiele było gości, księżna nieboszczka woła tego Zembrzyńskiego, każe mu iść do pokoju księcia i przynieść sobie list, leżący tam na stoliku. Zembrzyński idzie, list znajduje i ledwie go się tknął, aż czuje, jak go ktoś w gębę trzasnął. Obraca się,—to był książę, który sądził, że ten się skrada czytać cudze listy. Dopiero Zembrzyński w krzyk i rozjaśnia się rzecz. Chłopiec to tak do serca wziął, że i księciu się postawił bardzo ostro, i ofiarowanych pięćdziesięciu dukatów nie przyjął i tegoż dnia w świat poszedł. Książę się tęp zgrzył bardzo, bo czuł, że go pokrzywdził, a no rady nie

było, jak w wodę wpadł. Zobaczywszy tego Zembrzyńskiego, a posłyszawszy nazwisko, dopięrom całą sobie historiją przypomniał. A tom w domu, ten sam. Czekałem tylko, czy nie wyjdzie. Nareszcie wysunął się, ja mu drogę zachodzę, ten sam. Chciałem go zaczepić, ale mi zemknął z ręcznie i już się więcej nie pokazał... Otóż sądzę, że on tu nie bez kozery. Bo że ten sam Zembrzyński, przysięgnę, ale jak się dostał do mecenasa, po co tu przybył, a podżega do interesu? Co on w tém ma? Tu sęk.

Wszyscy zamilkli.

— Mnie się zdaje, odezwał się po chwili ks. Serafin, że asindziejowi się trochę śni. Najprzód Zembrzyńskich może być na świecie dosyć—powtóre, gdzie—co—ten sam, tutaj? i jakbyś go ty po latach tylu zaraz tak poznał? To imaginacya!

— Może i imaginacya, odparł Wincentowicz, a że mi to we łbie utkwiło i że, na dobrą sprawę, należałoby dotrzeć i dowiedzieć się, to téż prawda. Któż go może wiedzieć? A jeśli to ten sam, i teraz się mści swego policzka, i podjuża i szkodzi.

— Gdzieby w sercu ludzkim, u chrześciani-na, paskudna taka zemsta tak długo mieszkać mogła—odezwał się ks. Serafin—nie wierzę. „A odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy“ codzień mówiąc, czyż można dziesiątki lat karmić w piersi tę żmiję?...

— Com widział, co słyszałem, to wam mówię,

dodał Wincetowicz, a jeśli bałamucę, nie upieram się. Tylko mnie to nazwisko Zembrzyńskiego świ-  
druje, i twarz, choć zestarzała, dalipan ta sama. Ja  
go dobrze pamiętam, lisowato wyglądał, oczy we  
łbie, ponury.

— Ale czegożes się więcej dowiedział? spytał  
Burski—bo to jest tylko anegdotka.

— No źle, bardzo słyszę źle, rozjeżdżają się  
z niczém—rzekł Wincetowicz. Mój ojciec—a gdy-  
bym ja generałowi tę historiją opowiedział? he?

— Cóż to pomoże?

— Nuż on tam szkodzi?

— Czyż co na to poradzisz? Człowieka, co lat  
tyle nosił się z zemstą, jak dziś poprawić i upa-  
miętać?

Zamilkli więc wszyscy.

— Bogu to zdajmy, dodał ksiądz... a pomyślmy  
lepiej, czybyśmy my i nasi znajomi i familia nie  
mogli ich ratować...

— Żeby to nie takich summ potrzeba było, o-  
dezwał się łowczy—ja com także uciulał tu z ich  
łaski, dałbym chętnie.

— Ja nic niemam—rzekł Burski — ale w Pło-  
ckiem mam znajomych, co ruble korcami mierzą;  
pojechałbym, możeby na moje słowo pożyczli...

— Im z pod serca nikt nie pożaluje—rzekł  
Wincetowicz... damy ostatnie, jak Bóg miły... Ja  
moje zaniosę jutro generałowi... Żurba oddał, co  
miał... Gozdowski pewnie téż trzosa wytrząśnie,

ale tam niewiele co jest, bo przysmaki lubił... Jednak, niech się sobie śmieją, tego Zembrzyńskiego nie utają.

I tak się spać rozeszli.

---

Następnych dni w życiu i porządku miejscowym nic się jeszcze nie zmieniło; generał nieznużony pisał listy, szambelan po większej części siedział w swoich pokojach, Robert był, jak zawsze, milczący i mało czynny. Stella tylko poruszała się żywiej i umysł jej pracował teraz więcej, niecierpliwiąc się na to wyczekiwanie.

Jesień, jakby na przekorę głębokiemu smutkowi, była piękną i ciepłą, dnie i wieczory jej przypominały wiosnę... Brańsk na pożegnanie zdawał się przybierać jak najpiękniejszą szatę i stroić w złoto i purpurę. Ale ludzie chodzili osmuceni i przybici i gdyby szambelan więcej a uważniej umyślił się im przypatrywać, dostrzegłby łatwo, że wszyscy nosili na sobie żalobę jakąś, która im siły odejmowała.

Gozdowski wyjechał był na zwiady, czy już nie poczynają czego wierzyciele — miał powrócić wprędce, — gdy posłaniec tegoż dnia wieczorem pod niebytność jego nadbiegł z kartką od ks. Ablamskiego, oznajmiając, że ks. sufragan, po kró-

tkiej słabości, tegoż dnia nad ranem Bogu ducha oddał. Ks. kapelan prosił Gozdowskiego, ażeby przygotował generała do tej smutnej wiadomości, ale kartka bez przygotowania pod niebytność plenipotentą dostała się wypadkiem generałowi, który na tę wiadomość, jak ciosem niespodzianym rażony, od przytomności prawie odszedł.

Na ks. sufraganie pokładał on niemałe nadzieje, roił o summach duchownych, o poparciu z jego strony pism, które na wszystkie wysyłał strony. Strata biskupa dla rodziny była niewynagrodzona. W ostatnim razie generał spodziewał się tam znaleźć przytułek, a serce zmarłego bezprzestannie dla nich wszystkich wylanem było. W pierwszej chwili tylko mu się łyzy toczyły.

— Niestety jedno nigdy samo nie przychodzi, mówił, łkając... Jak powiedzieć szambelanowi, który był do niego tak przywiązany? a jak znowu taić to przed nim?

Posłaniec ks. Abłamskiego rozpuścił wiadomość o śmierci po całym dworze, choć mu tajemnica była zaleconą... Ks. Serafin z Wincentowiczem już tę nową klęskę oplakiwali... Z listem w ręku powlókł się stary do ks. Roberta i wszedłszy, nie mówiąc słowa, oddał mu go.

— Trzeba nam jechać, rzekł — musimy i dla interesów i dla serca być na miejscu... Biedny brat!.. nawet nie czuł się widać tak źle, kiedy ni-



kogo z nas nie wezwał... A śmierć przyszła tak nagłe! Ledwie zasłabł i skończył.

Nie chciano jeszcze tego dnia nic mówić szambelanowi. Generał poszedł tylko w myśli przygotowania ks. Norberta. Znalazł go nad wszelkie spodziewanie w humorze wesołym, z rozpromienioną twarzą, ochoczym—jak nigdy.

— Mówią—odezwał się, podając rękę generałowi, że jesień dla starych jest niebezpieczna. Fałsze to są, ja przynajmniej czuję się tego roku tak zdrów, silny i wesół, jak rzadko. Rychlejbym powiedział, że na was, co się więcej na powietrze narażacie, skutek ten wywiera... ja, co siedzę większą częścią w kącie, nic tego nie czuję. Ty, generale, Robert, nawet Stella, posępnijcie mi chodźcie, co wam takiego jest? Nie możecie znać dotąd wydychać tego hrabiego, a ja o nim dawno zapomniałem... Głupi był przez całe życie!...

— Jeżeliście uważali zmianę w mej twarzy, podchwycił ks. Hugon, chwytając tę zręczność, to się wam przyznam, że jestem mocno niespokojnym o zdrowie ks. sufragana. On, słyszę, od kilku dni chory...

— Chory? niceście mi nie mówili... he? spytał stary—ja sądzę, że to nasza rodowa choroba, co go zawsze męczyła... ale to przechodząca rzecz. Nic macie się o co lękać. Ja, dzięki Bogu, mam lat ośmdziesiąt... a krzepko się trzymam jeszcze... jemu dopiero sześćdziesiąty piąty. Cóż to za wiek?

Młody jest, przytém życie regularne... Niepotrzebnie się tego lękacie.

— Dziś przysłał ks. Ablamski z zawiadomieniem, że się czuje bardzo źle; ja jutro myślę do niego jechać.

— A zapewne, jedźcie, rzekł stary — to go zerwie, lecz ja wam powiadam: hemoroidy, nic więcej.

Generał zamilkł i przeszedł się po pokoju.

— Nie pisze ks. Ablamski, co mu jest? spytał szambelan.

— Powiada, że gorączka jakaś i że doktor o niego niespokojny.

— Gorączka? to gorzej — pewnie zaziębił się w czasie nabożeństwa, bo zwykł był czasem w tym wilgotnym kościele zadługo przesiadywać. Jedźcie i radźcie mu odemnie, niech się napije lipowego kwiatu dla transpiracyi, a octem się każe wysmarować.

Znowu generał pochmurny zamilczał. Szambelan usiadł i uśmiechając się, spoglądał na niego.

— Widzę, że już jesteś niespokojny; jak to wy zaraz lękacie się wszystkiego! W naszej rodzinie byliśmy niemal co do jednego długowieczni, choć prawda, że czasy też lepsze były i gryźć się nie było czém. Dziad nieboszczyk miał lat dziewięćdziesiąt i trzy, gdy umarł — i to z przypadku, ojciec nasz, jak wiesz, dożył do dziewięćdziesięciu, babka miała osmdziesiąt i sześć...

— Tak—ale téż dobrześ powiedział, czasy były inne...

— A! inne! westchnął stary. Uchowaj Boże czego na ks. sufragana... ponieślibyśmy w nim stratę wielką... Człowiek do rodziny przywiązany, prawy, dobry i niemal święty...

— A! prawda, zawołał generał, ręce załamując—wiemy to wszyscy... nieoceniony człowiek...

— Bóg nam go nie odbierze... Jeśli pojedziecie, rzekł stary, odwiedźcie i siostrę.

To powiedziawszy, odwrócił rozmowę szambelan, bo nie lubił długo mówić o rzeczach smutnych, i spytał o gości, których nie widział.

— Co to tam był za Garbowski z synem? Stella mi chłopca tego chwaliła.

— Cós to oryginalnego ta familia—odparł generał. Ojciec bardzo prostakowaty, syn do rzeczy—ludzie być mają bogaci, ale Gozdowski, którego są krewnymi, krzywi się na nich.

— Pocóż tu oni przyjeżdżali?

— Jakies interesy pieniężne, odezwał się generał, nie wiem o co im chodziło.

Szambelan popatrzył i zaczął o czémś inném. W ogóle jednak myśl miał ciągle swobodną i jeśolą, parę nawet anegdot z dawnych czasów zwał ściwym sobie dowcipem opowiedział generałowi który je już kilkakroć od niego słyszał i obrał chmurny, nierad temu, iż jego przyśmucznik wia-

zło na niczém. Wcześniej niż zwykle pożegnał się z bratem.

— Ucałuj-że biskupa i odemnie po stokroć, a powiedz mu, jak tylko się lepiej uczuje, niech na rekonwalescencyą tu do nas przybywa, wygodniej mu będzie. Tam dom lichey i nieopatrzony, wilgotny, i kuchnia nie do rzeczy.

Z tém wyszedł ks. Hugon, a nazajutrz, zabrawszy Roberta z sobą, wyjechał smutny, czując się także na zdrowiu nie dobrze. Przez całą drogę nie przemówili prawie do siebie.

W miasteczku znaleźli z powodu niespodzianej śmierci człowieka, który wszystkim wiele świadczył i był tu najważniejszą osobistością — zamieszanie wielkie. Duchowieństwa z bliższych parafij wiele się już było zjechało. Przygotowania do eksportacyi i pogrzebu zajmowały księży i ludność, cisnącą się na sufraganią.

U drzwi przywitał ich ks. Ablamski ze łzami i na wikaryą do mieszkania swojego poprosił. Do ostatniej chwili był on przy umierającym, który w ostatnim jeszcze mu, całkiem będąc przytomny, s... ..

... .. i mości księżę, zanosząc się od płaczu m... ..  
... .. straciliśmy człowieka wielkiej i skro-  
prawo... .. noty, a ja w nim ojca i dobrodzieja! Nikt  
było... .. i jak wylany dia-  
dziesi... .. sobie! Uwierzył-żeby kto, iż la-  
ciec... .. jak wie... .. przy znacznych dochodach i  
babł... .. miała ośm...

największej oszczędności życia — nie zostało po nim za co sprawić pogrzebu? Sam mi mówił na godzinę przed śmiercią, oddając swój woreczek, iż więcej po nim nic nie znajdziemy, abyśmy nadaremnie nie szukali.

— Na miłość Boga, być-że to może? zawołał przerażony generał.

— Potwierdza to i testament, który państwo czytać będziecie. Jedynym funduszem pozostałym jest to, co miał u ks. szambelana, a długów zostawił dosyć.

Był to nowy cios dla Brańskich i generał przypomniał sobie łatwo, że różnemi czasy do dwóchkroć u niego pożyczyli. Długi więc ks. sufragana miały znowu zaciężyć na majątkach. Spytał zaraz o testament ks. Hugon; był on otwarty, przed notaryuszem sporządzony, więc go też rychło dostać mogli. Rozmaite summy, czasy różnemi dane familli, wynosiły przeszło dwakroć; z tych sto kilkadziesiąt długów należało opędzić rychło, dać na pogrzeb, a resztę ks. sufragana przekazywał Stelli i Robertowi, z małym legatem dla sług i ks. Abłamowskiego.

Robert i generał nic z sobą nie mieli, wydatki były pilne, położenie przykre; wypadło posłać zaraz do szambelana i prosić go o pomoc, gdyż on jeden miał cokolwiek gotowego grosza. Ponieważ ani Robertowi, ani Stelli w tej chwili odjeżdżać nie było podobna, generał siadł i posłał do brata i do Stelli, prosząc o pomoc i ośmieszając smutnej wia-

domości przygotowała, a pieniądze przez Wincen-  
towicza natychmiast wyprawiła.

Resztę dnia spędzili, modląc się przy zwłokach i na smutnej rozmowie z ks. Abłamskim, który ciągle zgon biskupa oplakiwał. Słudzy jego też, modląc się przy ciele, jęczeli i łzami się zalęwali. Ty-  
siące dobrych uczynków nieboszczyka teraz dopie-  
ro na jaw wychodziło, gdy każdy, co mu wprzód  
taić kazano, głośno rozповідаł. Ks. Hugonowi  
ten widok, ten cios nowy, który familią i na sercu  
i w jej bycie tak boleśnie raził, odjął resztę otu-  
chy i odwagi do walki z losem. Siedział nierucho-  
my, bezmówny, dając sobą powodować drugim, a  
że Robert nie o wiele przytomniejszym był od nie-  
go, ks. Abłamski obu nimi rozrządzał i kierował;  
mimo żalu mając jeszcze siłę, zajmował się pogrze-  
bem i nimi.

Nie dostrzegając, pogrążony w sobie ks. Hugon,  
\* obrzęd ten, który dla imienia biskupa i dostoj-  
\* si r... .. powinien był, zwyczajem powsze-  
c' ... .. się odbywać okazałością, tylko dzie-  
ki ... .. niemu i jego zabiegom jakkolwiek  
się dał urządzić. Wszystkiego doń brakło, a naj-  
pierwój pieniądze. Kościół, co miał, dostarczył  
chętnie, lecz ... .. i kupcom płacić było  
potrzeba. Zapoz... .. ks. Scholastyka i kil-  
ku kanoników, wysłał uczynił... .. które rzeczy do  
Brańska.

Dawniej br... .. wilia nie nie szczędziła, aby

uczcić jednego z najznakomitszych swych członków, dziś—los własny zbyt ją obchodził, by o okazłości pomyśleć było można. Nie zastanawiano się już i nad tém, że na biedną Stellę włożono obowiązek ciężki oznajmienia ojcu o śmierci brata, którego kochał tak czule, że przez nią żądano, przeciwko wszelkiemu zwyczajowi, rodzaju pożyczki od niego.

Złożenie zwłok w grobach biskupich w kolegiacie odbyło się wszakże uroczyście, dzięki ks. Ablańskiemu i dopiero tego dnia Wincentowicz z listem nadjechał. Generał tak był uciśnięty potrzebą grosza i obawą oń, że nie spytawszy się nawet o szambelana, powitał łowczego zapytaniem:

— A masz pieniądze?

Listy i pieniądze przywiózł szczęściem Wincentowicz, od Stelli obłany łzami i od starego ks. Norberta ręką sekretarza, krótki, ale rzewny. W przypisku donosił, że żądane pieniądze przysła. Generał, który się zawodu i w... awiał, lżej odetchnął. Były to te same tys... złoty, które Robertowi wprzód... ty dla jego bohdanki.

Po ubogim ks. sufraganie... szy te długi, które Brańsk zapłacić by... żany, nie zostało nic—żadnego kosztu... przętu, żadnej prawie pamiątki. Ostatnie... ry dla rodziny zmusiły go do zastawienia srebra trochy i... cennych klejnotów. Kościelne przybory, i... orwały, krzyże

przekazał zakrystyi kolegiaty. Przejrzenie izdebek które zamieszkiwał, zdumiéwające odkryło ubóstwo. Sukni nawet i bielizny mu brakło, a nikt o tém nie wiedział, nikt tego nie dostrzegł. Czego nie oddał rodzinie, zabrali jego ubodzy, bo tych także swą rodziną w Chrystusie nazywał.

Przy pogrzebie płacz i żal był wielki, cisnęły się tłumy ludu, a nawet różnowierców, bo biskup ubogich wspierając, różnicy między ludźmi nie czynił,—wszyscy dlań byli równymi.

Zaledwie ostatnie pieśni kościelne przebrzmiały i trumna do sklepów spuszczoną została, general i ks. Robert pojechali nazad do Brańska, niepokojąc się już o szambelana.

Zastali go wprawdzie z książką od nabożeństwa w rękę, z oczyma zaczerwienionemi, ale daleko spokojniejszym, niż się spodziéwali. Uściskał przybyłych rzewnie.

— Niéma go więc—rzekł cicho—ubyla jedna święta dusza, powołana do orszaku wybranych Pańskich... Nie płaczmy nad nim—szczęśliw jest, my biédni!...

Tu zaczął rozpytywać go o zgon i chwile ostatnie, nareszcie o pogrzeb i wystawę, jaka księciu Brańskiemu do grobu towarzyszyć była powinna. Ogólnemi wyrazy Robert zaręczył, że się pogrzeb odbył, jak przystało i że niczego nie pożalowano, aby go uczynić godnym imienia, jakie nosił zmarły.

— Przysłałiscie pieniądze, to pojmuję, do-



dał ks. Norbert; jego pozostałości i kasa musiały być opieczętowane. Tak chce prawo,—boć sufragan pewnie znaczny po sobie majątek zostawić musiał w gotowiznie. Inaczéj nie może być, oszczędnym był dla siebie, dochody musiały być bardzo wielkie, pieniądze być muszą. Testament zostawił zapewne?

Z tych złudzeń nie chciano wyprowadzać szambelana, ażeby go więcéj jeszcze nie zmartwić. Generał ogólnikami go zbył, Robert milczał, popłakali się potém jeszcze, i szambelan usiadł kończyć nabożeństwo swe za dusze zmarłe.

Z trzech ich on jeszcze był najspokojniejszym, najwięcéj zrezygnowanym. Smutek jego uroczysty, cichy już się z życiem godził i wszedł jako żywioł powszedni do niego. Szambelan naznaczył sobie modlitwy, jakie miał odmawiać, nabożeństwo, które powinien był kazać odprawić w kaplicy i kościele—popłakał i wracał do powszedniego trybu bez narzekań i oznak nadzwyczajnej boleści. Wiek przytępił w nim, a raczéj opanował uczucie tak, aby resztek życia zatruć nie mogło.

Wypadek ten, na pozór nie mogący wpłynąć na losy rodziny, przyczynił się wszakże do pogorszenia jéj położenia. Testamentem swym biedny ks. sufragan zaklinał brata, ażeby ubogim, od których się był zapożyczył, aby przyjść w pomoc familii, jak najprędzéj należności ich zapłacone być mogły. Czynił to, zaklinając ich i błagając, aby na sumie-

niu jego krzywda i lzy nie ciążyły, dodając, iż nie będzie mieć w grobie spoczynku, póki summy te spleacone nie zostaną.

Chciano zataić rozporządzenie ostatnie przed szambelanem, lecz prawo wymagało zakomunikowania go. Ograniczyć to jednak umiano do odczytania przez plenipotentą Gozdowskiego. Generał zapowiedział mu razem, iż bodajby z największemi ofiarami te sto kilkadziesiąt tysięcy znaleźć trzeba i natychmiast wypłacić.

Plenipotent słuchał, jak odurzony—w kasie nie było ani dziesiątej części tego, a na dochodach już położone zostały sekwestry. O pożyczce myśleć nie było podobna. Cóż począć mieli? Narada skończyła się rozpaczliwém przekonaniem o niemocy i bankructwie; generał jednak powtarzał swoje, że pieniądze te, bądź co bądź, zapłacone być muszą.

— Zkąd-że je mam wziąć, na miłego Boga? zawołał Gozdowski — proszę mi wskazać środki. Przed kilką miesiącami mogliśmy pocichu sprzedać lub zastawić jaki folwark, dziś już i tego tknąć nie mamy prawa.

— No—to ruchomości jeszcze nie przyaresztowano — zaczął generał — sprzedajmy, co się da tylko spieniężyć.

Spojrzał na Roberta; który się nigdy nie sprzeciwiał, powtórzył:

— Sprze

— Cóż mamy do sprzedania? srebra, obrazy, to co jest do codziennego w domu użytku; w takim razie nieodzownie szambelanowi o tém powiedzieć potrzeba, bo ukryć niepodobna.

— Zobaczymy! rzekł generał.

Po odejściu Gozdowskiego dodał:

— Poczciwy człowiek, ale do niczego—interesów robić nie umie.

— Kochany stryju, przyznam się, że ja tu także nie widzę środka—dodał Robert.

— Zapewne, powszednie środki są wyczerpane—ale—zobaczmy, zobaczmy, szukać musimy nadzwyczajnych.

I wyszedł ze spuszczoną głową, jak gdyby ich na ziemi oczyma w nią wlepionemi szukał.

---

Trzeciego dnia potem, pan generał wszedł zrana, zaciągając ręce skostniałe, do pokoju szambelana.

— Wiész, bracie—odezwał się—dobrze robisz, że nie wychodzisz z pokoju swego; powietrze nagle się ostudziło, wcale zimno. W tych wielkich salach piece się nie wytrzymać nie można, a że zimą trudno rezerwować, nie wiem, jak się urządzimy. Jeszcze na wieżkę po trzęgłem wczoraj niebezpiecznie zrysował się sufit w żółtej sali i kazałem rusztowaniem go noceprzeć. Wypadnie

aż do wiosny część zamku zupełnie oddzielić i bez niej się obchodzić.

Szambelan słuchał opowiadania nadzwyczaj zdziwiony i zaniepokojony. Dla niego formy i nawyknienia życia były niezmierniej wagi, nie pojmował prawie, jak się potrafi ograniczyć mniejszą liczbą pokoi, oswoić z umieszczeniem gdzieindziej swego krzesła, swych godzin, nauczyć jeść i pić w innem miejscu i w innych warunkach. Staruszkowi zawracało się w głowie, zmarszczył brwi.

— Cóż-bo to znowu jest? zawołał — za moich czasów nigdyby się nie podobnego trafić nie mogło. Dopuszczono do tego, że się pałac wali na głowy? Jak to może być? Wszakże to natychmiast da się naprawić. A nuż przyjadą goście i trzeba będzie przyjąć kogo?...

— Tymczasem tak jest—odezwał się ks. Hugon, musimy się trochę ścisnąć, nie potrwa to dłużej, jak do wiosny. Kazałem z Robertem przy tej zręczności opatrzyć budowniczemu całą główną budowę pałacu. Na piętrze i na dole ukazały się rysy wcale niebezpieczne; należy na zimę to pozamykać, oddzielić, podeprzeć, a z wiosną weźmiemy się do restauracyi koniecznej. Ty na tém nawet dla zdrowia swojego zyskasz, mój bracie, nie będziesz potrzebował zechodzić tyle zimnych pokojów, salonik urząmy tu blisko. Z tamtych zaś musimy obrazy sprzęty nawet powynosić i



jąc palcami po stole, lecz twój projekt warszawski wcaleby nam oszczędności nie przyniósł. Po-licz-że no: ja, ty, Robert, Stella, a ona się bez Antoniny nie obejdzie, tyle sług, dworu, koni...

— Moglibyśmy się troszeczkę ścisnąć i ograniczyć.

— Bardzoby to dobrém było, gdyby było możliwém, zawołał szambelan z pewną niecierpliwością. Zapominacie, kim jesteśmy i że nam niewolno pokazać się na świecie nie tak, jakby dla Brańskich przystało. Na wsi jeszcze łatwiej zmniejszyć etat dworu, ale w mieście! My tam reprezentować musimy całą wielką przeszłość domu i rodu. Jakże ty tego nie pojmujesz?

— Królom... żdzą *incognito*.

— A... y, książęta; królom to nie uwłac... oankructwo, a przyznam ci się, i Tymczasem tak więcćj nad to nie zabolalo.

musimy się tronówić, stanął, dech w sobie z ażej, jak do wiosny

ej zręczności opał projekcie warszawskim ani mowną budowę pałze, kończył stary książę, ścisnie się rysy wcależyjemy tak, choć nie bez wielkiej pozamyka przykrości, to ci wyznać musz

— Lecz... nączej? spytał generał.

...wa... j łasce jestem, śmiejąc się, do-kończył ks. Norbert, czyńcie, co się podoba, nie-radbym tylko, żebyście mnie z moich... wyrzucali. Ja... już nie... nie dyspon... do

niczego się nie mieszam. Będę posłusznym, muszę być posłusznym.

W tej pozorniej pokorze czuć było wszakże trochę bólu i nieukontentowania. Zamilkł a po krótkiej chwili począł:

— Więc jakże tam? całą zimę w małym saloniku? a tamte ogołocicie? hm? Więc chyba i większego stołu dla gości tu zastawić już nie będziemy mogli, ani kredensów, ani sreber.

— Własnieśmy srebra, obrazy i kredensy pakować kazali.

— Już pakować? cóż to jest? na miłość Boga? co to jest? tak pośpiesznie, słowa mi nie powiedziawszy? Rozporządzacie się tak... Toż sama przyzwoitość wymagała, Robert spytał przynajmniej. Ja się nie miewałem, ale abdykowałem, to prawda, ale niemniej, jestem choćby honorową głową domu.

— Robert nic nie winien; tą szarą gęsią, co się tak rządzi samowolnie, jestem ja, mówił generał, i przepraszam pana brata. Strach mnie wziął, rozkazałem zaraz znosić wszystko i w paki. Okropne rysy na murach.

— Rysy u licha? gdzie? jakie rysy? nigdym ani skazy nie widział? z kąd się wzięły?

— Nagle, powiadam ci, coś musiało pęknąć w belkach; zjawilo się to, zdaje się wczoraj, i szczerze natychmiast dostrzegł...

— Nic nie rozumiesz? dalipan - nie rozumiem!

— *Ma foi*, ani ja, ale fakt, cóż począć?

— Za pozwoleniem, przerwał nagle szambelan, zatém należy program pewien ułożyć. Gdzież jak jadać będziemy? ile osób salka zmieści? Może już i zamiast saskiej porcelany, dacie nam fajans celichowski? he?

— Co do kosztowniejszych serwisów, te pewnie pochować każe, dorzucił generał, jak zaczną się z tém nosić przez podwórze, bo to teraz komunikacye będą pozrywane, to najpiękniejsze celadony nam potłuką.

Mruknął z nieukontentowania stary, i rzucił ręką.

— Róbcie, róbcie sobie, co chcecie, niczemu się nie sprzeciwiam, jak wam się zda lepiej, lecz że to będzie wyglądać na bankructwo i nagłą jakąś ruinę, to pewna. Ale program, program, generale?

— W twojem życiu się nic nie zmienia, program zostaje dawny, godziny też same, jedyna różnica ta, że zamiast do wielkiej sali, przyjdiesz na obiad o dwa kroki, a bilard ci każemy przenieść tutaj.

— Bardzo dobrze, róbcie, jak się podoba; zastosuję się, zastosuję, byle gości nie było, bo w takim razie przyjąc ich nie będzie gdzie.

Generał pomyślał, że goście pewnie nie przyjadą, bo tam, gdzie czuć ruinę, nikt się nie cisnie, każdy od niej ucieka.

Po tej rozmowie, która wiele kawalera maltań-



skiego kosztowała, wyszedł on z pokojów szambelana, rad, że mu ciężar spadł z ramion, i pośpieszył do Gozdowskiego, który na niego czekał w pustych gościnnych pokojach. Sale już były pozamykane i kilką drągami czyli naprędcie zniesionemi belkami popodpiérano sufity, które wcale pękać nie myślały, gotowano paki na srebro, porcelany i obrazy. Z archiwum podobywane rachunki świadczyły, jak kosztowne one były, zdało się, że w najgorszym razie opłacą przynajmniej najpilniejszą należytość — wierzycieli ks. sufragana. Robert stał tu także, jak zwykle, niemym i obojętnym świadkiem, a i jemu w oczach się ćmiło i żal dziecinny może ścisnął serce na widok tych pamiątek domu, mających się między ludzi rozproszyć. Jedna Stella była mężną i czynną, czego się po niej nikt może nie spodziewał. Gozdowski z uwielbieniem patrzył na nią.

Widok tego pokoju miał w sobie coś niewymownie smutnego, jakby inwentarz po zmarłym. Znoszono tu, co stanowiło chlubę i bogactwo domu, rzeczy zapomniane, niedobywane i niewidziane dawno, które jakkolwiek wartość mieć mogły. Cała podłoga zastawioną była srebrami z różnych epok i pochodzenia rozmaitego. Staroświeckie misy i roztruchany, półmiski, wazy, stosy talerzy, paki łyżek, tuziny lichtarzy i kandelabrow, pozłociste puhary, nalówki, miednice, wyprawne jeszcze babek i matek, zebrały się razem, powywra-

cane w pośpiechu, zwalone, jak łom, na kupę. Można było przeczuć, że jako srebro i na wagę kruszcu sprzedawać się będą. Pamiątkowa i artystyczna wartość tych cennych wyrobów zniknęła.

Dwóch służących wniosło ze skarbcza stary, dawno nieużywany hetmański stół srebrny i sporą wannę, którą kochający małżonek, wojewoda podlaski, niegdyś dla żony był sprawił. Na wielkich ucztach rozlewano z niej później czerpakami wino dla szlachty. Miała pozłociste obręcze i lwie złoczone głowy przy uszach.

Przy ścianie szeregiem stawiono cenniejsze obrazy, skupowane niegdyś za granicą przez dziada i ojca ks. Norberta. W drugiej stronie stawili kremlencerze serwisy saskie, drogo opłacone za lepszych czasów. Ogałacano dom ze wszystkiego, byle z tych ostatków dług sumienia spłacić i choć grosz jaki zachować na straszne dni czarne.

Z nieubłaganą gorliwością, z gorączką chodziła Stella, przynosząc sama, co inni zachować chcieli i ocalić. Lica jej pały, oczy paliły się, choć powieki pełne były łez gorących.

— Stelko! dziecko moje, nie męcz się, wołał generał, ~~nigdy~~ to już inni wykonają, nadto cię to ~~kuźnia~~ wędzie.

— A! nie, stryju, ja dopilnuję aby nie zostało nic, bez czego my się obejść możemy, a co ojcu i wam zapewnić może, przedłużyć swobodniejsze

życie. Od razu spełniona ofiara lżejszą będzie, nie dzielmy jęj!...

— To pamiątki! To drogie pamiątki, szeptał ks. Hugon, a dziś to już tylko kruszec, który pójdzie i stopnieje w ręku Żyda. Składały się na to sztuka, myśl, dzieje, serce zrobiło z tego świętość, lecz wszelka rzecz ziemska umrzeć musi!

Odwrócił się biedny stary, patrzeć nie mógł. Stella wybiegła i po chwili wróciła, niosąc w chustce kilka pudełek z safianu; były to ze szczęśliwych też czasów spadki jęj po matce, podarki ojca: sznur pereł, naszyjniki z ametystów, brylantowe kolce, złoto i kamienie, uśmiechające się weselem, szczęściem, woniejące jeszcze ucztami i muzyką. Bez żalu złożyła je z innymi kosztownymi rzeczami na ziemi.

— Do czego to mnie? — rzekła cicho, ja tego nie potrzebuję; wzdrygałabym się, patrząc na to żem śmiała ocalić, gdy wszyscy rzucali na pastwę losu, co kto miał najdroższego. Jeden ślubny pierścionek matki wyproszę, tego dosyć...

Odwróciła się, rzucając pudełka. Robert się chciał opięrać, ale odtręciła go lekko.

— Bracie, nie czyn mnie samolubnym dzieckiem, zawołała, niech będę mężną niewiastą, niech rycerska krew płynie w mych żyłach.

Takim to głosem wyrzekła, że oczy przywróciły mnych wszystkich podniosły się na nią. I lzy nie

miała już w oku; stała promieniejąca cała, jakby zwycięzka, jakby dumna sobą.

Ks. Hugon przypadł, całując ją po rękach.

— Dziecko święte! zawołał, *ma foi!* dałaś mi naukę wielką! poco ja mam chować dla siebie to, com tak kochał. Niech idą na sprzedaż kosztowne broje i puklerze, miecze i wszystko. Pakować moję zbrojownię! książki moje, co tylko się sprzedać może!

Robert i Stella z okrzykiem sprzeciwili się temu, lecz generał naprawdę począł się gniewać.

— Przyszła godzina ofiar, ja się wyłączać nie chcę, nie mogę, byłbym we własnych oczach spodlony! Com rzekł, to uczynię. Panie Gozdowski! proszę o paki! Niech idzie wszystko! Życie moje nie długie, a honor miłszy nad nie.

W chwili, gdy słudzy znosili obrazy, Robert postrzegł między innemi przepyszny portret Rubensa, który do najcenniejszych należał. Niegdyś, gdy wywieziono go dla restauracyi do Drezna, ofiarowano zań około trzech tysięcy talarów do galeryi tamtejszej. Historia portretu była ciekawą, pochodzenie nieulegające najmniejszej wątpliwości.

Jeden z przodków domu, z Władysławem IV znajdując się za granicą, gdy Rubens malował ów sławny wizerunek królewicza, znany ze sztychu Pontiusa, zażądał też posiadać dzieło arcy mistrza i wymógł na nim, że mu w dwóch czy w trzech dniach to płótno z natchnieniem i werwą sobie

właściwą wykończył. Znać było w niém, że artysta-dyplomata robił je dla miłego towarzysza i dobrego przyjaciela, jakim był ks. Brański; znać było, że złotem pewnie pokrył mu druh to uniesmiertelnione życie, chwycone i zatrzymane w biegu. Nie był to portret zimny i urzędowy, ale fantazya artysty, igrającego sobie z najtrudniejszém zadaniem, z wydarciem głębinom człowieka tego typu, którego on jest urzeczywistnieniem; był na nim ów młody książę w całym blasku swych lat dwudziestu kilku, swój buty książęcej, swojego szczęścia i sławy. Twarz, zbroja, suknia, postawa, wszystko stanowiło całość cudowną, zrosłą w jedno dziejów przeszłości słowo.

Wizerunek był, jako artystyczne dzieło, przepyszny, lecz razem nieoszacowany, jako pamiątka. Przekazywały go sobie z poszanowaniem pokolenia, historyą jego zapisywano w inwentarzach, opowiadano, przeszła ona w tradycyą i z dumą powtarzano ją do dziś dnia.

Na widok portretu generał i Robert pobledli, spojrzeli na siebie, żaden z nich wyrokować nie śmiał, czy i on miał iść w świat, aby przynieść garstkę złota zubożonej rodzinie. Sługa instynktowo, jako rzecz drogą i cenną, przyniósł go tu, stał wiając obok jakiegoś szacownego Teniersa jarmarku i Wouwermana pary koni. Nikt się nie śmiał odezwać w obronie drugiego portretu.

— Dawano za niego trzy tysiące talarów,

rzekł Gozdowski, to mi sam pan szambelan zaręczał.

Trzy tysiące talarów! dziś, gdy one stanowiły o zaplaceniu wdowie jej długu, sierotom ich chleba kawałka, gdy niewiadomo było, czy wszystko to starczy na zmycie grzechów przeszłości... Ks. Hugon odwrócił się, żeby nie patrzeć, Robert zmilczał.

Z całego domu tak znoszono, co miało wartość jakąś, aż do gobelinów, które okrywały ściany jednego gabinetu, aż do drogich cacek, co dwa i trzy wieki spokojnie na stołach drzémały, świecąc misternymi rzeźbami i wysadzaniem swemi. Cały salon zarzucony był, nabity.

Pośród tych gruzów przeszłości generał, Robert i Stella stali, jak ofiarnicy, nie mogąc się od nich oderwać. Słudzy zawijali i pakowali, a z każdym sprzętem szła w zapomnienie pamięć czynu, ofiary, zdarzenia, jedno ogniwo tradycyi łańcucha, który raz zrywany, nigdy się już zrosnąć nie może.

Gozdowski był tym katem, co miał zadać śmierć drogim zábytkom. Należało się spieszyć, ażeby wieść o wywożeniu kosztowności nie spowodowała jakiego kroku ze strony wierzycieli; dlatego dobro sługi najprzywiązawsze i przy zamkniętych drzwiach odbywała się ta egzekucya, a paki dopiero nocą na wozy zabrane być miały i nocą transportowane pod dozorem Wincentowicza i Burskiego. W tym celu też to było i dlatego, aże-

by z okien swych szambelan nie dostrzegł, co się działo.

Cały ten dzień zszedł na spisywaniu regestrów, na szacowaniu i obrachunkach przybliżonych. Niestety! ci, co się nigdy nie wyprzedawali, nie wiedzą o tém, jak różne są ceny nabycia i sprzedaży, fantazyi i spekulacyi, jak zawsze mylne są owe przybliżone rachunki, oparte na rzeczywistym rzeczy szacunku. Generał i Robert nadzwyczaj téż wielkie i przesadzone pokładali nadzieje na téj dobrowolnej i heroicznój ofierze, która, zdaniem ich, niemal zbawić ich miała.

---

Ponieważ przed nocą jeszcze musiał się Wincentowicz w drogę wybierać dla dozoru pak z kosztownościami, zaciężył mu na sumieniu ten Zembrzyński, którego odkrył przypadkiem i przesadzał o wpływ na interesy książąt. Postanowił tego dnia jeszcze wszystko opowiedzieć generałowi.

W chwili właśnie, gdy on zbroje swe zrzucił ze ścian i z zimną już krwią kazał zabić, wszedł, prosząc o posłuchanie, pan łowczy. Udzielił mu go chętnie ks. Hugon i z przykładną cierpliwością całej historyi ze wszystkimi jej szczegółami wysłuchał. Zrazu nie bardzo zwracał nań uwagę, ona przydać mogła; uderzyła go w tym, że w takich na-  
ę na spo-

tajemniczego tłumaczącego do pewnego stopnia upadek podstępłą intrygą, zatem zdejmującego winę ruiny tej z rodziny samej, zrzucając ją na knowania ukrytego nieprzyjaciela. Nic przyjemniejszem być nie mogło, pochlebniejszym miłości własnej familii. Począł się więc generał przysłuchiwać i wypytywać coraz więcej tём bardziej, że nigdy w życiu, ani od brata, ani od bratowej nic o podobnym wypadku nie słyszał. W innych okolicznościach byłby się śmiał z tej anegdoty, wskrzeszonej ze wspomnień przedpięćdziesiątletnich, teraz w tem usposobieniu wydała mu się prawie ważną.

Ten nędzny robak, podgryzający powoli korzenie odwiecznego dębu, zdał mu się prawdopodobnym. Trzeba było, zdaniem jego, w istocie mściwego wysiłku długiego, aby olbrzyma obalić. Inaczej ruina ta, dla innych przewidziana i naturalna, dla generała niezrozumiałą stawała się zagadką. Chwycił się opowiadania o Zembrzyńskim z wielkim zajęciem.

— Czyż on jest? przy mecenasie? co robi? dla czego tu przyjeżdżał, niby skryty pod maską? Tegoby należało dosledzić. Jeżeli w istocie grywa taką rolę, możnaby zapewne wprost trafić do niego.

Jeowidocznie jednakże wyjaśnić wiele nie umiał, piéro notulek u Żurbów nie sięgał domysłami transportu Burskiego, był mógł wiedzieć, dopóki byli



na miejscu, dałoby się może coś dojść, zrobić; teraz... trudno. Zawsze jednak dziękuję ci, mój poczciwy Wincentowiczu za twą gorliwość o nas. Bóg zapłać! Jeslibys więcej czego mógł dojść, daj mi znać. Schwyciłeś jakąś nie czarną, po której do źródła nieszczęść naszych możeby dojść można.

Łowczy, niezmiernie uszczęśliwiony, że tu przynajmniej oceniono ważność jego odkrycia, wyszedł, obiecując sobie dołożyć wszelkiego starania, ażeby się czegoś więcej o Zembrzyńskim dowiedzieć.

Los, który czasem dziwne wyprawia igraszki, tym razem usłużył Wincentowiczowi nad wszelkie spodziewanie. Wyjechali on i Burski, dobrze zbrojni, przeprowadzając paki z kosztownościami, a droga właśnie szła na Lublin, i w mieście im nocleg przypadł. Zdaniem jednak obu nocować w mieście było niebezpiecznie; obrali sobie do odpoczynku gospodę Zelmanowicza na Winiarach, zapowiedziawszy wprzód woźnicom, którzy spytani o paki, mówili, iż przewożą archiwum i książki. Jest to rzecz wielce szacowna, na którą wszakże złodzieje i rabusie jak najmniej się łakomią.

W gospodzie Zelmanowicza byli, jak w domu, mogli do niej nikogo nie pусcić, straż postawić i spocząć nieco. Gospodarz przyjaćielski, gadatliwy, flaszka dobrego miodu, misa ryby faszzerowanej, wszystko się tu uśmiechało. Jakoż dociągnęli tu na noc, zastali dom pusty, wszystkich na usługi, pozamykali wrota i roztasowali się na spo-

czynek do świtu, gdyż o brzasku dnia ruszyć mieli w dalszą drogę.

Wincentowicz, ile razy bywał w Lublinie, zawsze zajeżdżał do Zelmanowicza, który z nim nagadać się nie mógł. Burskiego, z natury milczącego, zostawiwszy przy wozach, łowczy z fajeczką wyszedł z Zelmanowiczem przed dom. Noc była śliczna, gwiaździsta, księżycowa.

Na tle jej w niewielkiém oddaleniu malowniczo rysowała się ta odrapana pustka pod imieniem Firlejowszczyzny. Głównie o tem i o wém, aż (są wypadki osobliwe) Wincentowicz ni stąd ni zowąd spytał gospodarza, co to za ruina się tam wznosi, czyby to był dawny pałac, czy rezydencja?

— At! to jest tak sobie zapuszczona kamienica, z ruinami, ramionami ruszając, Żyd. Kupił ją jakiś lichwiarz, skądś przyszedł, i siedzi w niej, czekając, aż mu się coś przydarzy.

— Czy Żyd?

— A gdzież! Żydby przecię choć polatał, a jakby miał za co, wyporządziłby i miał dobrą intratę, ale to taki osobliwszy człowiek, co jego zrozumieć nikt nie może. Bardzo bogaty, a skąpy. My koło niego mieszkamy tyle lat, a czy ja go znam? czy on do mnie choć zagadał?

— Cóż to za dziwak?

— Nikt nie wie, ani z kąd przyszedł, ani dokąd

idzie. Ani dzieci, ani żony, ani nikogo, tylko stara kucharka.

— Jak się zowie? z roztargnieniem spytał Wincentowicz.

— Zembrzyński.

Łowczy podskoczył i wpadł obcesowo na Zelmanowicza, aż go nastraszył.

— Zembrzyński? na miłość Bożą! jak wygląda. stary? młody?

Łowczy, który miał czas ochłonąć, zdziwiony tą niepojętą ciekawością Wincentowicza, począł mu opowiadać, co tylko o Zembrzyńskim wiedział, naostatek musiał mu go jeszcze opisać, jak wygląda, jak się nosi i t. p.

Na dole w Firlejowszczyźnie się świeciło; Łowczy spojrzął na zegarek, nie było nawet ós jeszcze, a w mieście nie jest to tak bardzo późna godzina.

— Jak mi Bóg miły, jeśli mi głowę za to z karku nie zdejmiesz, to przeproszę, jeśli ten sam, to muszę z nim się widzieć koniecznie.

I krok zrobił ku Firlejowszczyźnie, Zelmanowicz tyle tylko na nim wytrzymał, że pocze-kał, aż przyniesie mu karkę, bez którejby w sien- niach nie trafił. Potem ostrożnie doprowadził go przez kupy śmiecia do drzwi, stojących jeszcze otworem, bo Stroczycha właśnie stała po wo- de i cofnęła się ku drzwiom swoim.

wiecz śmiały był bardzo, a tu miłość ku Brańskim go pchała i własna też miłość, by dojść tajemnicy, o którą wypadkiem już potrafił.

Z pomocą latarki znalazłszy drzwi i otwarłszy je, za ledwie stanął w pierwszej pustej izbie, gdy chód obcego człowieka usłyszawszy, Zembrzyński w brudnym swym szlafrocuku wypadł przestraszony, wołając:

— Kto tam? po co?

— Przepraszam, odparł Wincentowicz, z interesikiem na chwileczkę.

Po głosie i po cieniu samym poznał już, że z tym samym Zembrzyńskim miał do czynienia.

— Co za interes? z jakim interesem? po nocy nachodzić? Co to jest? ja nikogo w nocy nie przyjmuję.

— Ośma godzina, nie noc, dodał, spokojnie krocąc, Wincentowicz, nie bój-że się asindziej, nie śmiejnik jestem, ale człek spokojny... Dwa

— Jutro, jutro

I chciał już iść, gdy ze środka mały człowieczek, gdy rowczy się dłoń za drzwi ujął, otworzył je mimo opór, wyciągając gospodarza z niemi do sieni, i zwrócił się do mieszkania. Sposób, w jaki się nie był wcale spokojający, niż i w tym, że Zembrzyński aż k

— Nikt nie zamknął, śmiał się, nie mó-

— Na miłość Boga! przebacz mi pan natręctwo, ale się nie lękaj, daję panu słowo, że w żadnym złym zamiarze nie przychodzę.

Przypatrzywszy się postawie, ubraniu i latarce w rękę, stary się trochę utemperował, burczał jednakże.

— Ja nie mam żadnych interesów, co to za najście?

Wincentowicz przyglądał mu się. Ten sam! rzekł w duchu.

— Interes bardzo krótki, ale mi pan dozwól usiąść i posłuchaj, mówił, umyślnie przeciągając. Rzecz jest taka. Pan się zowiesz Leon Zembrzyński? Wszak tak?

— Kto to panu powiedział?

— Choćby mój gospodarz, Zelmanowicz.

— A niech go, Żyda tego, diabli wezmą, pośpiesznie począł Zembrzyński, co on tu ma do mnie?

— Czy nazwisko ma być tajemnicą?

— Co komu do tego się nazywam, nie, słodszy panie, co komu

— Mnie i ino i na kop przypomniało dawnego towarzysza na dworze ks. ks. Brańskich. Zwię się Polikarp Wincentowicz, przypomnij pan sobie też? he?

Zembrzyński oniemiał, podniósł oczy zgasłe, popatrzył i nie mówiąc, głową kiwał, ramionami ruszał.

— Nie przypominasz pan sobie? powtórzył łowczy.

— Nie! cichym głosem rzekł Zembrzyński, jak gdyby mu w gardle nagle zaschło, nie.

— Ale to nie może być? jakże? to ja po pięćdziesięciu z górą latach, gdy z daleka jegomości zobaczył, oto niedawno asystującego mecenasowi u Brańskich, zaraz go poznałem, a jegomości byś mnie, słysząc nazwisko moje, nie mógł sobie przypomnieć? he?

— Nie! tym samym głosem dziwnym, stłumionym i wyraźnie kłamiącym, odparł gospodarz. Ja... tego... nie wiem o żadnym mecenasie, dodał, trzęsąc głową, daj mnie pan pokój.

— Nie mogę, zawołał Wincentowicz, podnosząc się, waćpan mi w żywe oczy kłamstwo zadajesz. Ja waćpana widziałem, gdys za mecer chł<sup>o</sup>dził pokornie aż do krzaków, a w ch<sup>o</sup> go za guziki brał i po ramieniu klepał.

Zembrzyński, słysząc ten gniębny głos, wz<sup>o</sup>gnął się, ods<sup>z</sup>oczył; zaświeciły mu oczy złe, kocie, żółte, straszne, usta ściął i pięść zacisnął.

— Szpieg! zdrajca! bełkotał prędko i niezrozumiale. No, to co? Co wam do tego, dokąd ja jeżdżę i co ja robię?

— Ale nie gniębuj się, Leonku, nie gniębuj, bo ci jeszcze co niemiłego przypomnę, rzekł, śmiejąc się, Wincentowicz; i powmy, jako starzy to

warzysze, co na jednym kobiercu nahaje brali, mówmy spokojnie.

— Ja waćpana nie znam! ja ciebie nie znam! szpieg! podły! wołał, piniąc się niemal, Zembrzyński. Jak wy mnie śmięcie w moim domu nachodzić? Co to? sędzia śledczy? co to? policyant? czego ty chcesz? idź precz!

— Ale, kochanie moje, panie Leonie, odparł łowczy, usiłując utrzymać się przy cierpliwości, ty mnie nie znasz, a ja ciebie znam, ty ze mną mówić nie chcesz, a ja z tobą muszę. Co ty mi zrobisz? Nie lepiej-że spokojnie sięść i rozgadać się?

— Ja nie mam co z tobą gadać! wrzasnął, tupiąc nogami, Zembrzyński i odwróciwszy się do drzwi, od których kroki słyhać było, począł wołać: Stroczycha! ratujcie, gwałt! biegaj po policyą gwałt! gwałt!

Ale w tej-że chwili Wincentowicz szeroko otworzył swoją głowę mu zatulił, porwał za kołnierz i za rękaw jego się rzucił na łóżko. Stroczycha, przebraszona, zamiast na ratunek pójść panu, wpadła do swej izby i zaryglowała się jak najmocniej. Była pewną, że złodzieje napadli, a że miała w węzełku kilka złotych, najprzód pragnęła je ocalić.

Tymczasem łowczy, stojąc nad tapczanem, perorował:

— Czego ty się rzucasz? kwiczysz? waryujesz? Przyszedłem do ciebie po przyjacielsku, po koleżeńsku, nic ci nie zrobię, nie poruszaj mnie do

złości; potrzebuję z tobą pogadać, i gadać ty mi *musisz!*

— Czegóż chcesz? co ze mnie masz wydrzeć? krzyknął Zembrzyński.

— Muszę się u ciebie dowiedzieć, coś robił z mecenasem w Brańsku i dla czego inaczéj z nim byłeś w pokoju, a inaczéj w lesie? Powiem ci krótko, posądzam cię, że się mścisz teraz na książętach za ten sławny policzek, który dostałeś niewinnie, ale dziś, tobys go był wart, jeśli na ich zgubę czyhasz. Gadaj!

Tak zagadniony Zembrzyński dźwignął się powoli z tapczana, oczów nie spuszczał z Wincetowicza, otulił się szlafrokiem, wlepił znowu wzrok zdziwiony w swego przeciwnika, odchrząknął i zupełnie złagodzoneym głosem rzekł:

— O! toś mnie waćpan nastraszył!

Z kolei łowczy zdziwiony został tą nagłą zmianą.

— To jest to asindziej, łaskawy dobrodzieju, to osobliwość!

— Prawda, *mi* jak mało, mówił łowczy, ale do rzeczy

— O jakiej rzeczy?

— Po co jeździłeś z mecenasem?

— Czy waćpan, panie Polikarpie, pewny jesteś, że *byłem* z mecenasem.

— *Wiesz* duszyczko ty moja niewinna, tak pewny, *zostanę* zymam przed sobą.



— No, to dobrze, dobrodzieju łaskawy, to dobrze! I cóż z tego, ja sobie żyję, jak mogę, przepisuję przy mecenasach, a że się trochę znam na prawie, oni się mnie radzą. Widzisz, kochanie moje, ja jestem nędzota, biédota; oto ta pustka, to i na téj są długi, szczerze ci powiadam, są długi ogromne. Ratuje się, jak mogę, czém mogę, zwyczajnie nędzny człowieczyna.

— Otóż łcesz, grubiańsko rzucił mu w twarz Wincentowicz, znają tu ciebie, tyś lichwiarz i masz piéniądze.

— A gdybym tam odrobinkę miał, to co? to dla tego nie potrzeba pracować przy mecenasie?

Łowczy głową kręcił.

— Coś ty mi tak pleciesz, jakbyś chciał opłatać; widziałem cię, jakś go żgał i podpowiadał mu, co ma robić z Brańskimi.

— A cóż ja jemu podpowiadałem? spytał Zembrzyński, to powiedz-że, co? hm? A mnie co do tych waszych Brańskich? oni mnie nie znają, ja ich nie znam. Że tam na to... może się pogniéwał i wyjechał... co to ma za znaczenie? Ja o tém nie pamiętam, nic a nic. A! głupstwo!

Wincentowicz słuchał, słowa go, niby przekonowały, a w sercu zawsze zostawała wątpliwość. Ile razy nań spojrział z ukosa Zembrzyński, w błysku tych płowych oczów widział i czuł... adę. Nie chciał go tak puścić i odejść, nie... szczy do dna.

— No to chwała Bogu, odezwał się, udając uspokojenie, teraz mi się wszystko tłumaczy i cieszę się, że mi się z waćpanem rozmówił, leżało mi to na sercu. Waćpan nie znasz książąt tylko od tego nieszczęśliwego zajścia, którego książę pewnie do dziś dnia żałuje. To są ludzie zacni, panowie dobrzy; my ich tam, starzy słudzy, kochamy i wielbimy. Ich nieszczęście dotyka nas, jak własne. Wiész, panie Leonie, ja ci jedno tylko powiem, żeśmy się przysięgli na tych, co na ich zgubę godzą i czyhają. Dowiemy się imion tych ludzi i daję ci słowo, choćbyśmy głowy potracić mieli, żaden z nich z życiem nie ujdzie.

Popatrzył na Zembrzyńskiego, który tchórzskim sposobem pobladł, zaczął się trząść, a potem nagle się zaśmiał:

— A mnie tam co do tego? to sobie głowy kręćcie i drugim choćby, ja tam do niczego się nie mieszam. Przecież jakie takie prawo jest, żandar-my, policye i sądy, to się sobie rozprawicie, jak burdę zrobicie.

— Burdy nie, odparł Wincentowicz, ale kry-minał, to pewna, Żydzi, lichwiarze, niegodziwcy, ..

— Czekał, czekał, dobrodzieju łaskawy, rzekł Zembrzyński, a pożyczali oni pieniędzy? he? a zgodzili się płacić procenty? he? a szastali cudzym groszem? he? A to sprawiedliwość, potem za miły ich grosz ludzi zabijać? he?

— Nie książęta też mścić się będą, ale my, ich

słudzy i bez ich wiedzy. Wywróćcie gniazdo, spadną wam na łeb gałęzie, a ptaki polecą; my będziemy gałęzmi.

— Bądźcie sobie, czém chcecie, łaskawco kochany, co mnie to obchodzi? to tam nie moja rzecz, wdychając, dodał z dobrze nastrojoną coraz słodsza miną Zembrzyński. Ot, po tylu latach spotkawszy się znowu, nie takby nam z sobą mówić wypadało, panie Polikarpie. He? kawał czasu, dobrodzieju łaskawy, kawał wielki czasu! zagadywał wyraźnie. Czyś się też jegomość ożenił? dziecięcki są? konsolacya?

— Ani żony, ani dzieci! machnął ręką Wincentowicz. Jakże było myśleć o rodzinie, kiedy się nie miało własnego kąta na ziemi, a tulać się z nią, jak Cyganowi, to już lepiej nie mieć nikogo.

— Ja też, kochany łaskawco, westchnawszy, rzekł Zembrzyński, przy tém mojem ubóstwie wprzód myśleć nie mogłem o żonie, a teraz, kiedy tę klatkę dostałem, co jej nie mam za co porować, już zapóźno.

— Waćpan nie masz za co? pouchwycił gość, et, czyż to może być? Żydzi cię lichwiarzem i dusigroszem nazywają?

— Żydzi! potwarey, nieprzyjaciele Chrystusa i nas nieszczęśliwych chrześcian, począł gorąco Zembrzyński, co to za gadanie? Zmiarkuj-że asin-dziej sam, kochany mój dobrodzieju, czyż jabym dał tym murom tak się marnie rozpadać, gdybym

4  
miał za co je opatrzyć? Toż to przecię kamienica niegdyś firlejowska, a ściany grube i sklepienia jeszcze dobre, możnaby co z tego zrobić, gdyby grosz był. A gdzie go u mnie! O miły Boże! złodzieje byli, a nic nie znaleźli. Bięda, nędza i po wszystkim.

Wincentowicz, nieprzekonany wcale głosem i miną, nie mógł jednak nie uznać siły argumentu; któżby się dał marnować swój własności, mając za co ją podźwignąć? Dobre człeczysko zaczynał się obwiniać, iż pono próżno z temi posądzieniami wpadł na niewinnego biédaka. Ten zwrot w przekonaniu pokrył chwilowem milczeniem. Tymczasem z podełba Zembrzyński mu się przyglądał niespokojnie, badając, jaki skutek mową swoją wywiera; poznał, że go zachwiał.

— Tak to, tak, dobrodziejku mój łaskawy, tak, tak! Bięda i koniec, komu przeznaczono, już się z niej nie wyplącze. Byle wreszcie było gdzie starą głę położyć.

Mnie się zdaje, że waćpan, panie Zembrzyński taki troche przesadzasz, a przecież sobie coś ściułać musi, boś to sam przyznał.

— Al ojeze kochany! a toż przecię starość tuż, tuż za progiem, jakże tu nie myśleć o tém, by na dziady nie wysć? Nikt nie opoli wodyby nie dał, gdyby jej nie było wódki; na czarną godzinę człowiek musi... ile tam tego? a! mój Boże. Pi... ziej, panie Wincento-

wicz, musiałeś téż ze skórek lisich zszyć sobie jaką taką kozuszyne.

— Tak, i oddałem ją Brańskim, na ręce plenipotentą; oddaliśmy, co kto miał, wszyscy — do grosza.

— Czy to może być? porywając się z tapczana, krzyknął Zembrzyński, na co? po co? kropla w morze, a potem-że co?

— Oni tak, czy owak, uratują się, dodał łowczy, mam to najmocniejsze przekonanie. Wielkie rody, widzisz asindziej, nigdy nie giną, chyba same do pnia siekierę przyłożą.

Gospodarz popatrzył i ramionami ruszył.

— He? spytał, jak raz byłem na Wołyniu za grzybami—bo ja handluję, dobrodzieju najśłodszy, handluję—w karczmie u Żyda, i to pod ławą, widziałem jednego księcia, jak mi Bóg miły. Był stróżem w karczmie, a pod wieczór się regularnie upijał! He? Dziwne są sprawy Boże.

— Dziwne, jednak niezasłużenie Bóg nie rze, dodał łowczy, a naszych zacnych i pocziwych książąt za co?

Zembrzyński z odpowiedzią się wstrzymał.. i znowu rozmowę skreślił.

— Wy, panie Polikanie, tu przejazdem?

— Tak, po drodze wycieczymy do Olmanowicza.

Liczbą mnoga „wycieczymy” i znać starego i spytał:

— To nie sam kochany łaskawca? nie sam?  
a z kim-że?

— Z Burskim jedziemy, a no jegomość go nie  
znasz.

— Nie znam, potrząsając głową, rzekł zacieka-  
wiony nieco Zembrzyński. Nie mam tu jegomości  
czem przyjąć, choćby należało, dodał po chwili,  
tu u mnie nędzota, biédota, ale jeśli przyjmiecie  
szklaneczkę miodu u Zelmanowicza, to proszę.

Chciał się widocznie w ten sposób pozbyć go-  
ścia, który téż tu nie miał już co robić i wstał  
z krzesła.

— Czy ty mnie, panie Leonie, czy ja tobie po-  
stawię, chodźmy na lampeczkę. Trochę my się  
starli i nakrzyczeli; w gardle zaschło, daj rękę i do  
czasu — zgoda. Tylko mi ty księżętom w drogę  
nie włącz?

Ruszając ramionami i otulając się szlafrocikiem,  
z gorączkowym pośpiechem wzięta Zem-  
brzyński.

— A już to ja zafunduję rakowską. Pozwoli-  
cie, tylko Strocysze powiodła do gómu popil-  
nowała.

To mówiąc, wyszedł, aby się starzej przelektlej  
dowołać, i z widoczną pocięchą wyprowadził z do-  
mu swojego natręta, ciesząc się, że tak na sucho  
wszystko się skończyło.

Dla Zelmanowicza, który zawsze zdala i krótko  
widywał tylko sąsiada, było to osobliwe zdarze-

nie, że się do niego mógł zbliżyć. Postawił butelkę miodu, ale że Burski od wozów odchodzić nie chciał, a Wincentowicz samego się zostawić wzbierał, wynieść musiano stolik z latarką do sieni, umieszczono go pod ścianą niedaleko od furmanek z pakami, i tak godzinę tam przegadali przy lampkach.

Bystre oczy Zembrzyńskiego nie tylko się dobrze przypatrzyły pakom i wozom, o których ładunek napróżno się usiłował dowiedzieć, ale policzyły dokładnie, ile ich tam było. Starał się też z troskliwością o kochanych dobrodziejów dobrać, jak długo tu spoczywać będą i ze smutkiem usłyszał, że do dnia w dalszą drogę ruszyć muszą. Potem zapytał znowu nieznacznie, w którą się stronę i jakim traktem ujadą, bo gościńce jesienią zaczynały się psuć i jazda z ciężarami bardzo była niedogodna, zwłaszcza wiejskimi końmi.

Naostatek i Wincentowicz i Zembrzyński, nie chcąc im już zakłócać, uściśnął czule Wincentowiczowi rękę i skierował się do stóp Burskiego, wysunął rękę i uściśnął ją.

lubelski pełnomocnik Zembrzyńskiego, który go, choć i nie osłonego gderę, szanował, bo to był jedyny, jak mówiono, do wyrobków. Szedł a swobodnie i gdzie chciał, tam zająć musiał. Obadę a swobodnie i ustępowano mu. Umiał znaleźć

nym pośpiechem, jakby go co pędziło, rad może, iż się Wincentowicza pozbył, wpadł do kamienicy, lecz zamiast myśleć o śnie i spoczynku, dobył z sepecika odzienie i żwawo ubierać się zaczął. Stroczycha już się zabięrała do łóżka, zawołał na nią Zembrzyński, zalecając, żeby domu pilnowała, bo sam jeszcze wyjść musi.

— A to go licho po nocy nosi! mruknęła, odchodząc kobięta.

W istocie niewiadomo, co go niosło, stary kij tylko, w sieni stojący, w rękę wzięwszy i otulwszy się oponczą, powędrował z Winiar ku miastu. Wychodząc, obejrzał się bojaźliwie, czy go kto nie widzi, wpadł zaraz w cień między płoty i szybko się odalił.

Na zegarach biła właśnie dziesiąta. W Grodzkiej ulicy jeszcze się gdzieniegdzie po kamienicach świeciło, domy były pozamykane, pusto wszędzie. Tuląc się do ścian od strony ciemnej, gdzie go rzenie księżyca dosięgnąć nie mogły, wszedł Zembrzyński aż pod bramę krakowską. Tu na starą kamienicę popatrzył, o dołu do góry już ciemną, w mieszkaniu na parterze żelaznemi okiennicami, wyszedł, aby się starą lenkie serduszać, i z widoczną pociechą wyprze przy księżyca swojego natręta, ciesząc się, że to na wszystko się skończyło.

Dla Zelmanowicza, który zawsze zdala kierownicę widywał tylko sąsiada, było to osobliwe y dno-



sło. Ciężkie drzwi od ulicy zaczęto odryglowywać, odemknęły się na pół, głos dał się słyszeć:

— Kto tam?

— A, swój, swój, do pana mecenasa Peczory.

Wpuszczono starego do sieni, który zaraz do drzwi na lewo znowu dobijać się zaczął, a te natychmiast odemknęto i mężczyzna średnich lat, rozebrany już, w bieliźnie tylko a narzuconym tołubku z wytartymi popielicami, ukazał się w progu z miną gniewną.

Nie potrzeba mu było, prawdę rzekłszy i tego groźnego wyrazu, żeby uczynić go strasznym; choć mężczyzna był zbudowany pięknie i silnie, Pan Bóg mu dał oblicze tak odrażające, iż kto pierwszy raz je widział, musiał się ze wstrętem odwrócić. Czerwona, szeroka twarz, mocno trędownata i biało poplamiona, z oczyma głęboko zapadłemi, nosem małym, zadartym tak, że tylko otwory jego widoczne były, usta grube i niezwyklej szerokości, uszy odstające, jakby z pergaminu złotego, przylepione do głowy spiczastej, charyzowały Peczorę, którego pospolicie zwano Poczwarą.

Był to lubelski pełnomocnik, powiernik i prawa ręka Zembrzyńskiego, który go, choć gr. nina i nieznośnego gdere, szanował, bo to był człowiek jedyny, jak mówiono, do wyrobków. Szedł przebojem i gdzie chciał, tam zająć musiał. Obawiano się i ustępowano mu. Umiał znaleźć

wszędzie jakiś środek, i gdy już rady dla innych nie było, on ją jeszcze wymyślił. O ile brzydki, o ile był zapalony kobięciarz i czciiciel płci pięknej, a że z trudnością mógł znaleźć kobiety, któreby go znosiły, mimo jego dowcipu i wymowy, szukał ich też w tych nieszczęśliwych społeczeństwa warstwach, gdzie bięda serca miękczy.

Popatrzył Peczora na wchodzącego i rzekł, wpuszczając go:

— A! to ty po nocy, kaduk wie czego? jak Marek po piekle, jak dusza z czyśca wylazła, włóczysz się. Nie mogłeś poczekać do rana? A to skaranię Boże! dajcież choć w nocy spocząć. Chodź, chodź, bo się ciebie nie zbędę. Czego chcesz? co cię piecze?

— Dobrodziejku, łaskawco, tylko bez gniewu i irytacyi, słodko począł Zembrzyński, czyżbym ja darmo mojego kochanego mecenasa śmiał fatygować? Chociaż pół do jedenastej.. czy to tak późno?

— A no gadaj, stary, co cię przyniosło? gadaj.

Pół ik sklepiiony na dole, jak prawie wszystkie staro- mienice w Grodzkiej ulicy, długi był w lampka się paliła na stole z papierami, gdzie których widać było talerz pełen kości i n - pół wysuszoną butelkę. Peczora był sam, Zembrzyński się obejrzał.

— Można mówić?

— Można, można, mów, czego się boisz?

— Bardzo pilna sprawa, dobroczyńco mój, bardzo pilna, a jak wy nie potraficie, to nikt. Wy wiecie moje nieszczęście z tymi Brańskimi... co ja tam głupi pieniądze utopiłem, a teraz ani ich dostać napowrót.

— E! e! kłam sobie, komu chcesz, przerwał prawnik, niby to ty nie wiedziałeś, coś robił, lichwiarzu przemierzły!...

— Co tu długo się rozwodzić, zawołał, z ukosa popatrzywszy, Zembrzyński, oni płacić nie chcą, a majątku nie stanie na długi. Wyrobiłem ja i sekwestr na ruchomości, a no guzdrzą się, guzdrzą i nim do czego przyjdzie, oni wszystko, co kosztowniejszego, powywożą. Przypadkiem Pan Bóg mi dał,—wyrażna opatrność nademną—żem się dowiedział, iż oni czterdzieści pak sreber i precyozów transportują właśnie tędy, nam ukradzionych; bo co to, jeśli nie kradzież, dobrodziejku mój łaskawy, to rozbój! Czterdzieści pak! stanęli na noc z niemi, durnie, u Zelmanowicza. Nieodmiennie je tu potrzeba złapać, opieczetować i zażymać...

— Oszalałeś, czy co, jakim sposobem? Noc, oni ewnie uciekną, nim my będziemy mogli przytrzymać.

— Otóż to twoja rzecz, żywo zawołał Zembrzyński, dam tysiąc złotych za fatygę, zrób. Mnie nic do tego, jak ty tego dokażesz, masz ro-

zum i do ludzi drogi znasz. Rób, jak chcesz, byleś zrobił.

Peczora się potarł po głowie.

— Zawsze ty z takimi interesami! rzekł, mrużąc gniewnie, a kusisz, jak diabeł duszę niewinną. Gdzie stoją te paki?

— U Zelmanowicza na Winiarach, do dnia ruszą. Ale jeżeliby już na żaden sposób nie udało się tu ich pochwytać, toż i na gościńcu można, ja wiem drogę, którą pojedą. Śpieszą do Warszawy.

— Gdzież ja dziś kogo się doszukam i doproszę? przerwał Peczora—po nocy? to niepodobieństwo...

— Co to niepodobieństwo... złodzieja na uczynku łapać? he? zawołał Zembrzyński. Oni nam od masy krałną, co do nas należy. Majątku nie starczy, jeszcze przybyło ciężarów, co spadły po ks. sufraganie, to my z torbami pójdziemy.

— Żmija z ciebie, żmija! krzyknął Peczora. O! o! nie daj Boże się w wasze ręce dostać!

A w wasze? całując go w ramię, szepnął  
To sztuka, ale wy lepsze wyprawialiście, niż ta. Wy, co zechcecie, zrobicie, jam tego pewnie. Wszyscy tu uważają, kochają, łaskawco  
j najuroźszy.

Peczora stał i namyślał się.

— I po nocy się włóczyć! zawołał.

— Taka noc cudowna, że miło się, kochany dobrodzieju, przespacerować dla samego zdrowia,

•dolożył stary; będziecie mi wdzięczni, ja takiej pięknej nocy, jak żyję, nie pamiętam.

Zaczął się śmiać prawnik i kulakiem dał w plecy Zembrzyńskiemu.

— Judaszu ty jakiś, Judaszu! Tobie noc każda będzie piękna, byleś mógł kogo ze skóry obedrzeć.

— No, już prawcie, co chcecie, zniosę wszystko od was, ale idźcie, na miłego Boga, idźcie!

— Zrobię, co będzie można, a nie będzie można, to chyba że już nikt nie potrafi. Idź-że ty sobie do domu, jak się stanie, dam ci znać.

— Dokąd?

— Na Firlejowszczyznę.

— Ja muszę zaraz jechać, wybąknął Zembrzyński, to jest, że mnie tam nie będzie chyba... Ja muszę się przyznać: przy furach jest dwóch dworskich z Brańska, a to fanatycy tacy, że gotowi się zemścić zaraz na mnie. Powiedzą, że ja ich wydałem, gotowi zabić! muszę się schować. Chyba, dobroczyńco mój, powieście téj babie, co sam jest, że... że Peczora potrzebuje, to ona zap. w. dzi do mnie, ale nikomu nie mówcie! Ja chcę, żeby myśleli, że wyjechałem do w. , i pierwsza burza nie minie.

— Złe broi a do dziury się chował hę? zmija ta jakas, Judasz, śmiejąc się, zawołał prawnik. Oj, będziesz ty w piekle gorzał po same łopatki! nie-

— ry. óg świadek niewinności duszy mojej, ude-

• rzarę się w piersi, wybąknął Zembrzyński, całe-

go życia pracy człowiek bronić musi; toż to pro-  
 prostu złodziejstwo.

— Idźże mi z oczów, bywaj zdrów, co się da  
 zrobić, to zrobię, odziewam się i idę.

Krzyknął okrutnym głosem Peczora i wpadła  
 dziewczyna z drugiej izby.

— Płaszcz mi dać, powrócę rychło.

Szybko się ogarnąwszy i mruczając ciągle a klnąc,  
 wyszedł prawnik razem z Zembrzyńskim, który,  
 czule go pożegnawszy, z temi samemi ostrożno-  
 ściami przekradł się nazad na Firlejowszczyznę.  
 Stroczycha już spała; musiał jęj dziesięć razy po-  
 wtórzyć, że idzie do schowanki, że ma wszystkim  
 mówić, iż pojechał gdzieś, a jednego tylko adwo-  
 kata Peczorę, jeśliby przyszedł, zaprowadzić na  
 górę i w sali trzy razy kaszlnąć, dając znak o so-  
 bie. Wpadł na chwilę do dolnej izby Zembrzyński,  
 potem na górę i otworzywszy kryjówkę, wcisnął  
 się do niej, zaciągając ręce, że mu się tak niezgo-  
 rzój powiodło.

Co zrobił Peczora, sam onby chyba mógł wy-  
 tłumaczyć, ale to pewno, że o brzasku wozy poza-  
 gano, ludzie byli gotowi, a Wincetowicz, ka-  
 wawszy piwa z saniem zagrzać dla siebie i Burskie-  
 go, zabijał się na toż siadać, gdy gospołę oto-  
 czoną przez męża i sędziów weszło przed bra-  
 mę. Wówczas łowczy z razu myślał, że aszła  
 kłopotliwa kłótnia, lecz posłyszawszy, że o ludzi drożni-  
 ska i paki się dopytują, o mało nie oszalał z roz-  
 złości.

— To ten zbójca Zembrzyński, krzyknął, zdradził nas i biedy naprowadził, lecz nie daj Boże, by się ze mną w życiu spotkał, bo z duszą rąk moich nie ujdzie.

Wyraźny rozkaz sądu, aż do bliższego rozsądzienia, co paki zawierały i do kogo należały, polecał opieczętowane złożyć pod strażą. Wincentowicza, który siłą się chciał opierać, przyaresztowano, Burski uciekł, dopadłszy konia... ani go gonić myślano.

Ponieważ Gozdowski znacznie wprzód wyruszył i prędzej miał być w Warszawie, Burski, nie myśląc już o dognaniu go, zwrócił się napowrót do Brańska. Pocziwe człeczysko przez całą drogę, którą oklep na pochwyconym chłopskim koniu odbywał, przemyślał tylko, jak się potrafi pokazać tam, żeby swoją osobą samą ludzi nie przerazić, i przed kim ma stanąć, to nowe zwiastując nieszczęście. Nie chciał przybyć we dnie, i umyślnie się ociągnąwszy pod wieczór, konia zaraz we wsi sąsiedniej oddał wójtowi, a sam pieszo podkradł się ku pałacowi.

Na myśl mu przyszło pójść najprzód do ks. Serafina. W pokoiku kapelana świeciło się właśnie, żadnego w nim głosu nie słysząc, zapukał Burski niesmiało. Mówiliśmy już, że człowiek był do roboty dobry, ale do szerokiego rozpowiadania nieskory. Gdy mu się ks. Serafin odezwał, wszedł i zaraz drzwi za sobą zarygłował.

— Burski? zkąd? Jużes to powrócił? zrywając się od brewiarza, spytał kapelan. Co ci to? jesteś przestraszony?

— Tu niema co długo gadać, szepnął, przystępując ku niemu legionista, stało się nieszczęście. Dojechalismy do Lublina, Wincentowicza lichoskuśo jakies znajomosci robic, znać nas ktoś wydał i paki wszystkie sąd zaaresztował.

— A łowczy?

— Łowczy w areszcie, bo się do strzelby brał, chcąc bronić.

Ks. Serafin za głowę się porwał.

— Ja dopadłem konia i przyléciałem, ale z kim tu gadać?

W istocie namysłéc się wypadalo, komu pierwszemu o tém oznajmic. Ks. Serafin do łowienia ryb i do modlitwy był jedyny, ale w razie nieszczęścia tylko jęczyć i modlic się umiał. Począł łamac ręce i zawodzić:

— To ich dobije! Chrystusie miłosierny, to ich dobije! Ruszaj do Żurbów, tu jeden Zenon głowę ma, ja się lękam; klękne prosić Boga o miłosierdzie, ale poradzić? cóż ja ci poradzę? P. Zenon tu nocuje. Zrąjdzies go w czerwonym pokoju gościnnym, idź i powiedz mu wszystko.

Burski pospieszył do czerwonego pokoju, ale ze znużenia i zgryzoty ledwie nogi za sobą włóczył starowina. Zenon chodził jeszcze zamysłony po izbie, gdy niespodzianego ujrzal gościa, wchodzące-



go i oglądającego się wokoło. Odgadł, że się coś złego stać musiało. W dwóch słowach objaśnił go Burski i na krzesło paść musiał, bo mu się w głowie zawracało.

— Idź i schowaj się, zawołał Zenon, wypocznij, ja zrobię, co trzeba.

Niełatwo wszakże było obmyśleć, co czynić należało. Zenon najprzód postanowił najsilniejszego w jego przekonaniu z rodziny ks. Roberta o wypadku uwiadomić i niezwłocznie z nim lub sam jechać do sądu, ażeby przyaresztowane paki, zresztą niezupełnie prawnie, z pomocą świadectwa generała, że są jego własnością, uwolnić.

Pobiegł do Roberta i nie obwijając w bawełnę, nie przygotowując go, wprost opowiedział, co się stało. Cios był jeśli nie dobijający, bo się zdało, że odwrócić go będzie można, zawsze jednak niezmiernie przykry. Postanowiono go ukryć nawet przed generałem, który dotąd mężnie wszystko znosił, lecz od ostatniej ofiary po oddaniu, co miał najdroższego, znacznie na siłach i duchu podupadł. Robert miał rezygnacją bez granic, jakies raczej zobojętnienie na wszystko. Usłyszał o tém, jakby o rzeczy spodziewanej i ruszył natychmiast pisać, co było potrzeba, nie okazując wzruszenia żadnego; rzekł tylko, ściskając rękę Zenona:

— Tak więc i największa ofiara na nic się już nie przydała. Spełni się, co się spełnić miało. O! ci

nasi biedni starzy... i Stella!.. Zenonie, twarde jest życie!

Zenon nie mówił słowa, podali sobie ręce, ruszył na całą noc.

Z liczby osób, które epizodycznie weszły w opowiadanie. nasze i wypadkami szybko po sobie następującymi zasłonięte zostały, p. Zygmunt Garbowski najżywszą może pamięć zachował zbliżenia swego do ks. ks. Brańskich. Odjeżdżając, był on zrazu pewien, równie jak ojciec, że zrozpaczone położenie wymoże na rodzinie upadłej wstęp dla niego, a w przyszłości świetny nawet związek z księżniczką.

W młodej głowie, bez ładu i lekkomyślnie, snuły się najdziwniejsze marzenia. Księżniczka w istocie zachwyciła go, podobnie idealnej istoty nie widział i nie śnił w życiu; związek z tym domem i imieniem pochlebiał miłości własnej. Zygmunt widział się już panem na Brańsku i marzył o balach, jakie miał wydawać. Ojciec rachował na to, iżby mu się syn ustatkował. Tymczasem nieubлагany Gozdowski, obu ich nazwawszy waryatami, odprawił z kwitkiem, nie próbując nawet przedstawić ich wniosku radzie familijnej.

Zdawało się to obu wielką niedorzecznością. Gozdowski miał przecież słusność: byłby się ten

projekt wydał obelgą tylko, mimo że Zygmunt w salonie oryginalnością swoją niezbyt niekorzystne uczynił wrażenie...

Niestety! około każdej z takich familij dogorywających zbiera się zawsze, jak na pastwę, gawieź wszelkiego rodzaju, próbując, czy z ich puścizny nie da się jej co pochwycić. Szczęście to jeszcze wielkie, jeśli chcąc się wrzekomo ratować, *morituri* nie dadzą się wplęść w jakie nowe życia koło, nie na żywot nowy, ale na nowe męczeństwo. Brańskich bronił od tego szacunek, jaki ich otaczał, miłość ludzi, którzy osłaniali zgon ten, kupując im spokój chwil ostatnich.

Garbowscy byliby pewnie pozostali tak odsunięci na zawsze, gdyby przybycie pana Zenona Żurby do Lublina w sprawie nałożonego aresztu na paki i spotkanie się przypadkowe z Zygmuntem nie odżywiło w nim wspomnienia pięknej księżniczki. Sprawa szła najgorzej, pan Zenon zmuszony był siedzieć i czekać, a Garbowski, pochwyciwszy go, szczęśliwy, że znalazł przyzwoitszego do towarzystwa człowieka, przywiązał się do niego nieodstępnie.

Jakkolwiek dwa te charaktery wcale się z sobą nie godziły, bo Zenon był poważny, małomówny i surowy, a Zygmus bałamut, który ledwie chwilami dawał się poskromić, sama ich sprzeczność zbliżała do siebie. Zenona rozrywał ten szalawila, Zygmunta pociągał ten, jak go zwał, purytanin.

Dosyć, że się spotykali bez wstrętu i słuchali, nie godząc, ale i nie kłócąc. Zenon tajemnicy z położenia książąt czynić nie miał powodu.

— Wystaw sobie pan, zawołał na drugi dzień trzpiot, wszystkoby się było najśliczniej złożyło... i całej téj biedy uniknęło, gdyby Gozdowski miał odwagę powiedzieć, że tatko mój wszystkie długi popłaci, byle mu dano nadzieję, że ja się będę mógł z księżniczką ożenić, a przecię jój gwałtem brać nie chcieliśmy.

— Chyba żartujesz? śmiejąc się, rzekł Zenon.

— Słowo honoru, tatko dawał pieniądze, byle słowo otrzymał, że mi się starać pozwoli.

Spojrzał na niego Zenon surowo, poważnie, smutnie.

— Mój panie Zygmuncie, zkąd téż wam taka myśl przyjść mogła? W teoryach społecznych wszyscyśmy przed prawem równi, to prawda, ale wychowanie, tradycye, stosunki, obyczaje, dzielą mimowolnie najdemokratyczniejsze społeczeństwo na klasy. Niema na świecie nic niedorzeczniejszego i dla obu stron nieszczęśliwszego, nad rzucanie się po za krąg swój wyższe lub niższe kręgi. Jak panu, albo ojcu ożenić przyśnić nawet co podobnego? Czyż pan nie widzisz, co pana dzieli od téj istoty tak delikatnej, tak czystej, tak jasnej, że samo zbliżenie do niej skazałoby was, nawykłych do innego obejścia, pojęć, słowa, na nieskończoną męczarnię? Allobyscie ją z piedestału

jej musieli zrzucić, lub sami wspinać się w niedosięgnięte dla was strefy!

— Skłaniam głowę przed niezbitém twierdzeniem pańskim, odezwał się Zygmunt, ale tatko jest człowiek prosty a ambitny, a ja ambitny i popsuty; chcieliśmy korzystać z cudzej biedy i brylant kupić za trzy grosze.

Zenon się uśmiechnął, ruszając ramionami.

— To niedorzeczność.

— A—a gdyby panna Stella, przez możliwy w naturze ludzkiej i niezrozumiały kontrast, podobala sobie tego półwaryata, jakim ja jestem? gdyby przesycona tą atmosferą wody różanej i jaśminu, zapragnęła woni nieco ostrzej a żywszej?

— Byłby to w istocie fenomen osobliwszy! rzekł Zenon.

— A nie bezprzykładny, dodał Zygmunt. Co by Gozdowskiemu zaszkodziło powiedzieć. Byliby nas wyśmiali i wypędzili, na to byliśmy przygotowani, a koniec końcem, my jedni mogliśmy do czasu uratować od katastrofy.

Zenon z niedowierzaniem głową poruszył.

— Któż panu broni bawić się teraz w Brańsku, starać się podobać i robić wesołość, bez pozwolenia na to osobnego i szczególnych zobowiązań?

— Ale mnie tam nie przyjdzie.

— Dlaczego? i wszem, staraj się pan tylko zastosować do tonu i obyczaju domu... bo byś się stał śmiesznym i niemożliwym.

Zygmunt się zamyślił i ścisnął rękę Zenona.

— Nie wydasz mnie pan z sekretu?

— O! nigdy w świecie.

Na tém się skończyło. Wyznanie pana Zygmunta było tylko dowodem jego niepoahamowanego uczucia ku księżniczce. Zygmunt się kochał, o ile taki człowiek mógł być zakochany, a pod wpływem tego uczucia nieco już nawet stał się w wybrykach umiarkowańszym. Powiedział sobie, że poświęcając się w téj chwili usługom Brańskich, choćby nic więcej nie zyskał, przynajmniej zbliżyć się do nich potrafi.

Ponieważ Zenon oddalić się nie mógł z Lublina, poprosił go o polecenia, ofiarował się z pomocą, z gotowością jechania, pośredniczenia, przewożenia rozkazów i wiadomości. Prosił jak o łaskę, ażeby go użyto. Nastręczyła się zaraz sposobność i Zenon z raportem wyprawił do Brańska tego osobliwszego posła. Zygmunt tym razem nie wziął już ani karęty, ani Murzyna, ale na złamanie karku pojechał bryczką pocztową. Wiózł z sobą słabą nadzieję, że paki z pod sekwestru, po zaprzysiężeniu ich własności przez generała, będą mogły może być wydane, i wiadomość o uwolnieniu biednego Wincentowicza, który wypuszczony z kozy, wprost poszedł na Firlejowszczyznę i o mało jej całej nie zburzył, szukając zdrajcy...

Nad rankiem, według instrukcyi, zajechawszy do dworku Gozdowskiego, pan Zygmunt przebrał

się jak najstaranniej i poszedł do ks. Roberta, zdziwionego wielce jego ranną wizytą. Z tej wytłomaczył się p. Garbowski jako poseł, opowiedział, z czem przyjechał i oświadczył, że na poufną odpowiedź zaczeka. Nad tą w istocie mocno się zastanowić było potrzeba. Generał od pierwszej wzmianki o przysiędze, rękami obiema opędzać się zaczął.

— Ja miałbym przysięgać? ja? za nic w świecie! dajcie mi pokój!

Robert wcale nie nalegał, był sprawozdawcą tylko.

Na zwawe rozprawy nadeszła wtajemniczona od niejakiego czasu we wszystko Stella, chociaż przy obcym mówić o tém z nią nie wypadało. Umilkli wszyscy. Z podziwieniem zobaczyła Zygmunta, a śmiałek z wyrazem najżywszego zajęcia i uszczęśliwienia zbliżył się do niej.

Znalazł w niej zmianę nadzwyczajną, ostatnie dni powagą jeszcze większą, uroczystą oblokły dziewczęcą postać, której nowego dodały wdzięku. Zygmunt uczył, że tak powszedniego, jak on, człowieka, od tak wybranć, jak ona, istoty, dzieliła przestrzeń nieprzebyta. Uczuł się onieśmiałym. Niedola uświęcała ją, niewidoczny wieniec męczeński spoczywał na jej skroniach. Zygmunt nie odważył się posunąć bliżej po pierwszych obojętnych słowach, ale szalenięj rozkochany był, niż wprzód.

Przez cały prawie dzień patrzył na nią, słuchał jej, zostawiono go z nią i z Antoniną, bo Robert naradzał się z generałem, poił się więc do syta tą słodką trucizną. Szalone myśli przychodziły mu do głowy: gotów był wydrzeć ojcu krocie, złożyć je u stóp księżniczki i t $\acute{e}$ m pozyskać jeśli nie jej serce, to wdzi $\acute{e}$ cznoś $\acute{c}$ , ale to wszystko, nie przechodząc ust, wrzało i kipiało w piersi.

Powoli, powoli pod wieczór, gdy się ów dzień szczęśliwy miał kończyć, wesoly Zygmunt aż posmutniał, a księżniczka, cała przejęta swoją i rodziny niedolą, nie mogąc o niej mówić przy nieznanym, była ciągle prawie smutna, milcząca i roztargniona. Dręczyła nieszczęśliwego Garbowskiego jego bezsilność, miliony ojca byłby odkradł staremu skąpcowi, gdyby to było możliw $\acute{e}$ m. Kilka razy chciał przełamać lody, wspominając odważnie o interesach i przyznając się, że dla nich tu przybył, ale nie miał odwagi. Powiedział w końcu, że wraca nazajutrz do Lublina, że z panem Zenonem widzieć się będzie i odezwał się do panny Antoniny, prosząc ją o polecenia do brata.

— Oprócz Antosi, i ja szlę najpiękniejsze, wdzi $\acute{e}$ cznego serca ukłony panu Zenonowi, odezwała się księżniczka, powiedz mu to pan, bo nie wygasną zachowam pamięć tych wszystkich, którzy w trudn $\acute{e}$ m położeńiu nasz $\acute{e}$ m przyjacielską dłoń nam podają.



— A! pani, więc i ja choć cząsteczkę drobniuchną téj pamięci będę może miał w udziale, przerwał Zygmunt. Nigdybym się nie śmiał przyznać, że do niéj roszczę prawo, ale ona dla mnie tak jest drogą! Wszakże ja tu jestem także posłem pana Zenona i przyjechałem jako sługa państwa.

— O! ja o tém wiem, uśmiechnęła się Stella, i dziękuję panu.

Podala mu rękę.

Téj ręki piérwszy raz miał szczęście dotknąć pan Zygmunt. Spojrzał, przykląkł nagle i pocałował. Księżniczka zarumieniła się niezmiernie i byłaby mu ją cofnęła, gdyby szalony chłopak nie był się tak uwinął, że uciekającą już, złapał ustami w powietrzu.

— Niech-że mnie pani mianuje swoim piérwszym dworzaninem, zawołał, a poświęcę się cały na jéj usługi i będę szczęśliwy. Niech pani wypróbuj mnie rozkazem choćby najśmielszym, a życie chyba stracę, jeśli go nie spełnię.

— O! nie śmiałabym ani prosić, ani rozkazywać, nie mam do tego najmniejszego prawa, smutnie rzekła księżniczka, a potem... ja jestem niemy a ławym świadkiem tego, co z nami los czyni, ja... nie mogę nic...

— Pani rozkaz byłby wszechmogącym! zawołał Zygmunt.

Stella zamysliła się, zarumieniła.

— A! gdyby był środek ocalenia ojca, stryja, brata od troski i męczarni, rzekła pocichu, ten, ktoby to uczynił, miałby prawo żądać odemnie całego mego serca, całej wdzięczności mojej.

Słowa były wyrzeczone z namysłem, powoli, z uroczystością jakąś; patrzyła w oczy Zygmunto-  
wi, wymawiając je, jakby pragnęła, ażeby je dobrze zapamiętał i zrozumiał, i podała mu znowu tę białą rączkę raz cofniętą, którą on w gorące pochwycił dłonie i pocałował znowu niewyrwaną.

Antonina, będąca świadkiem téj sceny, zarumieniła się za przyjaciółkę, przestraszyła jej wyrazistością i znaczeniem, chciała coś powiedzieć aby je osłabić, aby w żart obrócić, lecz Zygmunt, który zdawał się tylko czekać na tę odpowiedź, pochwycił za kapelusz i rzucił się ku drzwiom.

— Jadę natychmiast, rzekł, i co tylko jest w mocy ludzkiej uczynię, żeby ratunek przyszedł w porę. Jeśli nie potrafię nic, nie pokażę się tu więcej, lecz jeśli mi się uda... O! pani! nadto cenię przyrzeczoną nagrodę, żebym się o nią nie upomniał.

Nim się opatrzyły panie, Garbowski już był za drzwiami i jak szalony leciał pożegnać ks. Roberta.

— Na Boga, droga księżniczko, cóżeście to uczynili, zawołała Antonina, łamiąc ręce. Ten chłopak oszaleje, a jeśli mu się uda i przyjdzie rzeczywiście upomnieć się...

— O co?

— O waszą rękę, droga Stello! to coście przyrzekli, nie inaczej się tłumaczy.

— To mu ją oddam! przerwała księżniczka. Nietylko rękę, choćby życie dla nich, dla ojca dla rodziny. Ja! ja jestem małą jej gałązką, przeznaczoną na odpadnięcie od pnia z którego wytryśła. Gdybym ich tylko ocalić mogła!

Antonina nie odpowiedziała nic, łzy się jej zakręciły w oczach.

Zygmunt pobiegł do mieszkania ks. Roberta, którego zastał na naradzie z generałem; stanowczo ks. Hugon przysięgi złożyć się wzbraniał. Tłumaczono mu, że część majątności, której się zrzekł, więcej była warta, niż wszystko to, co te paki zawierały, że mógł śmiało zapewnić, iż mu się tyle przynajmniej z ogólnej fortuny należy; takich jezuickich wybiegów stary nie rozumiał.

— Niech przepada wszystko, a ja fałszywej czy wykrętniej przysięgi nie złożę, rzekł stanowczo.

Zygmunt dla formy tylko wysłuchał narady i konkluzji, nie mówiąc ani słowa; pilno mu było wracać i rozmówić się z ojcem. Nie wątpił, iż czas jeszcze będzie ratować Brańskich, a wierzył, jak ewangelii, słowu księżniczki, które obietnicami szczęścia w uszach mu brzmiało.

W Lublinie zabawił pan Zygmunt ledwie chwilę, odnosząc Zenonowi ostateczne postanowienie generała; ale zarazem dołożył, iż wszystko to prawdopodobnie może się stać niepotrzebnem, bo rzeczy się inaczej ułożą. Zenon nic z niego więcej dobyć nie mógł, bo chłopak, nie wyprzegając koni, nie spoczywając chwili, spieszył do ojca, do Skoków.

Na nieszczęście tu go nie zastał; odesłano go do drugiego folwarku, a tam powiedziano mu, że pojechał do innego. Pędząc za nim w ślad, objechał niemal wszystkie, zrozpaczony, rozgniewany, i nie potrafił pochwycić starego aż na gościńcu, w powrocie już do Skoków. Bryczki się zatrzymały, bo Zygmunt nie mógł już dłużej cierpieć.

— Tatku, na miłość Boga! waryuję, latając za tobą. Niesłychanej wagi sprawa!

— Ot, pewnie już znowu pieniędzy! mruknął stary. Jedźmy do Skoków, rozmówimy się.

— Bardzo dobrze, tylko ponieważ mnie trudno język dłużej utrzymać, a świadków rozmowy mieć nie chcę, Stefan! zawołał, precz z kozła! dawaj lójce! Ja tatka powiozę i rozpowiem, o co idzie.

Tak się stało, Zygmus wziął konie pod swoją komendę i począł rozmowę z ojcem, który, napuszczony jak sowa, siedział, zabiierając się bronić ostro od napaści na worek.

— Tak, jak mnie widzisz, tatku, rzekł, wracam prosto z Brańska, mówiłem z księżniczką i pewny

jestem, że będzie moją, jeśli my ich od sprzedaży ocalimy. Los mój w twoich rękach, mówię seryo.

Stary z niedowierzaniem się odwrócił.

— E! kłamiesz! zawołał.

— Słowo uczciwe, mówię seryo i, jeśli chcesz, przysięgnę ci. Obietnicę tę otrzymałem od samej księżniczki, i to przy świadku.

— Jakim sposobem?

Zygmunt bez żartów już opowiedział, jak do tego przyszło, że się do Brańska dostał.

— Diabeł nie człowiek! rozśmiał się stary, gdyby tobie uwierzyć tylko można?

— Przecież tatko będziesz mógł sprawdzić.

Garbowski poprawił czapki i pasa.

— Trzysta tysięcy! zawołał, tobyśmy dopiero wyrosli, a! Zakręcił ręką w powietrzu. Co robić? trzeba szczęścia próbować. Jedźże, zamiast do Skoków, do Lublina do plenipotenty książąt, czy do pana Zenona; niema co odkładać, bo te łajdaki licytować gotowi. Ale jeśli ty mnie zwodzisz, pamiętaj!

— Tatku! ściskając go, zawołał Zygmunt, niech cię ucałuję, masz rozum i syna kochasz; wystawię ci posąg za życia! Jedźmy do Lublina.

Zaciął konie i poleciał w czwał, a że biednym szkapom w jego rękach niemiło być musiało, to pewna, bo je nielitościwie smagał. Stary wolarz siedział, czmychał i rachował.

Tak dopadli do hotelu w którym stał Zenon i

spotkali go w bramie. W głowie Zygmunta paliło się tak, że tchnąć nie dał ni koniom, ni ojcu. Wrzucił Zenona w bryczkę i pognął do plenipotenta.

Ten pełnomocnik udziałowy, przyjaciel Gozdowskiego, była to wielka figura, pół-obywatel, z trochę pretensyi do arystokracji, ale taki flegmatyk bezczynny, jak sam Gozdowski. Mieszkał bardzo paradnie, przyjmował w pewnych godzinach... mówił mało i przybierał ton tajemniczy jakiś i uroczysty. Zasadą czynności jego było: tylko powoli.

Można sobie wyobrazić, jak trudno przyszło wzburzonemu Zygmuntowi przysłuchiwać się jego rozmowie z Zenonem i starym Garbowskim. Wolarz oświadczył mu, że przejmuje długi książąt i natychmiast płacić je gotów, naturalnie wchodząc też na hypotekę, jak oni, i że prosi, aby licytacyi zapobiedz na wszelki sposób.

Zdumienie plenipotenta było wielkie. Chciał tę rzecz, tak się jakoś nadzwyczajnie przedstawiającą, brać do namysłu, gdy Zenon i Zygmunt oświadczyli mu, że biorą na siebie odpowiedzialność za tę czynność. Ostatni dodał, że powraca z Brańska i jest niejako upoważnionym.

Niewiadomo dla czego plenipotentowi ten ratunek i pośpiech były jakoś nie na rękę.

— Nie widzę w tem wszystkiem jasno, rzekł, kroki poczynię, ale odniosę się sztafetą do ks. Roberta.

Zgodzono się na to. Garbowski oświadczył, iż potrzebne summy w listach zastawnych złoży jutrzejszego dnia w sądzie i domagać się będzie zawieszenia dalszych kroków.

— Jakto? więc asan dobrodziej chcesz płacić wszystko?...

— Co do grosza, naturalnie co wymagalne i co konieczne.

— A wiesz pan dobrodziej, ile to wyniesie? dodał plenipotent.

— Obrachowałem to z panem Gozdowskim! rzekł stary.

— Wyprawuj waćpan sztafetę natychmiast, przerwał Zenon, albo raczej, ponieważ ja tu już nie jestem potrzebnym, bo *ipso facto* sekwestr z pak musi być zdjęty, pisz pan, a ja na całą noc pocztą lecę z dobrą nowiną do Brańska.

Pełnomocnik, ukłoniwszy się, mierzonym krokiem posunął się do biurka i z wolna zabrał się do wystylizowania listu.

---

Pocziwy łowczy, który chciał zdrajcę Judasza ukarać po uwolnieniu z pod aresztu, jakieśmy mówili, poleciał na Firlejowszczyznę, rozbił drzwi, nałtałasował, wdarł się na górę, przetrząsnął wszystkie kąty, nastraszył Stroczychę, która uciekła wezwając pomocy na miasto, i nie znalazłszy, bo

Zembrzyński siedział zamknięty w kryjówce, dostał się znowu do aresztu. Tu zachorował i gdy go uwolniono raz jeszcze, na usilne prośby Zenona, leżąc na furze, musiał jechać do Brańska.

Więcej jeszcze, niż złe z nim obchodzenie się, przyprawiła go o chorobę ta myśl, że on przez swe niedołęztwo był całego tego nieszczęścia z pakami przyczyną.

Zembrzyński, który przez swojego wiernego zausznika Jałowcę o wszystkim był codziennie zawiadamiany, wylazł dopiero z komórki, gdy go zapewniono, że Wincentowicza niema już w Lublinie. Nie pokazał się jednak tak rychło na Boży świat, lękając się jakiejś zasadzki. Błady, przestraszony, wycieńczony, zwlókł się do izdebki na dole, lecz myliłby się, ktoby sądził, że trwoga wstrzymała jego potajemną robotę. Tegoż dnia posłał po Peczorę, napisał do mecenasa do Warszawy i zabierał się już do dalszych czynności.

Zawołany Peczora nie rychło się stawił, rzucił czapkę na stół.

— A co! krzyknął, śmiejąc się, nabrałeś się strachu i pono całą robotę twoją, całą pajęczynę, którą snułeś tyle lat, lichu weźmie. Garbowski opłaca długi.

— Nie, odparł Zembrzyński, to nie może być.

— Tak jest, urzędownie to oświadczył, papiery w sądzie złożył, licytacja wstrzymana, waćpan



swoje kapitały odbierzesz i, pójdiesz z *kwitkiem*, na to niema rady.

— I córkę wydadzą za syna tego świniopasa? zapytał Zembrzyński, at! głupstwo! to wprost strachy tylko, to nie może być.

— Jak nie może być, kiedy jest? ofuknął Peczora.

Zembrzyński osłupiał.

— Naprawdę?

— Nie żartuję.

Przez chwilę stary ze spuszczoną głową milczał ponuro, potem mrucząc począł i ramionami dźwigać. Wstał z tapczana, rozprostował się.

— Gdzie to napisano?

— No oto masz papiéry, czarno na białém rzekł Peczora, cóż ty na to?

— Ha no! kiedy Garbowski głupi, rady niema! Zobaczymy dalej, zobaczymy! Zawsze to księztwu córkę jedyną wydać za tego pastuszka markotno będzie. Tymczasem dobre i to.

Począł się śmiać.

— Przyjdź asindziej jutro, zakończył, odwracając się do Peczory, trzeba się rozmyślić. Wiesz, dobrodzieju kochany, jak w grze nie idzie, zadawszy żołądźką, trzeba z innego koloru próbować, nieprawdaż?

— A jak z innego koloru karta nie posłuży, zapytał Peczora, to co? to trzeba przegrać?

— To się przegra, dobrodziejku kochany, to się przegra, a może się odegra.

— Na odegraną mało można rachować.

— Zobaczymy, łaskawco. Ja dziś chory jestem, i nie mam głowy, a tu pomyśleć trzeba.

Peczora się zakręcił.

— Miałeś mnie po co sprowadzać, prawda, że-  
bym ci tego klina w łeb zabił.

Zembrzyński potarł czoło.

— Ty Jałowcza, rzekł do stojącego w kącie, zostań, będziemy pisali, mnie się ręka coś trzęsie i w oczach mroczy. Kochanemu łaskawcy dobrej nocy, dodał, w ramię całując Peczorę. Poświęć ze Jałowcza, bo jeszcze gdzie się przewróci, tu w tej pustce tyle dziur.

Adwokat popatrzył na klienta, któremu tak nie-  
szczęśliwą przyniósł wiadomość o spełzonych na ni-  
czem zabiegach życia całego, i z podziwieniem nie  
odkrył w jego twarzy, w spojrzeniu, w głosie żad-  
nego śladu zwątpienia i smutku, był tylko zadu-  
many i zamknięty w sobie.

— Ten łotr znowu coś ukartuje, pomyślał w du-  
chu, odchodząc, Peczora, jak niepozorny, tak wy-  
krętacz i uparte lichy. Zginie, a od swego nie od-  
stąpi.

Jałowcza, wyprowadziwszy mecenasa aż na dro-  
gę, wrócił i zastał Zembrzyńskiego przechadzają-  
cego się po izbie, w zadumie głębokiej pogrążo-  
nego. Kilka razy go zagadnął, i żadnej nie otrzy-

mał odpowiedzi. Zdawał się nie słyszeć nic. Stawał, wpatrywał się długo w ścianę, potem szedł do stolika, gryzmołił, pisał, rachował, dobywał papiery, czytał, na palcach coś obliczał, tarł czoło, siedał, porywał się, słowem dawał oznaki jakiegoś wewnętrznego boju, którego wywalczyć nie mógł.

Biła już północ na krakowskiej bramie, gdy nagle, stanąwszy w środku izby, zawołał jakby sam do siebie, bo Jałowcza w końcu znużony zadrzemał:

— No, tak! trzeba zmienić taktykę, a czém się żyło, musi się żyć do końca, to darmo! Niech Bogu podziękują, że im dwóch zesłał dudków, co ich z błota wyciągają, a no, zobaczymy.

Jałowcza przebudził się.

— Siadaj pisać! zawołał stary, siadaj za stół!

Posłuszny sekretarz zabrał się do pisania. Nim świtać zaczęło, bardzo długi list poufny wygotowano do Hartknocha.

— Idź, najmij konie i brykę, dodał Zembrzyński. Bryka musi być duża, bo papiery wszystkie zabiorę, a jest ich na górze dosyć.

Po odejściu Jałowczy, rozbudził gospodarz Stroczychę.

— Wstawaj babo uprażyć mléka, jadę w drogę, tylko żywo.

Nim jednak ogień rozpalono, a mléko się zgotowało, stary ubrany już, widząc przez okno, że się u Zelmanowicza świeci, szybkim krokiem poszedł do niego.

Kupiec w całym uroczystym stroju odprawiał pacierze. Zląkł się, widząc tego sąsiada, rzadkiego bardzo u siebie gościa, tak rano.

— Panie Zelmanowicz, odezwał się Zembrzyński, ja tu do asana z osobliwą przychodzę propozycją. Mam potrzebę na bardzo długo ztąd wyjechać. Co ma Firlejowszczyzna pustką stać? Wyście ją dawniej kupować chcieli, kupujcie.

Zrazu Żyd uszom nie wierzył; potem zniarkował, że gdy kto potrzebuje sprzedać, kupiec zawsze powinien nie chcieć nabywać.

— A mnie na co ten chlów, ta pustka! a mnie to do czego?

Zembrzyński ku drzwiom się zawrócił.

— Czego się jegomość tak spieszy, no! to pogadajmy.

— Kochany łaskawco, nie mam czasu się targować, chcesz, kupuj, dam tanio; nie, to ją zbędę inaczéj.

Zelmanowicz nie mógł pojąć, żeby kto się tak ze sprzedażą kamienicy spieszył.

— A wej! wołał, toć nie obwarzanek za grosz.

Ile razy coś podobnego powiedział, Zembrzyński do drzwi zawracał, kupiec mu drogę zabiegał, spocił się, zmęczył, ale targu dobił.

Dzień był dobry, gdy poszli przed notaryusza kontrakt spisywać. Stroczychę wyposażywszy dobrym datkiem, papiery kazawszy z kryjówki po-

pakować do kufrów, o godzinie jedenastej Zembrzyński do wyjazdu był gotów i siadł na brykę.

— A ze mną co będzie? spytał Jałowcza.

— Jeśli chcesz, to siadaj na kozioł, odparł Zembrzyński.

— Dokąd-że pojedziemy?

— Albo ja wiem!

— To mi się podoba, roześmiał się Jałowcza, jadę.

Przypomniawszy sobie jeszcze Peczorę, którego potrzeba było pożegnać i kazał brykę zajechać na Grodzką ulicę.

Zastał go nad misą kapuśniaku, z węsami napół przeplatanemi kapustą.

— A co słyhać, mości Zembrzyński? spytał adwokat, co tam nowego wymyśliliście? he?

— Przyszedłem mego dobrodziejka pożegnać, cicho szepnął Zembrzyński, jadę.

— Dokąd?

— Hm! trochę tak, gdzie oczy poniosą, dobrodzieju; nie wiem sam, może tam, może tu, może...

— A kiedyż z powrotem?

— Może nigdy.

— Jakto, nigdy? a Firlejowszczyzna?

— Fiul kochasiu! sprzedana!

— Jakto? sprzedana?

— A no! od godziny; już się tam Zelmanowicz sprowadza.

O mało misy z kapuśniakiem nie obalił Peczora, tak się tępym niespodzianym wyznaniem poruszył,

— Cós ty oszalał? czy co? co ci jest? w imię Ojca i syna! Wczoraj co innego, dziś co innego. Bzik! ćwiék! waryacya!

— Może być, dobrodziejku kochany! wszystko może być. Inny człek, jakby mu się tak życie zmarnowało, pewnieby dostał waryacyi, ale ja stary, kochasiu, i zawiędły, mnie to nic, ja pójdę sobie innego czegoś szukać?

— Dokąd? dokąd?

Stary zamilkł.

— Nie wiem, kochasiu, to już tam Opatrzność postanowi. Wstał z krzesła, na którego brzeżku przysiadł chwilowo. Tylkom jeszcze łaskawcy memu chciał najserdeczniejsze złożyć dziękę, za wszystkie dowody jego życzliwości dla mnie, sługi jego, w którego sercu wdzięczność nigdy nie wygaśnie.

Peczora począł się śmiać.

— Komedycanie ty jakiś, przerwał, dałbys pokój. Płaciłeś mi, służyłem ci, jesteśmy skwitowani, nie masz za co być wdzięcznym. Życzę, aby ci się tak szczęściło, jakeś wart, rozumiesz jegomość? tak, jakeś wart!

Zembrzyński, mimo dwuznaczności tych wyrazów, pocałował go jeszcze w ramię, cós pomruczał i wyszedł, a Peczora przez okno, stojąc, przypatrywał się długo odchodzącej bryce, która znikła, spuściwszy się ku Grodzkiej bramie napowrót.

— Dałbym coś, odezwał się w duchu, żeby mi kto powiedział, co ten Judasz teraz pocznie.

Od tego pamiętnego dnia, który długo jeszcze potem w pewnych kołach był przedmiotem rozpraw, domysłów i najróżniejszych anegdot o nie-szczęśliwym Zembrzyńskim, więcej się on już w mieście nie pokazał. Woźnica najęty, który go z kuframi transportował aż do Warszawy, opowiadał, że tam na Pradze w lichój gospodzie stanął, razem z Jałowczą, i za jakimiś interesami na miasto zaraz pociągnął.

Mecenas Hartknoch stał trochę przy licytacji, potem koszta naliczył za przywiedzenie do niej, nareszcie odstąpił, odebrawszy z procentami należność, którą pod różnemi pseudonymami miał Zembrzyński. Inni wierzyciele zgodzili się na przedłużenie terminów.

Wszystko to odbyło się tak szybko, tak piorunowo jakoś, że Gozdowski, generał wczoraj niemy i upadły na duchu, Robert wreszcie skamieniały i struty, Stella niespokojna a rozgorączkowana, nie chcieli prawie uwierzyć tej nagle rozświecającej się rzeczywistości.

Paki w całości wróciły znowu do Brańska, o licytacji mowy nie było, ks. Hugon swoje ukochane wieszał zbroje, szambelanowi ostrożnie powiadano, że reparacye przyspieszone zostały, aby mu wkrótce zrobić niespodziankę. Stella ożyła, Robert odetchnął, generał marzył na nowo, wszyscy je-

dnak, nie wyjmując Gozdowskiego, trochę t $\acute{e}$ m nagł $\acute{e}$ m błogosławieństwem, płynac $\acute{e}$ m z dłoni Garbowski $\acute{e}$ go, potrwożeni byli. Każdy pocichu sobie mówić musiał, że nikt w świecie dziś dobrodziejstw podobnych bez pewnej jakic $\acute{e}$ js rachuby nie świadczy, że je przyjdzie może opłacić bardzo drogo.

Plenipotent wiedział cenę, jakiej żądano, ale się z t $\acute{e}$ m wygadywać nie mógł, generał trochę się domyślał, ks. Robertowi powiedział, ile się dopytać mógł Zenon, naostatek Stella czuła, że się zobowiązała i że słowa dotrzymać musi. Taiła się jednak z t $\acute{e}$ m, uprosiwszy Antoninę, ażeby nikomu nie wspominała. Na jej twarzy nie widać było ani smutku, ani radości, tylko niespokojne jakieś oczekiwanie.

Co chwila można się było spodziewać przybycia panów Garbowski $\acute{e}$ ch, o których znalezieniu się jeden tylko szambelan nic nie wiedział. Stary przyjechał do dworku do kuzyna Gozdowskiego, ażeby z nim ostatecznie uregulować interes, ale mu z góry zapowiedział, że w pałacu u książąt nie będzie, bo nie ma fraka i innych butów nad kozłowe.

Zygmunt został jeszcze niewidzialnym. Zapytał o niego trochę niespokojnie Gozdowski.

— Nie ma teraz czasu, odparł ojciec, przyjedzie późni $\acute{e}$ j.

Nie śmiał już zagadnąć o nic wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j kuzynek, ale wieczorem Garbowski się rozgadał.



— Asan to wiedzieć musisz, że księżniczka je-  
mu formalnie przyrzekła.

— Jakto? jakim sposobem?

— Mówię asindziejowi, że jej słowo ma.

— Ależ ojciec, stryj, brat!

— A to, mosanie, jej rzecz. Zygmus jej słowu  
uwierzył, owaryował sam i mnie oszalił; ściągnęli-  
śmy się do ostatniego grosza. Teraz on się ekwi-  
puje, boć nie wypada mu tak obcesowo zaraz przy-  
chodzić i dopominać się: Zapłaćcie!. Chłopiec ro-  
zumny!

Gozdowski milczał niedowierzająco. Bądź co  
bądź, myślał sobie, czy się chłopcu przyśniło, czy  
przysłyszało, interesa do jakiego czasu ocalone,  
ks. Robert może się ożenić, a Garbowscy pójdą  
z kwitkiem. Mnie do tego nic, ja umywam ręce.  
Dosyć, że oddychamy, że mamy czas... resztę Pan  
Bóg, co nas tak cudownie uratował przez ręce  
tych dobrodusznych prostaczków, opatrzy.

Nie sprzeciwiał się więc Gozdowski i nie widział  
potrzeby drażnienia starego, ani zachwiania w nim  
wiary w te mniemane, jak sądził, obietnice księ-  
żniczki. Milczał, ruszał ramionami, potakiwał na-  
wet, był jednak najpewniejszy, że z tego nic nie  
będzie.

W Brańsku, po niesłychanym popłochu tym,  
wszystko znowu odżywać i wracać zaczynało do  
dawnego porządku, rozjaśniały się twarze, humo-  
ry coraz były weselsze, generał odzyskał swój chód

żołnierski i zaufanie w Opatrzności. Jedna może Stella wstrząśnienie to czuła najmocniej i ślady jego pozostały na spowazniałem, bladem jej licu. Przychodząc tylko do ojca, przynosiła z sobą dawną, dziecinną wesołość, srebrny uśmiech i lice niezachmurzone. Sam na sam z Antoniną, odzywała się czasami po cichu:

— Ale kiedyż *on* przyjedzie?

— A! aż nadto prędko! wzdychając, odpowiadała Żurbianka.

Drugim razem szeptała do przyjaciółki:

— Wiész, to bardzo szlachetnie z jego strony, że się nie spieszy pozwać mnie o ten dług.

— Aleby przynajmniej zawczasu starać się powinien uczynić jego wypłatę jak najlżejszą i dać się nam poznać lepiej.

Księżniczka milczała.

Miesiąc tak cały upłynął, o panu Zygmuncie ani słyhu nie było. Wszyscy się uspokoili, a panna Antonina znajdowała, że był rozsądny i obietnicy téj nie wziął na seryo, pojąwszy, że w chwili zwątpienia nierozważnie się wyrwała.

— Proszę cię, moja Antosiu, nie mów mi tego, obruszyła się księżniczka; ja bardzo byłam rozważna, wiedziałam, com mówiła, wiem, co przyrzekałam i gotowam dotrzymać, dziś, czy jutro, czy za lat dziesięć, nie należę już do siebie.

— A! to śmieszne, przerwała Antonina, nie mówmy o tém.

I tak najczęściej kończono rozmowę.

Pan Zygmunt nie pokazywał się jeszcze. Natomiast ks. Robert, który od czasu, jak się rozjaśnił horyzont brański, coraz jakoś był niespokojniejszy, znalazł bardzo pilny interes do Warszawy i nagle wyjechał.

Generał, któremu opowiedział wyjazdu przyczynę, wąsy kręcił, ramionami ruszał i mówił Gozdowskiemu, że zrozumieć nie może.

Panna Antonina chodziła smutniejsza jeszcze... W istocie przyczyna tej wycieczki pokryta była tajemnicą, domyślano się z trwogą iż dawna miłość dla hr. Natalii odżyć w nim mogła, szeptano, że odbierał pewne listy, na których kopercie panna Antonina poznała wyraźnie rękę kobięcą. Szambelan spokojny ubolewał tylko, że interesa Robertowi spoczynku nie dają.

Po trwogach i łzach tygodnie te przeszły z jakimś sztucznym ukojeniem, choć czuć było, że to zawieszenie broni, ale nie pokój jeszcze. Roli, jaką w tych wypadkach odegrał tajemniczy Zembrzyński, nikt już się wcale nie domyślał, a z urojeniem Wincentowicza, z jego napaści na Firlejowszczyznę, z wniosków i domysłów śmiano się i żartowano tak, iż łowczy na samo wspomnienie Zembrzyńskiego truchlał i wypraszał się.

— Dajcie mi już z nim pokój! Jeśli mi się przyśniło, to z żarliwości dla dobra książąt, przez

miłość dla nich, a dobrze za to odpokutowałem, więc się już prześladować nie godzi.

Bronił go ks. Serafin.

— Zlitujcie się nad nim, dosyć tego!

Mimo to ile razy się zesзли, nie ten to ów z mistycznym Zembrzyńskim występował i nuż w śmiechy z marzyciela. Dowodzone mu nawet czarno na białym, że nigdy grosza żaden tego nazwiska człowiek na Brańsku nie miał, tylko bankierowie i spekulatorzy warszawscy.

W parę miesięcy jakoś potem Wincentowicz, wracając z polowania w szczególnie dobrym humorze, gdy go znów ktoś Zembrzyńskim chciał ukłuć, odezwał się:

— A no? zobaczycie teraz, wypłynie on na wiérzch i nie będziecie się śmiać ze mnie, wszak nie kto inny, jak on kupił klucz podmoszczański.

Wszyscy zakrzyczeli go wielkimi śmiechami.

Ogromne dobra tego nazwiska z dwóch stron opasywały księztwo brańskie; przechodziły one przez różne ręce, a po ostatnim dziedzicu długo były w administracyi i nieładzie. Od dwóchset lat prawie pomiędzy Brańskiem a podmoszczańskimi dobrami trwał zawieszony i coraz odnawiany proces olbrzymi o granice. Zapomniano nieco o nim, bo ostatni dziedzice, nie mając go o czém prowadzić, zadowalali się manifestami, aby przedawnienia nie dopuścić.

Sprawa ta kosztowała obie strony krocie, a mo-

gła Brańskowi odebrać lasy, które znaczną część wartości jego stanowiły.

— Jeżeli się Wincentowiczowi nie śni, rzekł ks. Serafin, no to tylko co nie widać, jak nowy dziedzic pozwie o puszcze.

— Zobaczymy! zobaczymy.

Łowczy zmilkł.

Nazajutrz przywiózł Żurba stary potwierdzenie tej wiadomości, że istotnie jakiś Zembrzyński nabył dobra, lecz co do imienia była różnica, tamten bowiem miał imię Leon, ten pisał się Felicyan.

Tego samego dnia generał, który zapomniał prawie anegdotki Wincentowicza i całego wypadku, rozmawiając z szambelanem, a nie mając go czém zabawić, odezwał się:

— A wie brat, że nareszcie podmoszczyński klucz z licytacji nabyto?

— Kto taki?

— Jakiś Zembrzyński.

Stary poruszył się na krześle.

— Zembrzyński? Zembrzyński? Nie wiesz, jak mu imię?

— Podobno Felicyan, dodał przytomny stary Żurba.

— Cóż to za jeden? z kąd? nie wiadomo? pytał ks. Norbert dalej.

— Nikt go nie zna.

Na tém pierwsza się wzmianka skończyła.

Tydzień jakoś upłynął. Jednego dnia wcale nie-

zwyczajny na wsi, na miejski wyglądający ekwipaż, przywiózł w poobiedniej porze gościa, który, jak mówił, życzył sobie złożyć swe uszanowanie szambelanowi, a oznajmywał się jako nowy dziedziec podmoszczańskiego klucza. Przystęp do starego ks. Norberta nie był tak bardzo dla każdego łatwym, rodzina, czuwając nad nim, nie przypuszczała gości, nie rozważywszy dobrze, czy staremu będą przyjemni. Często bardzo, wymawiając brata, przyjmowali generał lub Robert. Niewiele i to bardzo miłych ks. Norbertowi osób, miało przywilej mu się przedstawić w każdym czasie. W ganuku więc kamerdyner bardzo grzecznie oznajmił, zapraszając do saloniku, że zaraz przybędzie książę generał i dowie się, czy ks. Norbert szanownego sąsiada przyjąć może.

Sąsiad ten, acz nadzwyczaj podobny do pana Leona Zembrzyńskiego, który z mecenasem był u Żurbów, przedstawiał się nieco odmiennie. Najprzód miał u fraka wstążeczki dwóch jakichś nieznanomych orderów zagranicznych, powtóre trzymał się bardzo prosto i zamiast siwych włosów, miał ciemno-kasztanowate włosy, czy perukę, o tem zdaleka trudno było sądzić.

Generał, przyszedłszy, znalazł na pierwszy rzut oka podobieństwo tak uderzającem, iż spytał przybyłego, czy nie miał krewnego tegoż nazwiska przy mecenasie w Warszawie. Przybyły przyznał, że to był rodzony brat jego, nadzwyczaj doń po-

dobny, któremu imię było Leon, on zaś zwał się Felicyanem,

Ponieważ ów nowy dziedzic podmoszczańskiego klucza wyglądał na bardzo grzecznego i przyzwoitego człowieka, a zrażać go nie wypadało z powodu tego procesu, general nie widział w tém nic zdrożnego, żeby go bratu przedstawić.

Spytany szambelan, na chwilę się zawahał, potem zgodził na to.

Gdy Zembrzyński wchodził, ks. Norbert z wielką ciekawością wpatrywał się w jego fizyognomię, zdawał trochę niespokojny, lecz po pierwszych wymówionych słowach i usłyszanym komplementem twarz jego wróciła do zwykłego wyrazu.

Rozmowa poczęła się ogólnikowa, oklepana, nie znacząca, tylko wśród niej ks. szambelan wlepił z niezmierną uwagą oczy w przybysza, znajdując ciągle wzrok jego wytężony z dziwną zaciętością na siebie, i to go zmęczyło tak dalece, że w końcu zamilkł, nie mogąc już w dalszych urywanych zapytaniach i odpowiedziach żadnego brać udziału.

General spostrzegł, że bratu twarz jakoś zbladła i rysy konwulsyjne przebiegało drganie, przyspieszył więc pożegnanie. Wyszli.

Chciano prosić na herbatę sąsiada, lecz odmówił i odjechał.

Gdy w chwilę potem wszedł znowu ks. Hugon,

znalazł szambelana w krześle poruszonym, niespokojnym, niemal rozgorączkowanym.

— Jakoś mi ta wizyta nie w porę przyszła, odezwał się zmienionym głosem, człowiek zrobił na mnie wrażenie przykre nad wyraz wszelki. Odrażający ma wzrok, a ciągle oczy miał we mnie wlepione.

— Uważałem to, potwierdził generał, i trochę prędej go wyprowadziłem, lecz sam pozwoliłeś, żeby ci służył.

Szambelan, nie słuchając już, szeptał pocichu tylko:

— Zembrzyński! Ale nie Zembrzyński...

Potém, gdy generała wzrok spotkał, zamilkł.

— Mnie się on tak źle nie wydał, dodał ks. Hugon.

— Ale wzrok, istne oczy bazyliszka.

— Trzeba będzie zapobiedz, żeby go do ciebie nie dopuszczano.

Szambelan głową potrząś.

— Uchowaj Boże! uchowaj Boże! proszę tego nie czynić. Gdy go się raz przyjęło, przyjmować będę, a przyznam się, że choć mnie raził wejrzeniem, właśnie dla tego obudza we mnie ciekawość. I radbym przy bliższej znajomości rozpytać go o rodzinę. Znałem niegdyś Zembrzyńskich, ubogą, bardzo biedną szlachtę! Może to z tych samych. Ale oczy! ale oczy! zakończył, jakby sam mówiąc do siebie.



Ze wszystkich członków rodziny może najdziwniejszą zagadką, nawet dla tych, co z nim codziennie obcowali, był książę Robert. Grał on rolę bierną aż do ostateczności, chociaż obojętność jego stosowała się raczej do własnej jego osoby, niż do rodziny, dla której i przywiązanie i poświęcenie okazywał najchętniejsze. Ale potrzeba było bodźca jakiegoś, coby go popychał, któryby mu przypominał, że się ruszać, że coś począć należało.

On sam, jakby półsenny, najszcześniejszy był zamknięty w swym mieszkaniu z książką, którą przewracał, nie czytał. Życie go nic nie obchodziło, nie zajmował się niem, chyba dla drugich trzeba było coś robić, wtenczas powołany stawał. Tak na dany znak starał się o hrabiankę, tak w ostatniej katastrofie krzątał się, pomagał, pisał i znać było, że bolał. Boleć tylko umiał, żyć—nie. General, który mu się przypatrywał bacznie, znajdował, że cała ta terażniejsza młodzież taką była; wiele też w duszy przypisywał nieszczęsnej swój miłości dla hr. Natalii.

Osobliwszy sposób życia, jaki wiódł młody książę, budził rzeczywiście politowanie; znosił on egzystencją, nie więcej. Zostawiony sam sobie, zamykał się, marzył, usypiał.

Zenon próbował nieraz czemś go zelektryzować, było to niepodobieństwem. Słuchał, uśmiechał się, odpowiadał, czasem dość żywo rozprawiał, a na-  
zajutrz wpadał w dawną apatyę.

— Wolałbym, szeptał bardzo cicho generał, żeby choć jakie głupstwo zrobił, byle dał znak życia; to powolne konanie, licho wie, co jest. Myśmy za młodu innymi byli, ale terażniejsze czasy zużywają ludzi tak szybko!

Nagły wyjazd Roberta przecież tę senność jakąś przerwał. Chociaż pozornym powodem były jeszcze okrawki dawnych interesów, domysłano się, że rzeczywistą pobudką musiało być coś innego. Ks. Hugon był pewny, że powołuje go hr. Natalia.

— Żeby tylko do licha nie ożenił się jeszcze, mówił Zenonowi, bo i to na nasze głowy spaść może, ale nie, ale nie!

Pomimo że poczta ks. Roberta wprost szła do rąk jego, ludzie wiedzieli, że jakieś listy odbierał, odpisywał, że korespondencya była bardzo czynną. Niezmiernie ciekawa panna Antonina na adresach kopert dopatrzyła się ręki kobiecej, chciała dojść do kogo ks. Robert odpisywał, ale tego dokazać nie mogła. Listy on sam na pocztę oddawał tak, że nikt ich nigdy nie widywał.

Wyjazd prawie nagły zaciekał, poruszył wszystkich, oprócz spokojnego szambelana... oczekiwano niecierpliwie wiadomości.

W istocie od owego pożegnania z hr. Natalią, ks. Robert ciągle do niej pisywał; listy te całe jego terażniejsze życie stanowiły. Był to niemal dziennik prowadzony dla niej, wiernie wszystkie powtarzający myśli i wrażenia. Tak samo biędna,

osamotniona kobieta przysyłała Robertowi sprawozdania ze swego życia. Zdało im się w ten sposób, że prawie żyli z sobą razem, spowiadając się sobie.

Gdy nadeszły dni ciężkich prób, Robert zrazu przerwał korespondencyą, bo nie mógł ani kłamać, ani truć kobiecie jej samotności, dodając opis prób, które przechodził. Na gwałtowne jej domagania się o wiadomość, napisał prawdę, opowiedział wszystko, co przebywali, z rodzajem bolesnej ironii malując wypadki, które jakiś fatalizm zdawał się nad głowami rodziny skupiać.

Hr. Natalia tak była przejętą i dotkniętą ich niedolą, że gotowa ze swjej strony do najcięższych ofiar, byłaby siebie poświęciła dla ocalenia rodziny, której losy związane były z Roberta losem. Wiedziała o całym niefortunnym staraniu o hrabiankę Alfonsynę, upatrywała jedyny ratunek w ożenieniu bogatym księciem, a że przekonana była, iż hrabianki kochać nie mógł, może dla tego samego wołałaby była wydać ją za niego, niż obawiać się, by inna nie odebrała jej serca. Postanowiła więc heroicznie starać się pocichu o związanie zerwanych stosunków, przekonana, iż tego dokazać potrafi.

Myśl była dziwna, lecz ofiary takie bezprzykładnymi nie są. Hrabia z córką bawił jeszcze w Warszawie, wiedział, że w hr. Natalii kochał się niegdyś książę i ona się tego domyślała, nie mo-

gła więc zrazu sama być czynną i zbliżyć się do nich, ale miała przyjaciółki, stosunki, była kobietą i chciała pomódz Robertowi, którego kochała, właśnie dla tego, że Alfonsyna była mu obojętną.

Raz powziąwszy tę myśl, zajęła się nią tak czynnie, tak gorączkowo, jakby jej własne szczęście od tego zawisło. W parę dni wiedziała już o stosunkach hrabiego, o przyjaciółkach Alfonsyny i znalazła Angielkę, przez którą wpłynąć mogła na Alfonsynę.

W sercu hrabianki pozostało czułe wspomnienie księcia; wdychała do niego potajemnie, hrabia żałował tytułu i imienia. W chwili, gdy groźna katastrofa zupełną zagroziła ruiną Brańskim, pilnowano, ażeby wiadomość o tém nie doszła do uszów hrabiego, potem dano rozgłos ogromny podźwignięciu się książąt.

Miss Burglife nieustannie napomykała ojcu, iż zbyt cześnie się z odprawą księcia pospieszył, zaręczając, że w sercu Alfonsyny pozostało gwałtowne doń przywiązanie, które całe jej życie zatruć mogło. Hrabia tłumaczył się, opędzał, nie lubiąc mówić o tém, a prawdę rzekłszy, zły był na siebie.

Gdy wieść się rozeszła o oczyszczeniu z długów Brańska i uwolnieniu od wierzycieli, poszedł do Aurego, posłał go do mecenasa i otrzymał potwierdzenie wiadomości, że długi były spłacone.

— Musieli wziąć ciepłą ręką sufragana oddaną spuściznę, rzekł w duchu, głupstwo się zrobiło.

Alfonsyna wzdychała tém bardziej, że nikt się jej nie trafiał, oprócz takich młodzieńców, których świeże rękawiczki i papierowe kołnierze cały stanowiły majątek. Miss Burglife przypominała jej pięknego księcia. W towarzystwach, w których bywali, bardzo zręcznie napomykano o ks. Robercie, wychwalano go, a zarazem dowodzą, że cała historia o hr. Natalii była przekręconą, fałszywą, czego życie jej terazniejsze najlepiej dowodziło.

Osnuta intryga, jeśli ją tak nazwać można, grunt doskonale przygotowała; w danej chwili Natalia napisała list gorący, nalegający, przymuszający Roberta, ażeby przybył i— dla jej spokoju, dla jej dobrej sławy, równie jak dla szczęścia rodziny, wrócił do starania o Alfonsynę. Obiecywano mu to ułatwić...

Ks. Robert wybrał się więc bez wielkiego pragnienia i wielkich nadziei, rad, że Natalią zobaczy, nie mówiąc nie nikomu dla tego, iż myślał, że pewnie powróci z niczem, nakarmiwszy się tylko widokiem ukochanej.

Wyjazd ten dla Brańska był nieodgadniony, tajemniczy, niezrozumiały; generał tylko czuł w nim rękę kobiety i w tém się nie mylił.

Oczekiwano wiadomości niecierpliwie. Panna Antonina biegła zawsze pierwsza do oficyn, przetrząsała pocztę i pierwsza też dowiadywała się, że listu od ks. Roberta nie było.

Księżę, wyjechawszy przez posłuszeństwo, cie-

szył się t $\acute{e}$ m jedynie, że hr. Natalia $\acute{y}$  zobaczy. Tu jednak u ni $\acute{e}$ j dom teraz tak by $\acute{ł}$  urz $\acute{a}$ dzony, i $\acute{z}$  tylko przy s $\acute{w}$ iadkach m $\acute{o}$ g $\acute{l}$  by $\acute{c}$  przyj $\acute{e}$ tym. Daleka krewna pani, niem $\acute{o}$ loda ju $\acute{z}$  panna, mieszka $\acute{l}$ a z ni $\acute{a}$  razem i jak cie $\acute{n}$  chodzi $\acute{l}$ a za ni $\acute{a}$ . By $\acute{l}$ o obrachowan $\acute{e}$ m, a $\acute{z}$ eby pi $\acute{e}$ rwsze widzenie si $\acute{e}$  przy tym s $\acute{w}$ iadku nast $\acute{a}$ pi $\acute{l}$ o i przybra $\acute{l}$ o ch $\acute{l}$ odne a przyzw $\acute{o}$ ite formy.

Ks. Robert mocno by $\acute{l}$  t $\acute{e}$ m zmieszany i dotkn $\acute{e}$ ty; s $\acute{c}$ i $\acute{s}$ nieniem r $\acute{e}$ k $\acute{i}$ , spojrzeniem i cichem s $\acute{l}$ owem starano si $\acute{e}$  go wynagrodzi $\acute{c}$ .

Nazajutrz rozkazywa $\acute{l}$ a hr. Natalia, a $\acute{z}$ eby, oddawszy rann $\acute{a}$  wizyt $\acute{e}$  pa $\acute{n}$ stw $\acute{u}$  Dolskim, kt $\acute{o}$ rzy otwarty dom mieli, do naj $\acute{s}$ wietniejszych nale $\acute{z}$ ący, ks. Robert wieczorem si $\acute{e}$  u nich znajdowa $\acute{l}$ . Tu ju $\acute{z}$  u $\acute{l}$ o $\acute{z}$ on $\acute{e}$ m tak by $\acute{l}$ o, a $\acute{z}$ eby spotka $\acute{l}$  Alfonsyn $\acute{e}$  i j $\acute{e}$ j ojca. Hr. Natalia potrafi $\acute{l}$ a mn $\acute{o}$ stwo os $\acute{o}$ b wci $\acute{a}$ gn $\acute{a}$ ć w spisek i sk $\acute{l}$ oni $\acute{c}$  do czynn $\acute{e}$ j pomocy.

Dom pa $\acute{n}$ stwa Dolskich, ludzi niezmiernie bogatych, a staraj $\acute{a}$ cych si $\acute{e}$  zaja $\acute{c}$  stanowisko spo $\acute{l}$ eczne, do kt $\acute{o}$ rego sama pani, z domu ksi $\acute{e}$ żniczka S..., mia $\acute{l}$ a prawo, by $\acute{l}$  terytoryum neutraln $\acute{e}$ m, na kt $\acute{o}$ r $\acute{e}$ m spotykali si $\acute{e}$  ludzie do r $\acute{o$ żnych, wszak $\acute{z}$ e przedniejszych i wy $\acute{s}$ szych warstw towarzystwa nale $\acute{z$ ący. Sam pan Ireneusz, cz $\acute{l}$ owiek bardzo wykszta $\acute{l}$ cony, wychowany starannie, rozumny, po ojcu wzi $\acute{a}$ ł znaczne zak $\acute{l}$ ady przemys $\acute{l}$ owe i fabryczne, prowadzi $\acute{l}$  je z wielki $\acute{e}$ m szcz $\acute{e}$ sciem i talentem; s $\acute{l}$ yn $\acute{a}$ ł z umiej $\acute{e}$ tnego robienia fortuny, a  $\acute{z}$ e

się ożenić potrafił z ubogą, ale wielkiego domu księżniczką S..., napięrał się mocno do arystokracji, do znaczenia i wpływu. Nie przychodziło mu to bez wielkich ofiar, które on jednakże czynił z pewnem wyrachowaniem roztropnem. Zabięgający, czynny, wciskał się wszędy, był członkiem wszystkich stowarzyszeń, należał do wszystkich nowych projektów i zakładających się instytucyj, zasiadał w każdym Komitecie, podpisywał mnóstwo prospektów, słowem wysługiwał się gorliwie społeczeństwu, do którego chciał należyć. Przyjmowało go ono chętnie, najprzód dla majątku, potem dla imienia żony, w ostatku dla osobistych przymiotów pana Dolskiego.

Śmiano się tylko z nieuzasadnionej jego pretenzji do pochodzenia od wygastłej rodziny książąt na Dolsku, która, jak wiadomo, już w XVII wieku nie istniała. Dolski poznajdował był w aktach różne ku temu dowody, lecz choć mu ich nie zaprzeczano, powszechnie powątpiewano o rodowodzie i śmiano się z tej próżnostki rozumnego człowieka pocichu.

W kołach średniej klasy Dolski był bardzo liberalnym i wysoko wynosił wartość pracy i zasługi osobistej człowieka. Stał tak w pośrodku i salon jego otwierał drzwi wszystkim wychowaniem i nauką uprawnionym żywiołom, nie odtrącając nikogo, prócz może najjaskrawszych odcieni.

Pani sama łączyła go ze sferami rodowemi, pan

z bankierskimi i tak zwaną inteligencyą. Ponieważ napisał był kilka rozpraw w przedmiotach ekonomii politycznej i drukował parę artykułów w Bibliotece warszawskiej, Dolski liczył się do literatów i w istocie nauki; czytania, smaku miał może więcej od wielu z profesyi pracowników na tém polu, na którym ochotnika łatwiej spotkać, niż regularnego żołnierza.

Wieczory w domu państwa Dolskich należały przez kilka zim do najbardziej uczęszczanych, do tych, na których musiał bywać koniecznie, kto się nieco szanował. Dolscy zapraszali w ogóle bez wyboru wszystkich ludzi przyzwoitych, stanowiących tło salonu. Na niém świeciły gwiazdy, jak nocą błyszczą na ciemnych szafirowych niebiosach.

Hrabia z córką wcisnął się tam zaraz i nie chybił żadnego wieczoru, choć i Alfonsyna i on szczęścia tam nie mieli. Atmosfera dla nich była jakos do oddychania ciężką; Mościński milczał, słuchał, a ilekroć się odezwał, sam czuł, że nie do rzeczy; panna Alfonsyna obok znakomitości muzycznych popisać się z talentem nie śmiała, do rozmowy mieszała się mało i jasniała najgłówniej blaskiem swych klejnotów. Te w istocie obudzały podziw i uwielbienie. Cicho powtarzano dokoła: *C'est une riche héritière*. Kilku młodych pozłacanych i tombakowych młodzieńców kręciło się już przy panie, ale ta zbywała ich odstręczającym chłodem.



Miss Burglife, stojąca na straży, nie dopuszczała żadnej bliższej znajomości.

Tegoż dnia, gdy ks. Robert złożył swą kartę rano u państwa Dolskich, gospodarz, zobaczywszy ją (nawykł był bardzo szanować imiona, a rodzina żony była spokrewnioną z Brańskimi), natychmiast pobiegł do hotelu, aby na wieczór zaprosić, chociaż był to ich dzień, więc nawet bez osobnej inwitacyi byłoby się obeszło.

— *Cher cousin!* zawołał, ściskając go, przyjdźże, proszę cię, dzisiaj; jest to nasz tygodniowy wieczór, zwyczajny... ale poznacie na nim, lub przypomnicie się... całej Warszawie, bo u nas schodzi się, co jest wybranego, zewsząd... i artyści, i literaci, i *naszego* świata ludzie, i finansowy świat *présentable*, słowem co chcesz...

Hr. Natalia umyślnie jakoś ten wieczór natychmiast po przyjeździe wyznaczyła, ażeby hrabia i jego córka nie dowiedzieli się nawet wprzód o przyjeździe ks. Roberta.

Mniej więcej określoną była rola, jaką miał odegrać przy spotkaniu, zależało jednak wiele od znalezienia się hrabiego, na którego zgryzoty i żal rachowano. Ks. Robert miał, lub nie miał się przybliżyć do Alfonsyny wedle tego, jak ona przez miss Burglife życzenie swe objawić mogła. W każdym razie Angielkę powinien był pozdrowić uprzejmie i w dłuższą z nią wdać się rozmowę. Tak mu nakazano, a ks. Robert był biernym i posłu-

sznym na podziw, gdy tylko nie szło o Natalią. Nie opierał się jej projektowi w widokach ocalenia rodziny, szczęścia wszakże nigdy spodziewać się już nie mógł.

Chociaż miano o ósmój schodzić się u państwa Dolskich, ponieważ nikt bardzo wczesnym być sobie nie życzył, spóźniali się goście tak, że dopiero około dziesiątej salon się ożywił. Hr. Natalia zapowiedziała, że tego dnia nie będzie, lecz dodała razem, iż najdokładniejszy raport otrzyma od swych przyjaciółek.

Po dziewiątej ks. Robert wyjechał... Salony były już pełne... w pierwszym zaraz spotkał go sam gospodarz i poprowadził do żony, która ze szczególnem odznaczeniem dawno niewidzianego kuzyna przyjęła, posadziła go przy sobie, przytrzymała i widocznie chciała okazać, iż wielki ma dla niego szacunek.

Przechodząc z Dolskim przez pokoje, Robert dostrzegł już hrabiego, który na widok jego niespokojnie się rzucił, podbiegł kilka kroków, jakby się chciał przekonać, że go oczy nie zwodzą i zniknął. Niedaleko od gospodyni siedziała panna Alfonsyna, która zbladła dziwnie na widok Roberta, odwróciła się do miss Burglife i napróżno starała ukryć wielkie wzruszenie. Ks. Robert, po rozmowie z panią domu, wysunął się, okrążył salon i wedle programu, pozdrowiwszy ukłonem hra-

biankę, która głowę szybko odwróciła, przysiadł się poufale do Angielki.

— Dawno księżę przybyłeś?

— Wczoraj.

— Co za niespodziane spotkanie! Zabawisz tu księżę długo?

Tak rozpoczęła się pogadanka, której Robert starał się nadać cechę wesołą. Mościński w drzwiach salonu na straży śledził ją oczyma, nie wiedząc, co mu począć wypada. Witac się, nie witac—znać, czy ignorować.... W niepewności był wielkiój, gdy gospodarz go zaczepił pytaniem, czy księcia Roberta widział?

— A spostrzegłem właśnie, odezwał się Mościński, to nasz kuzyn, ale, jeśli mi pozwolicie, przyznam się wam, jesteśmy trochę na bakier. Cóż zaśzło—nieporozumienie, starał się trochę o Alfonsynę, i z tego powodu rozstaliśmy się zimno. Sam teraz nie wiem, czy mi wypada zbliżyć się, czy nie?

— Zawsze wypada być grzecznym, odparł Dolski. Cóż tam znowu!.. możecie bliższych nie mieć stosunków, ale niepodobna udawać, że się nie zna. Chodź, przy trzeciój osobie, to ci pójdzie łatwiej.

Opięrał się nieco Mościński, ale chwycony pod rękę, poszedł; zbliżyli się do ks. Roberta, który wstał i uklonił się, hrabia odetchnął. W tej chwili Dolski go puścił i zostawił samym, Mościński nie wahał się bliżej przystąpić.

— Czy mogę spytać księcia, jak się tam w Brańsku mają?

— Bardzo hrabiemu dziękuję, rzekł Robert, ojciec mój zdrów, jak na swój wiek. Ponieśliśmy bolesną stratę przez zgon ks. sufragana; generał cierpiał nad tēn wiele.

— A księżniczka?

— Stella i wszyscy zdrowi.

— Na długo tu księżę przybył?

— Dla interesów, to dosyć powiedzieć, czas oznaczyć trudno. Hrabia zabawi jeszcze w Warszawie?

— Zapewne, zapewne, zabawimy....

Rozmowa już się dla braku materiału zerwać miała, gdy Mościński nagle heroiczne powziął postanowienie... Przybliżył się jeszcze na parę kroków, uśmiechnął... i szepnął:

— Gdybym śmiał księcia prosić na słówek parę.

Robert wstał i okazał gotowość na rozkazy. Przesunęli się przez tłum i weszli do gabinetu, w którego kącie dwie znakomitości łyse zajęte były kwestyą społeczną tak zażarcie, iż nikomu przeskadzać w poufnęj rozmowie nie mogły.

Hrabia miał minę rozrzewnioną.

— Księżę mi nie masz za złe? rzekł błagająco. Zapomnijmy o wszystkiēn, bądźmy dobrymi przyjaciółmi. Ja chętnie się przyznaję do winy. Człó-

wiekowi nagadano niewiedzieć co, a ja jestem czasem gorączka.

Podał rękę drżącą; Robert, kłaniając się, w milczeniu ją przyjął.

— Nie mam najmniejszej urazy, rzekł.

— To chwała Bogu!

Mościński oddychał, promieniał, że z fałszywego położenia wyjść potrafił. Zamienili jeszcze słów parę, ktoś nadszedł i wrócili do salonu.

Ponieważ pokoje wszystkie szły na przestrzał, oko Alfonsyny mogło nieznacznie śledzić wszystkie ojca ruchy, fizyognomią i domyslać się jakiegoś pojednania. Twarzyczka żółtawa hrabianki zarumieniła się nieznacznie, miss Burglife spojrziała na nią i szepnęła:

— Książę się do hrabiego zbliżył. Widzisz, kochana Alfonsyno, nigdy nie trzeba wyrokować o przyszłości, on ma pewnie serce tobą zajęte. Złe, żeś go tak zimno przyjęła.

Hrabianka nie odpowiedziała na to nic, ale ciche uścisk ręki przyjaciółki i jeszcze żywszy rumieniec na twarz jej występujący dowiodły, że w sercu mieszkało jakieś uczucie. W głowie czy w niem? tego miss Burglife nie rozwiązywała, a są niby-uczucia, które w głowie mieszkają i należą może, jak orły mieszkające na skałach, do najdrażniejszych ptaków.

Tak zeszła część tego pamiętnego wieczora. Hrabia dwa czy trzy razy, dla okazji przed ludźmi,

rozmawiał w salonie z księciem Robertem, książę parę słów rzucił miss Burglife, a choć oko Alfonsyny śmielęj na nim spoczęło, nie zaczynał rozmowy.

Na początek wszystko szło jak najlepiej, a do dnia nazajutrz odebrał bilecik hr. Natalii zapraszający na obiad dla obmyślenia dalszego programu.

Robertowi wszystko to dosyć było obojętnem; ale kilka godzin z hrabiną płaciło za te strategiczne zabiegi, w których skutek wierzyć się nie zdawał.

Jeszcze się był nie ubrał, gdy oznajmiono mu hrabiego... Odwiedziny te miały znaczenie wielkie, przynajmniej oznaczały wyraźnie chęć zupełnego pojednania.

Mościński wszedł uśmiechnięty; zrazu mówił tylko o pogodzie, potem przeszedł do interesów familijnych, naostatek, już przy pożegnaniu, odezwał się, cisnąc dłoń ks. Roberta:

— Już mi też książę tego nie odmawiaj, ażebyś choć dla oka ludzkiego był u mnie. Co tam było, to było; wzajemnie sobie przebaczymy, a wszakże dobrymi krewnymi i przyjaciółmi być zawsze możemy. Alfonsyna też pragnie się sama przekonać, iż do nas urazy nie macie... *Soyez assez bon*, odwiedź nas, proszę.

Książę przyrzekł, rozeszli się w bardzo do brych stosunkach.

Hr. Natalia, oprócz tego rannego spotkania, wiedziała o wszystkiém bardzo dokładnie, dała rękę do pocałowania ks. Robertowi w nagrodę jego posłuszeństwa, śmiała się jakoś dziwnie, a gdy opowiedział o wizycie hrabiego, zarumieniła się aż, rada zwycięztwu. Jak to uczucie jój i tę dziwną gorliwość miał sobie tłumaczyć książę, sam nie wiedział, było mu smutno. Spytał nawet.

— Mój drogi Robercie, szepnęła cicho, mam może na sumieniu, że ci życie złamała. Niechże mu ulżę, myśląc, że się choć do materyalnego spokoju i dobrego bytu rodziny waszój przyłożę. Miłość młoda przechodzi i ostyga, życia nędza i wymagania zostają.

Zapłakała, otarła łzy i zamilkli.

---

Po dość długiem oczekiwaniu nareszcie przybył, bardzo skromnie, *à l'anglaise*, ale z nadzwyczajnem etaraniem wyekwipowany od stóp do głowy, pan Zygmunt Garbowski. Rachował on nieco na to, że zastanie ks. Roberta, a nierad był, gdy mu zapowiedziano, że do Warszawy na niewiadomo jak długi czas wyjechał. Szanowny stryjaszek Gozdowski, przerażony przybyciem tego pretendenta, o ile mógł, ręce od wszystkiego umywał i radził mu zaprezentować się generałowi.

W takim stanie, w jakim był dom Brańskich, przybycie młodego człowieka stawało się dość niewygodnym. Czuł to sam przybyły, lecz głowy ani humoru nie stracił. Zaprezentował się generałowi w jego mieszkaniu, a że zastał go przy zbrojach jeszcze, ofiarował się mu zaraz pomagać, jako wielki wszelkiej broni nowój i starożytnój miłośnik.

Zrazu stary był w pewnej obawie o swe drogocenne okazy, lecz gdy Zygmus zaczął ze znanstwem opowiadać o Ambrasser Sammlung w Wiedniu i Rüstkammerze w Dreźnie, o świeżych muzeach broni, które widział za granicą, ks. Hugon rozchmurzył się i zdał na jego ręce bez obawy przypasowywanie sztuk luźnych. Spadłszy tu jak z niebios, w przeciągu paru godzin nadzwyczaj wiele zrobił, poprzekładał i stryjaszka w najlepszy wprowadził humor.

Z nim razem potem zeszli na obiad, na którym szambelana nie było.

Księżniczka Stella wiedziała już o przybyciu p. Zygmunta i dosyć niespokojna ukazania się jego oczekiwała, mniej jednak przejęła, niż Antonina się spodziewała. Zygmus, ów wesoly szalawiła, zmieniony był wielce, poważny i troskliwy o przyzwoite pokazanie się nadewszystko. Przywitał księżniczkę z uszanowaniem wielkiem: Spojrzeli sobie w oczy. Stella uśmiechnęła się mu dziękczynnie, a że generał zaraz zagadał, wychwalając zrę-



czność gościa, który z nim zbroje ustawiał, rozmowa padła na tór obojętnych rzeczy i potoczyła się gładziutko po nim, nie zaczepiając o nic drażliwego.

Z nadzwyczajną ciekawością patrzyła panna Antonina na przybysza; chciałaby była coś w nim znaleźć niezupełnie odpowiedniego położeniu, ale nie mogła. Najsurowsze wymagania zaspokajał przykładnym nader obejściem się, w którym nic wymuszonego, zbytecznego, a zatem śmiesznego nie było.

Księżniczka powiedziała mu grzecznie, że się go już oddawna w Brańsku spodziewano.

— Nie chciałem być natrętnym, odpowiedział, a przytém do tak uroczystych dni życia, jakimi są dla mnie zawsze dni pobytu w tym domu, należy się duchem przygotować. Musiałem pracować nad sobą, by zrzucić skorupę starego człowieka, a przywdziać nową, odpowiednią.

— A jakaż była ta stara skorupa? spytała Stella.

— Jaskrawa, niesmaczna, zbyt młoda; musiałem trochę zestarzyć, dodał Zygmunt.

— To szkoda! młodość jest tak miłą i drogą!

— Jak jaka, pani, rzekł Zygmunt, czasem, jak moja, wygląda karykaturalnie.

— Trochę się pan obmawiasz.

O nie, pani, zresztą wolę, bym się trochę lepiej wydał potém.

Po obiedzie i urywanój przy nim rozmowie, księżniczka miała sposobność znalezienia się na chwilę przy oknie, sam na sam prawie z Zygmuntem, choć oko Antoniny każdy jój ruch śledziło i z poruszenia ust zdało się odgadywać wyrazy. Tej chwili użyła księżniczka, by Zygmuntowi podziękować.

— Dokażałeś pan cudu, rzekła, podając mu rękę ze spojrzeniem pełnóm rzewności, masz pan prawo do całej mojej wdzięczności i bądź pewien, że mu ją dochowam, że danego słowa dotrzymam... Zabaw pan u nas, poznajmy się lepiej wzajemnie.

Słowa te powiedziała cichutko i natychmiast wróciła do towarzystwa.

Zygmuntowi dosyć ich było. Wmieszał się do ogólnój rozmowy, a że mu na talencie nie zbywało, zabawik wszystkich żywemi słowy i dowcipem. Generał był zupełnie podbity.

Wieczorem, ponieważ zwykle szli wszyscy do szambelana, wyrobiono pozwolenie wprowadzenia pana Zygmunta, o którym ks. Norbert od Stelli już słyshał wiele. Nie domyślał się jednak weale ksiązę, jaką tu ten gość odgrywał rolę.

Ponieważ w chwili wnijsčia na pokoje szambelana generał się był pozostał za nimi, trafem ks. Stella prezentować musiała ojcu młodego Garbowskię. Uchodziło to o tyle, o ile ona rolę gospodyni domu odgrywać musiała.

Szambelan przyjął go nader uprzejmnie, przy-

patrywał się ciekawie i, jak był zwykł przy nowych ludziach, zaczął zaraz opowiadanie starych dziejów.

Zygmunt słuchał bardzo przykładowie. Wyzwany parę razy, odezwał się skromnie, ale śmiało. Nie było z kim grać... ofiarował się księciu do bilardu i dał mu wygrać, okazawszy jednak, że gra zręcznie i dobrze. Wszystko to były małe srodeczki pozyskania sobie względów i uczynienia dobrego wrażenia.

Skaptował ostatecznie księcia pan Zygmunt, okazując nadzwyczajną biegłość w nauce heraldyki i genealogii, którą nabył, przeczytawszy umyślnie parę książek. Ze zdumieniem przekonał się ks. Norbert, że znał związki główniejszych rodów, koligacye, domy panujące i stan ich dworów, urzędników wielkich i t. p. Oprócz tego z mnogich swych podróży miał młodzieniec zajmujące wspomnienia, których stary z przyjemnością słuchał. Zręcznym był też dotyla, że więcej napozór bawił starego, niż księżniczkę.

Wywiązał się z tej pierwszej próby tak zwycięzko, że stanowczo jakoś niezbyt mu przychylna p. Antonina znajdowała go nadto zręcznym.

— Zaczynam się go obawiać, szepnęła księżniczce, zbyt jest na swój wiek rozumny, chłodny i i wyrachowany.

Stella się roześmiała.

— Wolalabyś, żeby się znaleźć nie umiał?

— Tak, prawie.

— A ja nie, szepnęła Stella, gdy obie w jej różowym pokoiku wieczorem zasiadły. Spowiadam ci się ze szczerością, do której z tobą nawykłam. Tego, co w książkach nazywają miłością, nie czuję dla niego, nie wiem nawet, czy kiedy serce moje doznaćby mogło tego uczucia. Zestarzałam jakoś zawczesnie. W mojem położeniu pociesza to, że człowiek, który według wszelkiego podobieństwa pójdzie ze mną drogą życia, nie budząc we mnie płomienistęj miłości, przynajmniej na szacunek zasłuży i będzie znośnym.

— Ja bo dzielam zupełnie uczucie twoje, droga Stello, rzekła Antonina, wiem, że kochać go nie możesz, bo nadto kochasz wszystkich, byś jednego ukochać mogła, ale pragnę, ażeby on się w tobie kochał szalenie, a tego nie widzę.

— Byłoby niesprawiedliwością wymagać to po nim, czego mu dać nie można, dodała Stella. Zresztą wybór mój przymusowy, mógł być o wiele gorszym.

— Ja się tćm pocieszam, że jeszcze z tego nie będzie.

— Dla czego?

— Bo to nie od jednćj księżniczki zależy, a rodzina nigdy na to nie zezwoli.

— Będzie musiała, bo ja słowa mojego dotrzymać *muszę*, stanowczo rzekła Stella.

Nazajutrz pan Zygmunt znowu bawił generała

ranek cały, odwiedził Gozdowskiego, przyszedł przed obiadem na pokoje, jak domowy, jakby się z porządkiem tego regularnego żywota zupełnie już oswoił, bardzo był uprzejmym, ale nie natarczywym przy księżniczce, w którą się tylko wpatrywał, jak w obraz cudowny, potem z nią razem udał się do ks. szambelana, i wieczorem bawił ich czytaniem, deklamacją, opowiadaniem tak, że czas zszedł bardzo żywo. Nawet p. Antonina przyznać musiała, że był wielce miłym.

Lecz ktoby był wszedł w głąb' człowieka, usiłującego się ze swywolnego nieco życia młodości przerobić nagle na przyzwoitego, ukolysanego już, salonowego panicza, znalazłby może, iż zakochany w księżniczki oczach i uroczej twarzyczce, a nawykły do niepomiernej swobody, straszliwie się męczył i nudził dla jej miłości. Umiał się zastosować do tego życia, rozumiał je, lecz zadowolić się niemi dotąd nie potrafił. Czuł, że tu jakiegoś żywiołu brakło. Życie objawiało się najpiękniejszymi stronami swemi, lecz tak skąpo i nieśmiało, tak wysznurowane i rozmierzone, iż żywszy charakter połowy swych sił i energii rozwinąć w niemi nie mógł.

— Proszę też stryjaszka, spytał drugiego dnia Gozdowskiego, czy ci państwo tak wickuiście żyją spokojnie, połową tylko serce, ust i ducha?

— A zawsze! odparł Gozdowski, i w tém cała

tajemnica szczęścia, wielkie pomiarkowanie, miara, przyzwoitość we wszystkim.

— *A la longue*, rzekł Zygmunt, mogłoby to być trochę nudném... ale można się do tego przyzwyczaić, żyje się jak w pieluszkach...

— To właśnie cały wdzięk i smak tego życia stanowi, dodał Gozdowski, który doskonale się się z niemi godził.

— Wiekuista reprezentacya jakaś, ale doskonała... szepnął Zygmunt, szkoda, że się trochę nie zmieniają dekoracye i że żywiolu dramatycznego mało.

Gozdowski ramionami ruszył.

— Jesteś parafianin.

— Ani słowa, odparł Zygmunt.

Trzeciego czy czwartego dnia, korzystając z zajęcia czemś panny Antoniny, dłuższą miał rozmowę z księżniczką, która, przemógłszy pierwsze zakłopotanie po przyjęciu młodego gościa, była już spokojną, naturalną i zupełnie sobą. Ani w jej twarzy, ani w mowie nie zagrało żywsze żadne uczucie... w łagodnych oczach błyszczała jedna zawsze dobroć anielska wyrazem słodczy pełnym; w mowie nie poruszyła się żadna struna głębszej; myśli, które wyrażała, płynęły jasnym strumieniem, w którego głębinach żadna złocista rybka nie drgnęła.

Zygmunt, na próżno ożywiając się sam, starał się ją też pociągnąć za sobą; po krótkiej walce

Stella, silniejsza od niego, niosła go w te światy, w których mieszkała, a do których on wchodził onieśmielony, przelękły, niemal upokorzony. Czuł się przy niej zbyt ziemską istotą i wstydził, że tak mu ciążyła ta adamowa glina, gdy Stella była tak przezroczystą i bezcielesną.

Pomimo to godzili się doskonale z sobą i bawili rozmowami o wszystkiém, jakby wypróbować chcieli, czy o wszystkiém téż podobne mają pojęcia.

Czasem się one nie godziły, była chwila jakiegoś oporu i niby walki, poczem Zygmunt podbity łatwo ustępował.

Wieczorem któregoś z dni następnych, gdy pan Zenon zaprosił do siebie Garbowskiego, chcąc nieco ulżyć Brańskim, stary szambelan prawie po młodym gościu tęsknił i upominał się o niego.

Zenon czy sam dla siebie, czy namówiony przez siostrę, widząc go tak jakoś poważnym do zbytku i jakby onieśmielonym, począł badać Zygmunta, znając jego otwartość.

— No! jakże ci idzie, panie Zygmonicie?

— Jak nie można lepiej! Księżniczka—to prawdziwy anioł, ale między nami powiedziawszy, jej złociste skrzydła napęlniają mnie oprócz miłości jakimś strachem.

Śmiać się zaczął Zenon.

— A widzisz? rzekł, byłem tego pewnym!

— Nie stoimy na jednym planie, dodał Gar-

bowski. Ja na tę drabinę anielów nie mogę się wdrapać, a próżno oczekuję, ażeby ona trochę zeszała ku mnie.

— Jednakże nie możesz się skarżyć, jest dla ciebie tak miłą i dobrą!

— Że padam przed nią na twarz! ale gdyby też choć raz mnie polajała, zdaje mi się, że kochałbym ją mocniej jeszcze. Jestem w tém położeniu, jak owe dantejskie dusze w czyścju, jak poeta sam, gdy je chciał czule uściskać: chwytam urocze widziadło i ręce moje wracają mi na własne ramiona.

— W istocie, księżniczka jest istotą tak powietrzną, rzekł Zenon.

— Jakże tu ją wprowadzić w to życie, tak niestety kantowato rzeczywiste? odparł Zygmunt.

Na to nie odpowiedział mu Zenon, zagadali się wesoło o czém inném.

W kilka dni Garbowski oświadczył, że będzie musiał pojechać... Księżniczka była sama z nim, układając bukiet kwiatów zimowych. Spojrzała nań przenikliwie.

— Czego się pan tak spieszysz, rzekła łagodnie, tyle jeszcze do powiedzenia mamy. Ja przynajmniej...

— O pani, zawołał Zygmunt smutnie, ja miałbym nierównie więcej pewnie, lecz na ustach mi mrą wyrazy. Tyle jest rzeczy, któremi bałbym się obrazić jej uszy.

— Obawa niepotrzebna, dodała księżniczka,



nawet panna Antonina znajduje, że pan jesteś do zbytku trwożliwym. Ale... jedź pan, jeśli chcesz, może śmielszym powrócisz... tylko (obejrzała się wkoło) ażebyś pan o mnie nie zapomniał i miał zakład mój dobrej woli w dotrzymaniu mu słowa... weź pan tę odemnie małą pamiątkę.

To mówiąc, podała mu różyczkę zerwaną, a na jej łodydze mały z turkusem pierścionek.

Takiego szczęścia nie spodziéwał się Zygmunt, a że kochał, a raczej ubóstwiał Stellę, o mało nie padł na kolana przed nią. Oczyma księżniczka zabroniła mu tego ruchu, któryby nadto zdradzał rozmowę.

— Daj mi pan w zamian jaką obrączkę, rzekła, chcę ją mieć, abym czuła zawsze, com panu winna i jakie mam dlań obowiązki.

Zygmunt zdarł z palca obrączkę jakąś jedyną, którą nosił, i całując rękę księżniczki, włożył ją na jej palec.

Stella spojrziała nań z anielsko-spokojnym uśmiechem, nie zarumieniwszy się nawet, skinęła mu główką i powoli odeszła ku Antoninie.

Były to więc zaręczyny, a raczej zaręczenie, że wiara dochowana mu będzie, zależało tylko od niego zostać szczęśliwym, a drżał biedny Zygmunt! Wróciwszy do mieszkania, padł w krzesło, zadumał się, nie czuł prawie godnym tego, co go spotkało.

W pierwszych chwilach piął się zuchwale do

tego szczęścia, teraz przerażało go ono. Stary Zygmunt walczył w nim z młodym panem Zygmuntem. Wyrывał się ztąd, aby odetchnąć w innéj atmosferze piersią całą, tu dusiło go coś, sam nie rozumiał siebie.

A przecię był szczęśliwym... kochał, śniły mu się te wlepione w niego oczy pełne wyrazu, w które patrząc, wieczność było można przemarzyć. Zygmunt się pytał, czy téż życie w nich przeżyć było można?

Mówiły one wiele, wiele, ale... o miłości ani słówka.

---

W chwili wyjazdu pana Zygmunta, niespo dziwanie otrzymał pan Gozdowski list od dziedzica nowego klucza podmoszczańskiego, który w wyrazach bardzo grzecznych żądał od niego rozmowy w przedmiocie procesu, istniejącego między Brańskiem a jego dobrami o granice. Gozdowski ani przypuszczał, żeby ten nieboszczyk mógł odżyć. Z obu stron milcząco się oddawna ugodzono o pewne używalności i choć nie rozstrzygnięciem nie było, spór zdawał się umorzony. Pan Felicjan Zembrzyński wzywał na konferencyą. Nie chcąc go fatygować, plenipotent, zabrawszy papiéry, pojechał do niego.

Podmoszczański dwór, jak wiele innych, na starą bardzo, resztkami wałów obwiedzionej sadybce stojący, obszerny, opuszczony, zaczynał się dopiero restaurować potrosze. Od lat kilkadziesiąt tyłu w nim różnych ludzi gospodarowało, iż ze wszystkich po nich śladów, najróżnorodniejsza stworzyła się budowa. Część jej murowaną, najporządniejszą, zajmował nowy dziedzic, dosyć się wygodnie i nawet kosztownie urządziwszy meblami, sprowadzonymi z Warszawy. Slug nie brakło... Wysiadając z powozu, ujrzał kogós Gozdowski tak podobnego do Jałowczy, że gotów był przysiąc, iż tego podejrzanego włóczęgę tu widział znowu...

Pan Zembrzyński przyjął z przesadną grzecznością plenipotentą.

— Nie moja to wina, iż muszę pana dobrodzieja łaskawego fatygować. Spadł na mnie ten niemiły ciężar po przeszłych dziedzicach; radbym się go, a razem i procesu, zbyć jak najrychlej. Czybysmy o tę dyferencyą ułożyć się jakoś zgodnie nie mogli? Ja z góry zapowiadam, że do ugody wszelkiej, możliwej, chętnie obie wyciągam ręce.

— My też, zawołał Gozdowski.

— Chwałaż Bogu! rozpatrzmy się w interesie gruntownie i rozstrzygnijmy.

Przy winie, herbacie, owocach i całe pańskim przyjęciu, podanem na pięknych, nowiuteńkich srebrach, wszczęła się tedy rozmowa o dyferencyi.

Rzecz przedstawiała się nadzwyczaj jasno i pro-

sto według Zembrzyńskiego. Ks. ks. Brańscy powinni byli odstąpić od nieprawnie trzymanyh lasów i łąk, a poczciwy dziedzic dla świętego spokoju z wszelkich o długie przetrzymanie własności swęj pretensyj kwitował.

Gozdowski osłupiał. Napróžno starał się dowieść, że zupełnie odwrotnie w jego przekonaniu podmoszczańscy dziedzice trzymali nieprawnie znaczną część borów brańskich, że książęta mogli prędjéj daleko rościć sobie prawo do wynagrodzenia i t. p. Acz bardzo grzecznie rozprawa o tę granicę trwała do późna wieczorem, a skończyła się tém smutném przekonaniem plenipotenty, że z nowym dziedzicem, który tak się zdawał do ugody pochopny, nic na drodze pokojowéj zrobić się nie da.

Wnosił Gozdowski, by kończyć kompromisem przez osoby wybrane z obu stron i przez obie strony wyznaczonego superarbitra, ale Zembrzyński uchylił się od tego pod pozorem, że, będąc tu *homo novus*, mało zna ludzi, wybraćby ich nie umiał i nie ośmieliłby się fatygować. Koniec końcem z bólem serca, mimo najgłębszego szacunku dla czcigodnego domu książęcego, chociaż miłośnik pokoju i zgody Zembrzyński, bijąc się w piersi, prawie ze łzami utrapienia zapowiedział, że będzie zmuszonym sprawę tę oddać trybunałom do rozstrzygnięcia.

Gozdowski już na samém wyjezdném wstrzymał

się jeszcze; chcąc bliżej wyrozumić, od czegooby przeciwnik nie odstąpił; lecz pretensye były tak olbrzymie i przesadne, że o roztrząsaniu ich myślcć nawet nie było podobna. Zembrzyński domagał się prawie całych lasów należących do Brańska, zawierających ogromne sianożęcia, część towarowego boru, kilka osad kolonistów i t. p. Odjęcie tego spornego obszaru znaczyło tyle, co utrata połowy Brańska. Mogło się zdawać że tylko dlatego żąda tak przesadzenie wiele, aby coś otrzymać, lecz dokumenty, które składał, przekonywały, że na seryo myśli proces, z dodatkiem jeszcze pretensyj z posiadania wynikłych, rozpocząć. Opłakiwał tę smutną ostateczność, w którą został wtrącony nabyciem, p. Zembrzyński, lecz cóż? mówił, zapłaciłem drogo, rachowałem na to, obowiązek każe dochodzić. I znowu zaklinał się i protestował, iż zadawał gwałt uczuciom swoim.

Plenipotent odjechał późno, zamysłony, trochę zmitrężony tém wszystkiém, nie chcąc jednak uwierzyć, ażeby rzecz groźną być mogła.

Upłynął tydzień spokojnie. Zembrzyński listem jeszcze raz wezwał do układów. Gozdowski pojechał i trafił na te same niezłomne żądania; rozeszli się sucho i zimno.

W kilka dni wyszły pozwy, proces był wytoczony. Ze zwykłą sobie powolnością Gozdowski, niewiele o to dbając, napisał do plenipotenta, posłał mu papiery, notaty i spał spokojnie... tak spo-

kojnie, że nagle wiadomość o szybko jakoś bardzo zapadłym wyroku pierwszej instancji, w której książęta najzupełniej pobici zostali, piorunem go raziała.

Wyrok ten skazywał na przywrócenie dawnych granic mapami z 1612 roku wskazanych, na koszt i mającą się o gnić indemnizacją.

Nic to nie znaczyło, boć zostawały niezliczone apelacje z powodu formy i treści, można się było lat piętnaście wodzić po sądach, wszakże jeden zły wyrok już jest bardzo szkodliwym w sprawie pre-judykatem.

Gozdowski, który o tém dotąd nikomu nie wspominał, wzburzony polecał na radę do Zenona. Ten, przejrawszy dokumenty za i przeciw, sprawę znalazł zawikłaną i niedobłą. Za tych czasów, gdy możniejszym wolno było prawie wszystko, co siłą poprzec mogli, dopełniono najazdu na klucz podmoszczański, pod pozorem blahym i nieuzasadnionym. W ciągu wieków prowadzone procesy świadczyły wymownie, że Brańscy mieli za sobą wpływy, moc, protekcye, ale sprawiedliwość była po stronie przeciwnej.

Zenon nie mógł tego utaić. Przedawnienie stanowiło jedyny argument za nimi.

— Wiesz pan co, rzekł Zenon, nie wątpisz pewnie o mojem przywiązaniu do domu książąt, gdyby mi jednak sprawę sądzić dano, musiałbym ją przeciwko nim osądzić.

— To nie może być! zakrzyczał Gozdowski, pan masz jakieś przesadzone, dziwaczne idee! Dwieście lat posiadania!

— Choćby trzysta lat nie zmienia natury rzeczy, i co było niesłusznie zagarnięte, nie staje się prawą własnością.

Zebrano konferencyą przyjaciół i prawników. Zdania były podzielone, wszyscy jednak godzili się na to, że Zembrzyński, który pieniędzmi sypał, sprawę wygrać może i że niebezpieczeństwo jest bardzo wielkie.

Popłoch padł na Gozdowskiego, generał śmiał się i ramionami ruszał.

— Dwieście lat trwa sprawa, dwieście lat będzie trwała. Strachy na lachy, niema się czego trwożyć.

Tak to się ukołysało jakoś, a tymczasem niezmiernie czynny i zabiegliwy Zembrzyński pozywał a pozywał. Plenipotent lubelski z flegmą, rachując tylko na przeciągnięcie procesu rozmaitemi wykręty... wymykał się na wsze strony, jak zając przed psami powracający do swęj kotliny, aby ich obalamucić.

---

Księcia Roberta z powrotem nie było. Podwójna siła trzymała go w Warszawie: piękne oczy hr. Natalii, w które się codzien choć zdala mógł wpa-

trywać i nadzieja ożenienia, ku któremu ona go popychała sama, całemi siłami starając się, ażeby przyszło do skutku. Pomimo to kochała go, lecz miłość ma swe niepojęte dziwactwa i szale. Zda wało się jej, iż serca Roberta pewniejszą będzie, dając mu za żonę kobietę, której kochać nie mógł. Pragnęła przytém oczyścić się, uspokoić na duchu. Przyjmowała go codzien, lecz żeby nie dać się dawniej namiętności obudzić, wyrachowywała bacznie, ażeby kogós przy sobie mieć zawsze, aby go odzwyczaić od poufałości i nazwyczaić do spokojnego stosunku, podobniejszego do starej przyjaźni, niż do zgasłego wulkanu. Starania hrabiny, same z siebie szczęśliwe, ojciec Alfonsyny, zupełnie teraz nawrócony, popierał dobrowolnie.

Robert, zaproszony, poszedł raz piérwszy z ceremonialną wizytą. Zastał jakby naumyślnie tylko pannę i nauczycielkę, które go przyjęły, jakby wczoraj rozstał się z niemi. Hrabianka podała mu rękę, zaczęła rozmowę od rzeczy obojętnych, wpadła w humor wesoły, dziwnie wesoły, a gdy przypadkiem wyszła miss Burglife, nader czule patrząc w oczy księciu, szepnęła mu po cichu, że się spodziewa częściej go widywać.

Czułość ta raczej mogła odstręczyć Roberta, niż przyciągnąć. Pojmował on ożenienie urzędowe, zimne, obrachowane ze stron obu, lecz do wysiłku i kłamanego przywiązania nie czuł się zdolnym. Czegóż przecię nie zrobi, kto jest zmuszony?



Przyjął to wszystko, podziękował i przyrzekł, że będzie posłusznym.

Miss Burglife nie powracała tak długo, aż wszystkie materyały rozmowy zostały wyczerpane. Alfonsyna wypowiedziała, co tylko sobie wprzód przygotowała i postanowiła mówić.

Razem prawie z guwernantką ukazał się ojciec, wracający z miasta, czuły, serdeczny, gorący, duszący w uściskach. Już wychodzącego Roberta osadził znowu, jał opowiadać o Warszawie, narzekać na młodzież, skarżyć się na towarzystwo, mówił o Brańsku, dopytywał o wszystko.

Odbyła się ta pierwsza wizyta, jak tylko Robert mógł zapragnąć; od tej jednak bytności powiedział on sobie, że choćby składało się jak najpomysłniej, przyspieszać nie będzie stanowczego oświadczenia i da się powoli rozwinąć całej tej nieszczęsnej sprawie, nie popychając jej do końca.

W tym celu napisał do Brańska do generała list, w którym mu oznajmił, iż dla interesów przybywszy do Warszawy, zastał tu jeszcze hrabiego z córką, że najdziwniej złożyło się spotkanie, pojednanie, że Młociński, pełen skruchy, stara się naprawić błąd popełniony, i t. p. Zapytywał razem generała, czyliby, w razie jeśli to się da bez najmniejszego ubliżenia honorowi domu uczynić, nie należało odnowić myśli pierwszej, dla ocalenia na przyszłość Brańska od groźb i katastrof. Dodał, że ze swęj strony, jak wprzód, gotów był

to uczynić, tak dziś nie ma nic przeciwko temu, głównie na oku i sercu mając interes i przyszłość rodziny. Dawał do zrozumienia jeszcze, iż dla tego w Warszawie pobyt swój przedłuży, prosząc, by ojca przygotował i t. d.

Podobny list napisał i do Stelli, ale w tonie chłodno-żartobliwym, niby wesołym, w istocie bolesnym. Siostry serce czytało go, tak dalece rozumiejąc, iż łzy miała w oczach, wyciśnięte tym dowcipem. Może téż własne położenie przygotowało ją do lepszego pojęcia uczuć ks. Roberta. P. Antonina, która ten list chciwiej niż księżniczka przez ramię jej pożerała oczyma, prawie nim była uszczęśliwioną. Znać obawiała się ona czegoś innego w Warszawie i Alfonsynę witała jak anioła-wybawcę.

Po wyprawieniu listów, ułożywszy sobie tak życie, aby większe pół dnia mógł spędzić u hrabiny Natalli, wchodząc i wychodząc niewidziany, ks. Robert prowadził konkury, nieobjawione jeszcze urzędownie, z flegmą człowieka, któremu do celu nie pilno. Odwiedzał hrabiego, schodzili się w znanych domach; Alfonsyna czasem ośmielała się *nakazywać* księciu, aby się w jej łoży w teatrze znajdował. Kompromitowano go widocznie, starano się skłonić naostatek do oświadczyn, ale ks. Robert udawał bojaźliwego i nieośmielonego. Ile razy hrabia rozmowę zawrócił w stronę, która do celu doprowadzić mogła, księżę wymykał mu się zręcznie.

— Bardzo teraz go trzeba natchnąć odwagą, mówił Mościński do przyjaciela Aurelego, bo widocznie lęka się nas, niedowierza, nie radby zerwać, a nie śmie stanowczo nic rzec. To moja wina, bom go strasznie obcesowo odegnał; teraz czasu trzeba, żeby się to naprawiło. Alfonsynie téż nie wierzy, no... ale jakoś to dobijemy, dobijemy!

I zacięrał ręce Mościński, pewien, że zręcznie doprowadzi do skutku, gdy sam zechce.

Szambelan dowiedział się od brata o wznowionym projekcie nietylko z podziwieniem niezmierzonym, że Robert mógł coś podobnego uczynić, lecz z oburzeniem przeciwko myśli zbliżenia się do rodziny, która raz śmiała Brańskich obrazić. Zaczernił się, rozgniewał i chciał, ażeby generał pisał natychmiast do Roberta, by powracał, zakazując mu wszelkiego z Mościńskimi stosunku. Trzeba było dni kilku wspólnych usiłowań Stelli i generała, ażeby zwolna ukołysać, uspokoić i przekonać szambelana, iż to rodzinie najmniejszej ujmy nie czyni, gdy strona przeciwna sama się stara ją przebłagać, czując głęboko winę swoją. Zostawiono więc rzeczy *in statu quo*, spuszcżając się na ks. Roberta, który najlepszym mógł być sędzią w tej sprawie. Bądź co bądź, szambelan już temu rad nie był i mówić o tém nie lubił.

Po odjeździe pana Zygmunta, kilka tygodni słychać o nim nie było. Gdy zjawił się znowu, Stella przyjęła go, jak starego znajomego i przyjaciela,

szukając w jego oczach wyrazu uczucia, z którym powracał. Lecz w pierwszej chwili ujrzawszy go, spostrzegła na nim grubą żalobę i pobladła.

— Kogo pan straciłeś? zawołała ze współczuciem serdeczném.

— Ojca! odparł Zygmunt ze łzą w oku.

— My nic o tem nie wiedzieliśmy!

— Był to człowiek prosty, cichy, o którym w ogóle świat wiedział mało; ale dla mnie był on wszystkiem, od czasu gdym matkę stracił. Teraz go dopiero oceniać się uczę, bośmy dawniej nieraz się z sobą uciérali. Pracując do ostatniej chwili, skonał na moich rękach, jeszcze troszcząc się o mój los i o mnie tylko.

Zygmunt ciągle łzy miał na powiekach. Stella z uczuciem uścisnęła jego rękę.

— Sam teraz jestem na świecie, rzekł.

— Mylisz się pan, dodała pocichu, jest nas dwoje, bo ja pana nie opuszczę.

I pokazała mu pierścionek.

Zygmunt rękę jej ucałował, ale był dziwnie jakiś nie swój, pomieszany, smutny, co naturalnie śmierci ojca najwłaściwiej przypisać było. Obudziła ona w Brańsku powszechne współczucie dla Zygmunta, i szambelan, rad z jego przybycia, prosił go sam, ażeby dłużej zabawił, a starał się smutne rozerwać myśli.

Nie posądzał on wcale Garbowskiego, aby miał jakie projekty; śnić mu się to nawet nie mogło,

wiedział, że był jedynakiem i bardzo majątnym, lecz dość było pokrewieństwa z Gozdowskim i nazwiska pospolitego, aby myśl wszelką odpędzić.

Stella, zdając się mieć na sumieniu spełnienie swego przyrzeczenia, obawiała się oporu ze strony ojca, przewidywała go, rachowała wszakże na przywiązanie jego do niej, na wpływ, jaki miała, na swą stałość. Zdawało jej się, że tę kampanią należało zawczasu przynajmniej rozpocząć i przygotować się do niej. Gdy Zygmunt przybył powtórnie, Stella, mówiąc o nim przed ojcem, zaczęła go bardzo chwalić. Ojciec potakiwał. Ośmielona tém, drugiego dnia rzuciła coś o tém, że jego bywanie w Brańsku mogło dać do myślenia, iż miał jakieś zamiary.

— Masz słuszość, odparł stary, śmiejąc się, mnie to też na myśl przychodziło, *il y a anguille sous roche*, jestem pewny. Musi się chcieć starać o Antoninę. Dla czegoż nie? i owszem, będzie to partya bardzo dobrana i wielce stosowna.

Szambelan ani przypuszczał, żeby Garbowski wyżej sięgnąć się ważył.

Zmiarkowawszy to, Stella zamilkła.

— Jeżeliby to przychodziło do skutku, bo nie rozumiem, dla czegooby znów tak porządnego i miłego człowieka Antosia miała odrzucać, będziemy mieli trochę na te ciężkie czasy kłopotu, bo Antoninie i wyprawę musimy dać i jakiś pieniężny po-

darek. Nigdy żadna panna z naszego domu nie wyszła, nie będąc przez nas wyposażoną.

Stella milczała, nie śmiała nawet podać już myśli téj, z którą przyszła, trzeba było rzeczy biegowi właściwemu zostawić. Zygmunt téż nie nalegał, a roczna po ojcu żałoba sama z siebie na ten czas o małżeństwie myśleć nie dozwalała. P. Antonina, zawsze przeciwna związkowi, znajdowała, że to było bardzo, nadzwyczaj szczęśliwém.

Zabawiwszy dni parę, pod pozorem pilnych teraz spraw majątkowych, Zygmunt wyjechał. Na wyjeźdném Stella podała mu rękę, pokazując pierścionek.

— Wracaj pan, rzekła, wracaj; zabaw dłużej, ale nie odwykajmy od siebie, nie zapomnijmy o sobie. Cięży mi na sercu dług mój, chciałabym go sercem wypłacić, uczynić to pan możebném. My się zamało znamy, my mamy tyle do mówienia ze sobą i tyle do przewyciężenia trudności!

Mówiąc to, spuściła oczy.

Zygmunt przyrzekł wrócić jak najprędzej.

Mamyż objaśnić tu, dla czego tak teraz był coraz mniej śmiałym, coraz bardziej wahającym się? Przyczyny tego fenomenu już w samym jego charakterze istniały. Natura ta ogłusta, zamiłowana w swobodzie, z trudnościami mogła się poddać tym formom towarzyskim ostudzającym i wymaganiom Stelli, która z anielską swą słodyczą i spokojem chciała w nim mieć podobnego do siebie człowie-

wieka. Miłość byłaby może dokazała choć chwilo-  
wo tego cudu i przeobrażenia, gdyby z niewiado-  
mym nam przyczyn wpływ panny Antoniny nie  
podziałak także na Zygmunta. Towarzyszka Stelli  
znała ją od dzieciństwa, przenikała myśli, zgady-  
wała uczucia, czytała w nich jak w otwartej księ-  
dze, i przerażona była wielkością ofiary, której  
postanowiła dokonać. Wiedziała ona najlepiej, że  
Stella nie miała wstrętu do Zygmunta, ale go nie  
mogła kochać, że usiłowała się zwyciężyć, prze-  
módcz, zmusić do poświęcenia. Postanowiła więc  
Antonina przemówić do młodego serca, do szlache-  
tności Garbowskiego, aby przynajmniej odwlec  
spełnienie nieodwołalne przyrzeczenia. Stella, lę-  
kając się sama siebie, wiązała się słowem i pier-  
ścieniem, Antonina usiłowała wytłumaczyć to Zyg-  
muntowi i wmówić w niego, że on takiej ofiary  
przyjmować nie może, nie powinien.

— Jeśli ją pan istotnie kochasz, to ją kochaj  
tak jak ona warta... idealną miłością... zdaleka... a  
że ona pana nie kocha... że go tylko szanuje, na  
to przysiędz mogę.

Wracała tak często do tego tematu panna Anto-  
nina przy każdej podanej sposobności, iż w końcu  
obudziła w Zygmuncie chęć uczynienia też ofiary  
ze swój strony. Ale serce go trzymało, może tro-  
chę próżności, może nieco nadziei. Stella była tak  
anielsko piękną, a człowiek jest tak zawsze słabym  
człowiekiem!

Zygmunt chciał być bohaterem, a czuł, że na niego nie urósł, wahał się, przeciągał ten stan niepewności, jednego dnia postanawiał dokonać ofiary, drugiego odkładał ją, aby mieć prawo marzyć jeszcze... choćby marzyć.

Wśród tych uczuć śmierć ojca wstrząsnęła nim i ostatecznie wyleczyła go z resztek dawniej lekko-myślności, w której czasem szukał pociechy i odurzenia. Zgrai byłych przyjaciół, którzy się zbiegli na łup, pewni, że go objadać, opijać i odziierać będą, dał grzeczną odprawę. Stał się do niepoznania innym. Szalona wesołość nagle przeszła w równie głęboki smutek.

---

Proces z panem Zembrzyńskim ciągnął się sobie powoli, wedle rozumnego planu lubelskiego plenipotentą, lecz zarazem nader nieszczęśliwie, wedle przepowiedni pana Zenona: przegrywali Brańscy wszędzie. Plenipotent utrzymywał, iż to wszystko nic nie znaczy, że on nie chce szafować środkami obrony w niższych instancjach, a woli całą swą siłę, całą potęgę skupić, gdy rzecz stanowczo rozstrzygać się będzie. Wyroki rzucano obojętnie na stół i pozywano się dalej, ale już nawet optymista Gozdowski trwożyć się zaczynał.

Mówiono o tém wiele we dworze, a Wincento wicz szczególnież znowu tym Zembrzyńskim się



zajmował, chociaż mu dowiedziono, że co Felicyan to nie Leon, i że ten inaczéj wyglądał. Żartowano sobie z niego... milczał, ale korciło go niezmiernie.

Nareszcie doszedł do tego stanu zniecierpliwienia, iż postanowił dotrzeć na miejsce i tego nowego Zembrzyńskiego zobaczyć. Ponieważ teraz i o polowanie w lasach zakwestyonowanych były spory, użył tego pozoru Wincentowicz, aby jednego dnia, nie nikomu nie mówiąc, wsiąść na konia i ruszyć do Podmoszczan.

Gdy przybył do dworu, zrazu go jakoś niebardzo do pana puścić chciano, lecz przebojem poszedł.

W trzecim pokoju nad stosem papierów w bardzo pięknym szlafroku zastał... kogoś podobnie-  
teńkiego do Zembrzyńskiego z Lublina, lecz młodszego i niby zmienionego. Ten, nie ten... patrzył i nie mógł zrazu sam sobie zdać sprawy z wrażenia. Mężczyzna siedzący za stołem wstał, jakby nie znając wcale Wincentowicza, spokojnie, grzecznie odezwał się do niego, głosem mowy trochę od tamtego Zembrzyńskiego odmiennym, zapytując, czém mu służyć może? co go tu sprowadza.

Obalamucony wielce Wincentowicz, języka w gębie na chwilę zapomniał, patrzył, patrzył, patrzył, a przyczepić się nie śmiał, naostatek z ukłonem rzekł, że przyjeżdża w interesie lasów zakwestyonowanych, gdzie mu polowania bronią.

Mówiąc to, ciągle oczy wlepiął w owego Zembrzyńskiego i ciągle się z sobą pasował. Ten — nie ten. Czasem mu się ot, ot zdało, że poznaje owego Judasza, to znowu zaczynał wątpić. Wyraz twarzy był odmienny i — jak u kaduka ten biedny, zakrakany pan Leon, mógł przyjść do dóbr takich? To było niepodobieństwem.

Gospodarz prosił go siedzieć. Każdy ruch jego śledził Wincentowicz i zupełnie mu się w głowie plątało.

— Przepraszam pana dobrodzieja, rzekł w końcu, taką jestem dręczony niepewnością, patrząc na niego, że wytrzymać nie mogę. Znałem pewnego pana Leona Zembrzyńskiego, którego mi pan tak przypomina, ale tak... że na honor, od zmysłów odchodzę.

— Nic dziwnego, odparł z zimną krwią gospodarz, rzecz bardzo naturalna. Leon był moim rodzonym bratem i byliśmy tak do siebie podobni, że nas nieustannie jednego za drugiego brano. Twarz, głos, ruchy. Ale ja, dodał, jestem od nieboszczyka młodszy.

— Jako? umarł? podchwycił Wincentowicz.

— Umarł w Lublinie, wkrótce po jakimś wypadku, o którym się nie mogłem bliżej dowiedzieć. Posądzono go o jakiś postępek nieszlachetny, zagrożono mu, zgryzł się i nagle prawie skończył.

Tu westchnął gospodarz.

— Ubogie to było i biedne, mówił dalej; gdy

ja chodziłem dzierżawami i dosyć mi się wiodło szczęśliwie, on się koło prawników kręcił, i co gdzie zarobił, to na fałszywych spekulacyach, na przelewach i nabytkach tracił. Słowem, że po nim nic prawie nie pozostało, oprócz téj rudery, którą za bezcen sprzedać trzeba było.

Wincentowicz słuchał, wpatrywał się, dumał, ale z zupełną dobrą wiarą przyjął to opowiadanie. Uczuł nawet w sercu pewną zgryzotę, iż się może nieborakowi do śmierci przyczynił.

— Wię pan dobrodziej co, gdyby... gdyby nie to, że widocznie pan jesteś młodszy i w innéj pozycyi i.... tego.... powiedziałbym, dalipan, że ten sam. Myśmy z panem Leonem byli, ale to temu nie wiedzieć wiele lat, na dworze u Brańskich.

— A wiem, bo mi to opowiadał, rzekł gospodarz i zarumienił się.

Wniesiono bardzo wytworną przekąskę. Wincentowicz wódki się napił i do chleba z masłem przystąpił z apetytem myśliwca.

— Mam téż do szanownego pana prośbę, rzekł.

— Cóż takiego?

— Otośmy zawsze w tych zakwestyonowanych lasach polowywali i nikt nam nigdy słowa nie mówił; teraz nam przeczą i strzelby chcą grabić. Czyż pan będziesz tak surowym?.. toć przecię zwierzyny nie wybijemy do szcztu.

— Nie idzie tu o zwierzynę, odezwał się grzeecznie Zembrzyński, ale o prawo polowania. Kto

poluje w lesie jakim, do pewnego stopnia dowodzi, iż się w nim za prawowitego gospodarza uważa; jest to prejudykat, któregooby w procesie przeciwko mnie potém użyć można. Niepodobna mi więc dozwolić bez przeszkody polować, bobym na tém mógł więcej niż zwierzynę stracić, łaskawy dobrodzieju.

— To prawda! smutnie westchnął Wincentowicz, to prawda...

— Ale na to jest rada, dodał gospodarz. Radbym koledze i przyjacielowi ś. p. brata mojego uczynić małą przysługę... Dam panu na piśmie pozwolenie dla niego osobiste na polowanie w zakwestyonowanych lasach.

Wincentowicz, doskonały myśliwy, ale prawnik nietęgi, nie dostrzegł wcale, iż przyjęcie przez ofycjalistę ks. ks. Brańskich takiego pozwolenia, mogło być do pewnego stopnia tłumaczoném tém, iż prawa strony przeciwnéj uznawali. Skłonił się więc, dziękując tylko.

Gospodarz dobył księgę sznurową i natychmiast pozwolenie pod pieczęcią za numerem wydał, prosząc tylko dla porządku pana Wincentowicza, ażeby się rozpiisał, iż takowe do rąk swych przyjął.

Nie miał nic przeciwko temu pan łowczy. Kartkę schował do kieszeni, jeszcze raz wódki się napił, dostał w dodatku wcale dobre cygaro, i z żółdkiem a razem sumieniem uspokojoném, po krótkiej rozmowie odjechał.

Gdyby się był obejrzał, zobaczyłby w oknie pokoju, w którym siedzieli, skrzywioną twarz Zembrzyńskiego, śmiejącego się szatańsko i pokazującego mu zdaleka dwie brzydkie figi. Zobaczywszy tę postać, byłby Wincentowicz poznał tego, z którym się ujadł na Firlejowszczyźnie; lecz poczciwy łowczy w ogóle nie wiele nad to widział, co mu na oczy samo przychodziło. Pojechał więc, rozmyślając, jakie to dziwy wyrabia ta natura, tworząc naprzykład postacie jak dwie krople wody do siebie podobne... jakie to są losy ludzkie, które jednemu dają nędzę, a drugiemu miliony... i naostatek jak, będąc bogatym, można mieć dobrą wódkę, świeże masło i wyborne cygara.

„Nieborak pan Leon, dodał w duchu, świeć Panie nad jego duszą, nigdy takiego cygara nie palił i takich przysmaków nie jadał, ale że był do niego podobny, to podobny, tylko o wiele brudniejszy”.

Z tē m Wincentowicz powrócił do Brańska, lecz nie chwalił się jakoś z otrzymanego pozwolenia na polowanie w lasach spornych.

Proces tymczasem, z obu stron już teraz pilnie prowadzony, szedł coraz dalej, wyżej, i stawał się coraz groźniejszym. Gozdowski tylko, pocieszając się, utrzymywał, że go jeszcze lat pięćdziesiąt prowadzić będzie można.

Z wielką pociechą szambelana, gdy wszystkie paki zostały znowu wypróznione i dawne domu

zabytki stanęły na miejscach, które niegdyś zajmowały, pan generał przyszedł go zawiadomić, że stropy zostały ponaprawiane tak, że najmniejszego nie zostało znaku rysów na nich i w murach, że zatem dawny życia porządek znowu rozpocząć będzie można.

Ucieszyło to niezmiernie ks. Norberta, który czule generała uściskał.

— Ty tu jesteś moim prawdziwym duchem opiekuńczym, podporą i chlubą rodziny, jej sławą! Dzięki Bogu nie mieliśmy w niej wyrodków, nie doznaliśmy też mezaliansów; pocziwa krew bez żadnej obcej mieszaniny płynie w żyłach naszych. Możemy spokojni zejść ze świata, pocziwy Robert wstydu nam i imieniowi nie zrobi! O Stellę się tylko troszczę... bo gdzie to taką perłę, godną królewskiego dyademu, umieścić? Proszę ciebie, zniżając głos, ciągnął dalej szambelan, między nami mówiąc, choć niktby się tego nie domyslił, bo to wygląda jak dziecię, jak kwiatek... Stella ma dwudziesty ósmy rok, dwudziesty ósmy!... Nieraz spoglądam wkoło, żeby jej stosowną partya upatrzeć, i nie widzę nic. Szkoda takiego ślicznego dziewczęcia, takiej cudnej niewiasty! Co ty na to generale?

— Mój Boże! zawołał ks. Hugon, małżeństwa piszą się w niebie, a jeśli je człowiek tworzy, rzadko wypadają szczęśliwie. Nie lękaj się, bracie. Znajdzie się ktoś jej godny, tylko zdaniem mojem,

zbyt znowu wysoko patrzeć, zbyt wiele wymagać nie trzeba, a wybór jej samęj zostawić..

— Cóż Robert pisze? spytał stary.

— Przeciągnął swój pobyt dla hrabianki, tym razem zdaje się, że małżeństwo to przyjdzie do skutku... Jakkolwiek Alfonsyna nie powabna, ale rodzina dobra i posag piękny, a ten nam się bardzo przyda.

— Komuż się to nie przyda? westchnął szambelan.

Po chwili dodał, kładąc rękę na ramieniu księcia generała.

— Wiész co, bracie, żyjemy tak osamotnieni, a ta biedna Stella, choć tego nie mówi, nudzić się musi... Dla nięj samęj czasemby dom otworzyć potrzeba, inaczej któż ją zobaczy? Mnieby się zdawało, że po ukończeniu restauracyi, najwłaściwsza pora byłaby dać wielki bal... sprosić sąsiedztwo, wystąpić, przypomnieć, jak to u nas niegdyś bywało. No? jak ci się zdaje?

Generałowi z wielu względów myśl nie zdawała się zbyt szczęśliwą, ani bardzo w porę przycho-  
dzącą, ale wiedział, że szambelanowi wprost się sprzeciwiać nie było podobna—brał stary na kiel.

— *Ma foi*, odparł, możnaby o tém pomyśleć dla zabawy Stelli, zapewne. Ale niechżeby choć Robert powrócił.

— Ja sędzę, że to pewnie wkrótce nastąpi rzekł szambelan.

— A no, to wówczas pomówimy.

Myśl jednak tego balu świetnego utkwila w głowie staremu, ciągle coś o tém napomykał.

— Nie wiem, wymówił się generał, trzeba by spytać Gozdowskiego, czy pieniądze w kasie mamy. Ten proces o granicę bardzo kosztuje.

O procesie wiadomości nie tajono przed szambelanem, pamiętny wszakże dawnego toku sprawy, śmiał się z tego.

— Proces ten, to farsa! bałamuctwo! dwieście się lat toczył, a! żeby też pieniędzy u Gozdowskiego zawsze w zapasie jakich kilkadziesiąt tysięcy nie było, tobym go nazwał... no, nie powiem jak.

Ks. Hugon wiedział najlepiej, iż czasem o kilkaset złotych było trudno, lecz zmilczał.

— Na taki występ, mój bracie, rzekł po chwili, niewiele teraz w sąsiedztwie ludzi się znajdzie... Opustoszała okolica, rozjechali się, dużo nawykło mieszkać w mieście.

— Bo ja też nie myślałbym ograniczyć się okolicą, zresztą pustą, dodał szambelan; o kilkanaście mil możnaby listy i zaproszenia rozesłać. Przecie do Brańskich przyjechać za honor sobie mieć powinni. Stoję tém mocniej przy tej myśli, że świetność dawna naszego domu pod wpływem zmiany obyczajów wielce szwankowała... należałoby ją odświeżyć. Na to kilka, a choćby i kilkanaście tysięcy ważyć, rzecz nie jest stracona.

W ciągu wieczora po kilkakroć do tego przed-



miotu powracał pan szambelan, a brat wcale się nie sprzeciwiał.

— Pomyślmy o tém, pomyślmy, powtarzał, gdy zechcesz, to się to robi.

Drugiego dnia właśnie po tém sztafeta przyniosła wiadomość Gozdowskiemu, że proces o lasy z Zembrzyńskim w przedostatniej instancji znowu został przegrany. Zostawał już tylko jeden, jedyny, ostatni rekurs, po którym nie byłoby ratunku, połowa dóbr Brańskich mogła odpaść niepowrotnie, a gdyby wyrok przysądził to, czego domagał się Zembrzyński, wynagrodzenia ubytków, nie starczyłoby całej fortuny książąt na tę indemnizacyą.

Przerażenie Gozdowskiego równało się teraz jego niedawniej obojętności i optymizmowi. Wpadł do generała, rwąc włosy na głowie, trzeźwiąc się solami, bez tehu i bez przytomności prawie.

Ks. Hugon czuł już nowy cios jakiś, usłyszawszy jednakże o lasach, nawykły lekko sobie cenić całą sprawę, począł się śmiać z Gozdowskiego. Ten zażądał jechać do Warszawy sam i miał już tylko otrzymać listy do ks. Roberta, by ruszyć natychmiast. Zdaniem jego należało poruszyć wszystkie sprężyny, protekcyę, stosunki, aby się oprzeć człowiekowi, który w niesłychany sposób podkopał tak znowu ks. ks. Brańskich, że ruina ich mogła być straszniejszą teraz, niż była, gdy chciano dobra za długi licytować.

Uznał w końcu i ks. generał, że coś uczynić należało. Ponieważ Roberta miał Gozdowski zastać w Warszawie, dość było sprawę zdać na niego, a on powinien ją być za pomocą stosunków swych na wcale innym postawić stopniu i pieniacza rozumu nauczyć.

Z tą błogą nadzieją Gozdowski, opatrzonego w listy i papiery, wybrałszy powóz, który jaknajlżej nosił i służącego, który mógł w drodze wcale nieźle zgotować, po dobrém śniadaniu i kieliszku starego Bordeaux, bo bez tego trudno mu się obejść było, wyruszył do Warszawy.

Tegoż samego dnia trzęsącą bryczką, bez resorów, z małym chłopakiem do posługi, z bułką chleba, trochę masła w garnuszku, twardemi jajami i flaszczyką wódki, wyjechał z pugilaresem dobrze naladowanym p. Zembrzyński, w tymże samym celu i w tym samym kierunku.

---

Gdy książę Robert zwlekał oświadczenie się Alfonsynie, a hrabia Mościński rozmyślał, jakby go przywieść ku niemu, Gozdowski pospieszał do Warszawy, nie zapytawszy nawet generała na wyjeźdnem, gdzie w mieście ma księcia szukać. Dopiero wysiadłszy, zjadłszy dobre śniadanie, odwiedziwszy fryzjera i wyświeńczywszy się, szanowny

plenipotent wyruszył, nakładając ciasne rękawiczki, na zwiady po hotelach.

Losy są czasem dziwnie szyderskie, gdy idzie o spleatanie figla ludziom, osobliwie tym, na których się raz spiknęły. Załedwie pan Gozdowski wysunął się w ulicę, gdy na przeciwnym chodniku ujrzał wesolą, rumianą, w majestacie całym krocząca postać znanego mu hrabiego Mościńskiego. Ten niezawodnie wiedzieć musiał o mieszkaniu księcia. Plenipotent rad, że mu się tak szczęśliwie powiodło, poskoczył, przypominając się hrabiemu i przynosząc mu pozdrowienie i ukłony od pana generała.

Hrabia ledwie sobie tę figurę przypomniał, lecz przywitał bardzo grzecznie.

— Cóż pan tu w Warszawie porabiasz? spytał.

— A! te nieszczęśliwe interesa mnie tu przypędziły, rzekł Gozdowski, nie sądząc, ażeby przed hrabią, krewnym Brańskich, życzliwym im, należało coś ukrywać. Ledwieśmy się cokolwiek jednego kłopotu pozbyli, spadł nam drugi niemniejszy na głowę.

— Cóż takiego? ciekawie zagadnął hrabia.

— Proces stary, paskudny, proces zaniedbany o granice, który dwieście lat trwał, a teraz odnowiony przez nabywcę dóbr sąsiednich podmościańskich wcale się stał groźnym. Nie przypuszczam, ażeby go wygrał, z tem wszystkiem w niższych instancjach otrzymał dla siebie przychylnie

wyroki. Uchowaj Boże w ostatniej jeszcze wygra, tośmy przepadli; oderwie nam lasy i sianożęcia, pół majątku można powiedzieć, Brańsk bez nich nic nie wart. A że nie jesteśmy bez grzechów... (kto dziś długów nie ma?) to groziłoby nam zupełną ruiną.

Hrabia aż drgnął i oczy wlepił w plenipotentą, który ciągnął dalej z zapalem:

— Przybiegłem sam do ks. Roberta, aby wszelkich możliwych użył tu wpływów i stosunków. Trzeba się bronić... musimy wygrać lub... już nie chcę mówić, co nas czeka; Brańsk bez tych lasów powtarzam, na nic się nie zdał.

— Cóż pan mówisz? kiedyż się to począł ten proces? ja nie o nim nie słyszałem, spytał hrabia, z miną bardzo skłopotaną.

— A! to stare dzieje, tylko odnowione. Pojmuje pan łatwo, dodał, że proces ciągnący się lat dwieście bez szkody, mogliśmy uważać za rzecz wcale nie groźną. Tymczasem pochwycił go w ręce człowiek nowy, zabiegliwy, chciwy a pieniacz i takiego nam piwa nawarzył. Wygrał we wszystkich instancyach; zostaje najwyższa, do której apelowaliśmy i tu trzeba zwyciężyć lub zginąć. Nie mamy chwili do stracenia.

Mościński słuchał i milczał.

— Łaska Boża wyraźna! o! byłbym pięknie posag Alfonsynki ulokował! Opatrzność czuwa nad nami... Do tej pory nic stanowczego nie za-

szło, przyjaźń przyjaźnią, interes interesem. Trzeba się starać przeciwną, póki dekretu nie będziemy wiedzieli.

Pokiwawszy głową z wielkiem ubolewaniem i wskazawszy adres księcia Gozdowskiemu, hrabia ukłonił się zdaleka, bardzo ceremonialnie, odprostowniał i poszedł na poradę do Aurelego. Lecz i bez niej już powiedział sobie w rodzicielskiej pieczołowitości o los córki, że nie wyda jej pewnie, póki ów miecz damoklesowy nad lasami brańskimi zawieszony będzie.

— Wszystko to piękne, ładne, księstwo, tytuł, koligacye, sam książę i cała rodzina, mili, kochani, serdeczni, ale jeśli ich wziąć trzeba z całym inwentarzem, bez niczego i jeszcze z długami, no! to upadam do nóg! Alfonia odtęskni, wyperswaduje sobie, a wydać za gołego księcia nie mogę, byłoby to może niebezpieczniejsze, niż ubogi szlachcic. Będą mi chcieli przewodzić i gospodarować w kieszeni, a mitrę dźwigać i złocić! Nigdy w świecie! nigdy w świecie! Ale szal! mówił sobie hrabia, nic nie okazując, lawirować należy aż do dekretu, aż do ostatecznego wyroku... potem, ponieważ, nic się nie stało, nieznaczna rejterada z zachowaniem jak najlepszej przyjaźni i stosunków... Opatrzność Boska nad domem moim!

Gozdowski, tak doskonale rozpoczynawszy swe posłannictwo, rad z siebie, pospieszył do księcia, którego szczęściem zastał w domu.

Zobaczywszy go, Robert już coś niedobrego przeczuł i żywo ku niemu podbiegł z zapytaniem:

— Wszyscy zdrowi?

— Dzięki Bogu, rzekł Gozdowski, niemniej jednak z bardzo złemi wiadomościami przybyłem.

Tu rozpoczął, dobywszy cygaro, opowiadanie rozwlekłe o interesie, którego księżę Robert słuchał z brwią namarszczoną, nie mówiąc słowa. Epizodycznie też dodał zaraz, jak mu się szczęśliwie zdarzyło, chociaż adresu nie miał, trafić w ulicy na hrabiego i o mieszkaniu się księcia dowiedzieć.

— Pytał się pewnie hrabia, z czém pan przybyłeś? zagadnął księżę.

— A tak, mówiłem mu o naszej biedzie; trzeba wszelkich wpływów i stosunków użyć, może i on też jakie ma.

Ks. Robert, który łatwo wyrachować mógł skutek tego zwierzenia się, zaczął się śmiać dziwnym głosem. Nie odpowiedział już słowa. Dla niego nie było wątpliwości, że hrabia albo zwinie chorągiewkę, lub przynajmniej wątpliwego skutku wyczekiwać będzie. Śmiał się długo, chodząc po pokoju. Gozdowski nie umiał sobie tego wytłumaczyć, dla harmonii jednak starał się także uśmiechać.

Zaczęto mówić o czém inném. Plenipotent natychmiast chciał rozpocząć czynności i zabiegi,

w których jednak ks. Robert niewiele mu obiecywał być pomocnym.

— W tych sferach, przez których wpływ coś tu się zrobić może, rzekł, ja albo małe, lub żadnych nie mam stosunków. Starać się będę, ale za skutek nie ręczę. Pierwsze wyroki zawsze wpływają na ostateczny; zdaje się, że rachuba była nieco śmiała, gdyście tam zaniedbali starania. Co się jednak stało, o tém niema co już mówić.

Po wyjściu plenipotenty książkę długo rozmyślał. Dla niego jawném było, że całe staranie o Alfonsynę, z takimi zabiegami prowadzone, znowu rozchwiać się miało. Lżej oddychał teraz; ciężła mu ofiara, a tu los sam, zlitowawszy się nad nim, miał go od niej uwolnić.

Poszedł z tą wiadomością zaraz do hr. Natalii, i z uśmiechem, w którym było wiele ironii gorzkiej, lecz razem i prawdziwa radość, oznajmił jej o wypadku.

— Hrabia uwiadomiony o tém, co nam grozi i, o ile go znam, a z każdym dniem poznawałem go lepiej, niezawodnie się wycofa.

— Ale Alfonsyna! zawołała Natalia, ona przecie kocha się w tobie; to jawne, to nie ulega wątpliwości.

— Nie wiem, dodał Robert, lecz że będzie ojcu dbałem o jej szczęście posłuszną, za to ręczę. Jestem wolny, byłbym szczęśliwy, gdyby nie myśla, że oni na tém ucierpią. Droga Natalio, wierz

mi, tak jest lepij. Życzę prawie przegranej, tak mi myśl ta ciążyła. Poświęcić siebie jest niczem, ale być zmuszonym klamać miłość i nosić maskę całe życie, gdy serce się krwawi z bólu i tęsknoty, gdy myśl kim innym zajęta, to nietylko okropne, to upadlające. I to jeszcze dla... dla pieniędzy.

— Dla rodziny, dla imienia, dla spokoju ojca, przerwała hr. Natalia, której szło o zwycięstwo. Nie należysz księżę do siebie, jesteś ostatnim przedstawicielem familii historycznej, musisz dźwigać ją — to obowiązek.

— Droga pani moja, odparł księżę, najsmieśniejszem ze wszystkich urojeń ludzkich, jest marzenie o nieśmiertelności na ziemi. Rody, imiona, ludzie, wszystko umiera, maleje i rozkłada się, służąc za materyał nowym wielkościom i nowym blaskom. Dla czego byśmy się mieli upierać trwać, gdy los nam mówi tak dobitnie, żeśmy powinni umrzeć. Nie widzę przyczyny trwania, gdy nie mamy siły, a nawet woli do życia, poczynając odemnie. Ja dla szczęścia i spokoju, zrzekłbym się chętnie blasku i świetności wszelkich.

— Ale rodzina! rodzina! powtarzała Natalia. Pojęcia takie są jej obce, ona czuje obowiązek utrzymania się na stanowisku. To co księciu wydaje się dziwnem, czynią codzien inni i nikt im tego za złe nie ma. Żenią się z posagami dla podtrzymania domu,



— Bo wierzą może w posłannictwo jego, a ja... nie wierzę w nic... i nie pragnę niczego, oprócz...

Spojrzał na nią.

Natalia niecierpliwie ruszyła ramionami!..

— Ojciec, stryj, siostra!... zawołała.

Robert zamilkł, spuszczać głowę.

— Mylisz się książę, sądząc, że kiedykolwiek mogłabym ci dać tę rękę, do której przywiązujesz jakąś cenę. Potępiliby mnie ludzie, byłabym zgubioną w oczach ich i własnych, przypisanoby mi wasz upadek! Tego nie chcę, na to nigdy nie pozwolę.

Książę spochmurniał, lecz wedle obyczaju swego zmilczał.

— Nie mówmy, dodał później, o rzeczach smutnych, dajmy przeznaczeniom spełnić się, nie walcząc z nimi, co ma być — będzie.

Hrabina spojrzała nań i gorączkowo zerwała się z siedzenia.

— Do zobaczenia, rzekła, jadę w twoim interesie. Nie w sprawie małżeństwa tym razem, ale jako adwokat w procesie. Poruszę wszystkie sprężyny, trzeba wygrać i musimy wygrać.

Nie było to wszakże tak łatwem, jak się hrabinie zdawało, ani tak od stosunków zawisłem, jak rachował Gozdowski. Ze swęj strony Zembrzyński, przyjechawszy pocichuteńku, stanął na straży pilnej i postarał się, aby w interesie wiedzieć wszystko i zapobiedz wpływowi obcym. Dodać na-

leży, iż w rzeczy samej sprawa zadawnioną była, ale słuszną, i poprzedzające wyroki dobitnie przekonywały, że owe lasów obszary pierwotnie należały do dóbr podmoszczańskich. Prócz tego Zembrzyński chodził temi drogami, któremi najprędzej do celu dojść można; nie szukał potęg wielkich, ale znał tajemne ścieżki. Protekcyje ludzi wysoko położonych są najczęściej ukłudą, gdyż oni właśnie sami nie robią nic, a ci, na których ręce spada praca, przeważnie zawsze na obrót jej wpływają. Niewidoczny za stołem, skromny kancelista, więcej zrobić może od prezydującego, nierozumiejącego sprawy, a podległego tysiącnym formom i koniecznościom.

Zembrzyński i jego pomocnicy stali w hierarchii na stopniach bardzo podrzędnych, lecz w istocie w ich rękach było wszystko.

Pomimo więc najgorętszych starań hrabiny Natalii, obietnic, jakie jej czyniono, wpływów, przez które działała, okazało się już w kilka dni, czego przed nią bynajmniej nie ukrywano, iż Brańscy w żaden sposób sprawy swęj wygrać nie mogli. Nie zadawalając się tém ostrzeżeniem, ani mu chcąc wierzyć, podwajała ona starań i zabiegów. Gozdowski podawał notatki i oddawał nieskończone wizyty, zmusił nawet ks. Roberta do kilku, co wszystko nic a nic nie pomogło. Najżyczliwsi wprost radzili układ jaki ze stroną przeciwną, nie kryjąc, że wyrok musiał wypaść niekorzystny.

W najszczęśliwszym razie można było się spodziewać, że nie przysądzą indemnizacyi, lecz całe obszary lasów, kilkaset włók, odpadały od Brańska.

Gozdowski zrazu przerażony, potem niedowierzający i upatrujący w tych postrachach działanie strony przeciwniej, nie chciał ani słyszeć o układach, naostatek już się godził na nie... gdy Zembrzyński z ubolewaniem oświadczył, że było za późno...

O wszystkim tém hrabia był uwiadomiony dokładnie, i szepnąwszy miss Burglife, aby była ostrożną, gdyż okoliczności wielce się znowu na nieszczęście zmieniły, *lawirował*, jak powiadał, oczekując końca. Robert powstrzymał się też od częstszych odwiedzin, wyczytawszy łatwo z zakłopotanej twarzy hrabiego i z pośpiechu, z jakim mu się teraz wymykał, nie mając nigdy czasu do dłuższej rozmowy, jakie są jego usposobienia.

Mościński powiedział sobie nawet, że w razie przegranej, pod pozorem pilnych interesów, wyjechać będzie musiał, aby się z kłopotliwego położenia wywinąć.

Wieść o procesie, z powodu czynnych starań hr. Natalii i jej przyjaciół a pomocników, rozeszła się szeroko po mieście, lecz dla Roberta była z pewnych względów korzystną, bo tłumaczyła jego tu pobyt i odwracała uwagę od osobistych stosunków. Nie można mu było mieć za złe, że sprawy swjej pilnował. W istocie więcj około niej cho-

dził, choć bezskutecznie, Gozdowski, starając się przewlec ukończenie, gdy Zembrzyński, o ile mógł, przyspieszyć je usiłował.

Już tu zaraz okazało się jawnie, przy kim była przewaga, bo mimo bieganiny plenipotentą domagającego się odroczenia, sprawę naznaczono w najbliższym, jak było można, terminie. Przegrana Brańskich nie ulegała wątpliwości, ani księżę jednak, ani Gozdowski nie donosili o tém generałowi, nie pisali do Brańska, gdzie panował spokój szczęśliwy, a szambelan marzył zawsze o wydaniu owego wielkiego, wspaniałego balu, który miał wskrzesić tradycyę dawniej świetności książęcego domu.

---

Późnym wieczorem powrócił jednego dnia generał od brata i poczynął się zabiierać do odma-  
wiania wieczornych pacierzy, gdy nagle wśród ci-  
szy usłyszał w salce pustej stąpanie jakieś... Po-  
chodzie poznał łatwo, że to nie był służący. Prze-  
chadzał się tam ktoś wolnym, nierównym i jakby  
myślami wstrzymywanym niekiedy krokiem. Któs  
tam więc był oczekujący nań, a wieczorna, spó-  
źniona, niezwyczajna godzina naprowadzała na  
przecucie, że z niczém dobrém przyjść nie mógł.  
Z dobrą wieścią się pospiesza, a ten ktoś chodził,  
jakby mu wcale nie było pilno.

Tylą już dotkliwemi ciosami wypróbowany książę Hugon, nie chciał się téż z wyjściem naprzeciw przybyłemu spieszyć i uczuł jakby obawę w sercu, jakby przeczucie czegoś złego, co go spotkać miało. Nie ruszył się więc i rzekł sobie w duchu:

— Pomodłę się wprzód! niech, co Bóg zsyła, przyjdzie samo, poco się spieszyć?

Serce mu się nagle ścisnęło i strach rósł, chciał się modlić, ale i myśl i usta odmówiły usługi... nie mógł. Drżącą ręką otworzył stare oficyum, poszukał w niem wieczornych modlitw, rozłożył je przed sobą na klęczniku, świeće pozapalał, ukląkł z trudnością, chwiejąc się, wsparł na rękach głowę i został w tém położeniu, nie mogąc się ruszyć, ani rozpocząć pacierzy.

Brzmiał mu ciągle złowrogo w uszach ten zagadkowy jakiś krok chodzącego po sali, silił się na poznanie w nim człowieka, na przeczucie tego, co go tu sprowadzało, i nie mógł się domyśleć, kto przyszedł. Serce tylko biło żywo, wróżąc nieuchronne jakieś nieszczęście.

Generał czuł się już wyczerpanym ostatniemi wypadkami, zdawało mu się, że gdyby jeszcze cios weń nowy uderzył, jużby go przenieść nie mógł. Obawa ta coraz rosnąca dowiedzenia się czegoś złego, była w nim poczuciem bezsilności. To mnie dobije, rzekł w duchu.

Kłęczał ciągle a słuchał, kroki dawały się słyszeć wyraźnie, zbliżały się nieco, stawał przecha-

dzający, jakby się namyslał czy wnijsć, wracał i chodził znowu... Przed generałem wisiał stary, na blasze malowany obraz Maryi Panny, który mu od młodości wszędzie towarzyszył, był to jedyny spadek po matce, a matka miała go od ojca swego. Starzec wpatrzył się weń, jakby z pytaniem gorzkim, dla czego na późne dni wydzielono mu największy ciężar, czemu czara ku końcowi właśnie tyle zawierała goryczy?

Tajemnicze kroki te ustawały i cichły, to znów szybszy pochód poczynały po salce, zwalniały nagle, jakby uczucie wzburzone rządziło nimi, oddalały się, zbliżały, przechodziły niemal w bieg, a w chwilę zaraz bezsilne ledwie się wlokły. Było w nich tyle wyrazu, iż je jak mowę czytać mógł stary zdaleka. Któs tam więc czekał a nie śmiał sam iść do niego; zrywał się i obawiał, oznajmywał mu się chodem, nie mając odwagi głosem, przygotowywał go do tego, co niósł z sobą. Lecz któż to mógł być taki?

W salce było ciemno, chodził przecież śmiało, nie potracając o sprzęty i zbroje, a więc znał dobrze miejsce, w którym się obracał.

— Co ma się stać, stanie, rzekł w duchu stary, po cóż na próżno i niemęzko zwłóczyć wypicie cykuty?

Chciał wstać i iść... nie mógł... drżał.

W salce chód ciągle słychać było, tylko coraz żywszy, tylko coraz spieszniejszy, nieustający.

General począł sobie wyrzucać, że mu wzburzona fantazyja z najprostszėj rzeczy, z przyjscia slugi lub natręta tworzy niepotrzebną torturę, którą obawa przedłuża. Mógł się spytać, odezwać, niepewnośćby ustała. Chciał podnieść głos, ale w ustach mu zaschło. Nie wiedział sam, dla czego nie miał odwagi. Będę się modlił, to uspokoi, rzekł w duchu.

Książka już była rozłożoną na wieczornych pacierzach, popatrzył na nią,—głoski migotały mu przed oczyma jakimiś ruchami dziwnymi, podnosiły się do góry, spadały, bladły, nikły płomienie, przedłużone, olbrzymie, występowały z białego tła i brnęły w niém... Nagle przybierały kształty potworne... rosły im skrzydła, wyskakiwały szpony, świeciły w nich oczy szyderskie. Potem ruch ten ustał nagle, sznurem stanęły do porządku, spokojne, ale znać ręka drżąca musiała przewrócić karty—przed oczyma jego, zamiast pacierzy wieczornych, stało nabożeństwo przy konających...

Była to jakby przepowiednia i oznajmienie losu.

Głos tych kroków zwiastował nadchodzący... zgon. Zbliżała się więc ta nieodzowna godzina, której nikt uniknąć nie może—konanie!! Zimnym potem oblały się skronie... lzy oczy zakryły... przez nie świat wydawał mu się, jak w mgłę srebrzystej, splakany cały. Przyszedł tu przed chwilą spokojny, wesół prawie, dla czegoż nagle ten jakiś krok

dziwny, głucho rozlegający się w sali pustej, wywoływał takie przecucia?

Jest w naturze ludzkiej coś, co zwiastuje jej nadchodzące niebezpieczeństwo i każe gotować się na walkę ostatnią bytu z nicością, bytu z niesmiertelnym spoczynkiem... Byłóż to owo przedśmierne drgnienie? Oczy generała padły znów, szukając lekarstwa, na karty starej książki... znalazł na niej modlitwę za umarłych.

I począł się uśmiechać do spoczynku wiekuistego, był strudzony, jak po walce okrutnej. Myśl, smętna przed chwilą, zaczęła przybierać barwę dziwną, jasną, promienistą, rozbłysnęła i poleciała na wiosenne pola młodości, a z nich na złote przeszłości szranki... między rycerzy, którzy stali w obłokach z kopiami u boku, z tarczami na rękach, w przyłbicach słonecznych, z gwiazdami nad czołem. Witał ich z kolei... jadąc na białym rumaku skrzydlatym, a zamiast miecza dźwigał krzyż. W głowie mąciło się, plątało, szumiały w niej jakby ptaków stada, lecące długimi pasmami. Stracił siłę nad myślą własną... szła już samopas.

Krok, dający się słyszeć w salce, chodził mu po sklepieniu czaszki pustej i rozlegał się po niej boleśnie...

Obszary jakies niezmierzone czuł w głowie... pustynie wyschłe, ciemne. Wszędzie było pustkowię, w nim, w około na świecie, a wśród mroków, wśród niezbadanych ciemności rozlegał się ciągle



ten chód nieustający. Kroki sędziego, czy kata... lecz żelazne, ciężkie, a coraz bliższe... Ktoś chodził mu po sercu i gniótł je; każde stąpienie wyciskało się na niēm, jak w glinie ręka rzeźbiarza.

Napróżno starał się, znękany temi widzeniami, otrząsnąć z nich i oprzytomnić,—ciemności coraz gęstsze otaczały go. Potarł obu dłońmi drętwiejące czoło i ruchem gwałtownym strącił z klęcznika świeczniki oba... potoczyły się na posadzkę z płomieniem... mignęły nim i... pogasły.

Generał został wśród zmroku, usiłując wstać i i poruszyć się, ale ani odprostować, ani krzyku wydać nie zdołał. Rękami chwycił próżnię; cós jakby olbrzymi gład nagle padło mu na głowę i roztrzaskało ją. Krzyknął nareszcie, lecz w tej chwili upadł i stracił przytomność.

Jęk ten ostatni musiał się rozleźć aż w salce, bo w tej chwili wbiegł służący ze światłem, a z nim ks. Robert. Jego to kroki liczył generał, nie wiedząc jeszcze o przybyciu. Księżę przyjechał późno, a z tēm, co przywiózł z sobą, nie śmiał wnijść, choć potrzebował. Wiadomość mogła przyjść inną drogą i jeszcze straszniej piorunowa.

Podnosząc generała z ziemi, ks. Robert znalazł go omdlałym, ale w twarzy zsiniałej znać było, jakby rażenie jakie krwi buchnięciem. Gotowało się to pewnie dawno, a dziś przyszło w porę, bo ocaliło, pozbawiając przytomności, od boleśniejszego ciosu. Złożono go na łóżku. Nadspodzięwa-

nie generał ruszył się, zaczynał przychodzić do siebie... westchnął, otworzył oczy. Dźwignął się żywo i patrzył, zdziwiony niby, dokoła. Wzrok jego skierował się na synowca i wlepił weń oczy, poczynął się uśmiechać, usta ściągać jakby do mówienia, i głosem zmienionym, słabym, bełkotliwym odezwał się cicho:

— Darujesz mi w, królewska mość, natychmiast zbroję wdziewam i skrzydła przypnę, na koń siadamy i w pogoń za Saracenami. Jeruzalem zdobyta! Grób Zbawiciela odzyskany! Hosanna! zwycięztwo!..

Krzyknął tak gwałtownie, iż Robert pobladł z przestachu, lękając się, by tego głosu nie usłyszano w podwórzu. Potém, jakby wysilony, padł ks. Hugon na poduszki i cienkim głosem śpiewać zaczął: *Omni diae... dic Mariae...*

Śpiew na wargach skonął wkrótce, powieki zaczęły się przymykać, stary zwolna zdrzemywał się, usypiał, bełkotał coś jeszcze niewyraźnie i — zasnął.

Zostawując przy nim starego sługę, który płakał i drżał z przestachu, dotknięty nowym tym ciosem, ks. Robert wybiegł natychmiast, aby wysłać po lekarza. Cała nadzieja była w tém, że przemieszenie mogło być przemijające, że sen, spoczynek, środki jakieś przywrócą przytomność zdolającą.

Zbudzono Wincentowicza, wstali słudzy już

śpiący... Robert przyszedł się na straży przy łóżku, lecz tak złamany, bezprzytomny, pozbawiony woli, iż sam nie wiedział, co począć—ręce mu opadły.

Szczęściem ktoś, widząc to, wyprawił po Zenona, który w gościnnych pokojach tego dnia, do późna spędziwszy wieczór u szambelana, nocował. Żurba przybiegł przerażony, lecz z całą energią, która go nigdy nie opuszczała. Robert mu się rzucił na szyję.

— Przyjacielu, ratuj! Przyjechałem, wioząc z sobą najgorsze wiadomości, lecz nim z niemi przyszedłem do generała, stało się, nie wiem, co się stało... księżę padł uderzony apopleksją z kłębnika, przy którym się modlił... Gdyśmy go otrzeźwili, był jakby obłąkanym. Mówił i śpiewał od rzeczy. To nowy cios!

— Po doktora! zawołał Zenon.

— Już posłano, rzekł Robert. Lecz teraz powiedz, co mam czynić?.. Przywożę z sobą przegraną, przegraną stanowczą... wydarto nam najlepszą część majątku. Dług ciężący na reszcie pochłania ją: nie mamy nic! Ożenienie moje, jak się domyślisz łatwo, nie przyszło do skutku... Hrab na wieść o nieszczęściu naszym nagle wyjechał z Warszawy i jest już gdzieś na drodze do domu. Wszystko stracone!... Co się stanie z generałem z ojcem, gdy się dowie, że Stellą?

Zenon nie mógł zrazu wymówić słowa.

— To okropne! rzekł w końcu, lecz straszniej jest może lecieć w przepaść, niż pogruchootanemu leżyć na dnie. Nad nim zawsze świeci jakaś cząsteczka nieba. Gdzie niema ratunku żadnego, musi przyjść męzka rezygnacya.

— Cóż się dzieje ze Stellą? co z tym człowiekiem? Co myśli i chce Garbowski? Jak to powie my ojcu? wołał Robert... Może choć to nas chwilowo podtrzyma i oszczędzi wygnania a wstydu?

Zwrócił się do Zenona, który milczał, ponuro zamysłony.

— Garbowski, rzekł w końcu, Garbowski był już parę razy... i odjechał. Nie wiem dobrze, co myśli, lecz, lecz zdaje mi się, że, widząc ofiarę księżniczki, waha się z jej przyjęciem. Jest szlachetne serce w tym człowieku...

— Cóż się stanie z nami, jeśli tej ofiary nie przyjmie? Daru nam nie uczyni, ani my go przyjmając nie możemy...

— Nie wiem, dodał Zenon, w każdym razie z nim się ułożyć można, będzie cierpliwym, znajdą się środki jakieś.

— Żadnych niema, odparł Robert, ojcu należy oszczędzić pogodę dni ostatnich, a potem... pójdziemy pracować... Pracować? dodał, ruszając ramiarami, ale jak?... Stella pracować? ja?.. My nie umiemy nic! My niemamy pokory do pracy, myśmy skazani na konanie powolne! Jesteśmy istota-

mi wymarłego świata, którym też umrzeć przeznaczono.

— Mości księżę, odparł Zenon, nie wierzę w to, trzeba mieć odwagę dźwignięcia się, a wyrobi się możliwość.

— Ażeby mieć wolę, trzeba mieć jasny cel przed sobą, a tego oczy moje nie widzą.

— Radźmy, rzekł Zenon, o najpilniejszym, trzeba się nieuchronnie rozmówić z Zembrzyńskim, który ten nieszczęsny proces przeprowadził, a potem z Garbowskim.

— Lecz co ojcu powiedzieć?

— Nie trzeba mu nic mówić, musisz księżę zaczekać, aż gdy tego wymagać będzie konieczność. Zresztą dla uniknięcia przykrych tłumaczeń.. księżę możebyś na kilka dni zataić mógł swój powrót i przebyć je w ukryciu.

Przez część nocy gwarzyli tak, siedząc w sali i przysłuchując się, ażali generał nie przebudzi się, lub lekarz nie przyjedzie.

Stary przyjaciel domu, zamieszkały o mil parę w miasteczku, Sykstus Cieciora, doktor niegdyś uniwersytetu wileńskiego, uczeń Franka i Śniadeckiego, na pierwszą wieść o chorobie generała, ledwie się przyodziawszy, na małej bryczynie dla pośpiechu przyleciał.

Był to mężczyzna niestary jeszcze, wielce wykształcony, wielkiego też spokoju ducha i łagodności. Nic go nie dziwiło nigdy, ani niecierpliwi-

ło, ludzi wszystkich traktował potrosze jak pacjentów, z ojcowską dobrocią, ale i z powagą ojcowską, która przed żadną społeczną znakomitością i tytułami nie ustępowała. W innym stanie okrzyczanoby go demokratą i nieznośnym, jako lekarza znosić musiano i szanowano też jako człowieka.

Cieciorka był jednakowo z ekonomami i księżętami z jakąś kwakerską, dobroduszną grzecznością, która się o żadne światowe nie troszczyła formy. Nie nadużywał swój wziętości, ale się nie kłaniał nikomu.

Powierzchnowość jego na pierwszy rzut oka nie zdradzała niepospolitych umysłu i duszy przymiotów: otyły, gruby, trochę ociężały, mówiący zwolna i niedbale, podobny był do zardzewiałego szlachcica, ale wpatrzywszy się w jego głowę, twarz, w wyraz oczów i ust, poznać w nim było można jeden z tych typów, jakie starożytnych mędrców popiersia wystawiają. Czoło i oczy błyszczały potęgą rozumu chłodnego, myśl tryskała z wejrzenia, i rozum ten a inteligencya nie nadawały mu ani wyrazu dumy, ani szyderstwa; znać doszedł do tej wyżyny, z której wszystko się tak małym wydaje, że nie nie gniewa i nie oburza, liłość tylko budzi i miłosierdzie bez granic.

Gdy wszedł na palcach i siadł, ściskając rękę ks. Roberta, opowiedziano mu pokrótce symptomata. Słuchając powieści tej, doktor milczał, przerwał je kilku zapytaniami, zdawał się prze-

biegu choroby nie rozumiąć lub znajdować go anormalnym.

— Zaczekamy przebudzenia, zobaczymy, rzekł, nic z tego, co mi mówicie, wnosić nie mogę.

Czekano więc przebudzenia do rana, ale napróżno, sen był niezmiernie ciężki, głęboki a napózór spokojny; co dziwniej, nie towarzyszyła mu żadna gorączka. Chory wydawał się zmęczonym, nie chorym. Doktor Cieciorka badał puls ciekawie, wpatrywał się w rysy, twarz miał zasepioną.

Generał zwykł był się budzić o siódmej, i natura tylą latami znałogowana, wywołała w istocie rozbudzenie. Poruszył się z westchnieniem ciężkiem, chciał wstać... opadł na poduszki. Oczy jego błędne potoczyły się po przytomnych, otwały szeroko i uspokojone wpatrywały w każdego po kolei. Robert, Cieciorka i Zenon, stali przy łożu. Ks. Hugon kilka razy obliczył ich wzrokiem, nie nie mówiąc, potem zaczął się uśmiechać.

— Poznają was, rzekł. Ty, wskazał na Roberta, jesteś Ryszard Lwie serce; ty, obrócił się do doktora, przełożony mnichów św. Franciszka; a ty mistrz templaryuszów. Doskonale pamiętam. Zostałem wczoraj przez Saracena ranny w głowę, ale rana, zalana balsamem, już się zgoiła; zostanę dziś pod namiotem, jutro na koń!

Doktor wziął go za rękę zwolna, puls był naturalny.

— Możem się omylił, bo ty mi coś pulsu ma-

casz? he? odezwał się generał, może jesteś Bombastus Paracelsus?...

Nikt nie odzywał się, on patrzył ciekawie...

— Co za klimat łagodny, rzekł, jakie ciepło miłe, zalatuje mnie zapach palm kwitnących.

Robert zwolna cofnął się z Zenonem, doktor pozostał i poważnie nań patrzył długo, a wreszcie rzekł głosem zwyczajnym.

— Pan generał sobie z nas żartuje, jakże nie poznać starego sługi Cieciorzy, i pana Zenona, i księcia Roberta.

— Roberta, przerwał ks. Hugon, co ty mi bajesz? Gdzie Robert? Ten daleko z flotą popłynął, a Zenon hreczkę sieje... Niech rycerstwo nasze zanuci Boga-rodzicę... czas, godzina poranna, z Bogiem dzień zaczynać trzeba, a po chwili dodał jak najprzytomniej:

— Czy szambelan już wstał?

Pochwycił doktor ten moment jasny i odpowiedział:

— Myślę, że się przebudził... a może generał byś wstał i poszedł na śniadanie z nim i ks. Stellą?

— Jakże? ranny przez Saracenów? zobaczyliby bliźnę i toby ich nastraszyło. Zostanę pod namiotem.

Mówił tak nedorzecznie naprzemiany i przytomnie, ale ładu w myślach nie było, błąkały się, jakby wiatrami gnane pajęczyny. Doktor wyszedł zamysłony.



— Nadziei nie tracę, rzekł, lecz mam jej mało. To, co jest teraz, musiało się przygotowywać zdawna.

Trzeba było myśleć, jak szambelanowi wytłómaczyć chorobę, powrót Roberta, i zapobiedz, aby nie zapragnął sam przyjść do brata. Widzenie się ze Stellą było nieuchronne; i dla tej wszakże nagle wiadomość o nieszczęściach mogła być groźną.

Zenon poszedł po siostrę. Rano było jeszcze, p. Antonina, ledwie mając czas się ubrać, przeleżała, przyszła z bratem na górę do pokojów generała. Na widok Roberta bladego, wycieńczonego, drżącego, rozplakała się, odgadła wiele.

— Pomóż mi pani, rzekł, nie chcę przed nią nic ukrywać... Jesteśmy na ten raz zruinowani ostatecznie, zgubieni, proces przegrany, od Brańska odetną to, co jego wartość stanowiło. O mojem nieszczęsném ożenieniu mowy niema; zostaliśmy na łasce Garbowskiego. Przy byłem tu obarczony nieszczęściem, które wiozłem i wpadłem w chwili, gdy generał apopleksyą tknięty został. Od tej por y nie odzyskał przytomności, zdaje się obłąkanym.

Antonina w milczeniu załamała ręce.

— Chcę i potrzebuję się widzieć ze Stellą, dodał, ułatw to pani przez przyjaźń dla nas, przygotuj ją, niech mi pomoże, ojciec nic wiedzieć nie powinien. Biędna Stella!

— Tak, biędna Stella, wszyscyśmy biędni, szepnęła Antonina, ale mości książe, Stella ma ducha

mężkiego. Stella potrafi spełnić najcięższą ofiarę i usty się uśmiechać wśród męczeństwa. Nie lękaj się pan o nią. To anioł, to więcej niż anioł, to bohaterka!

Porwała rękę Roberta z zapalem i łzami w oczach.

— Mój księżę, bądź spokojnym! w takich domowych nieszczęściach, wśród czterech ścian, my kobiety was prowadzić powinniśmy i męztwa dodawać, pocieszać a krzepić.

Wybiegła szybko po Stellę.

Tymczasem dzień był wielki, obawiać się należało, żeby stary ks. Norbert nie dowiedział się od którego ze sług o przybyciu syna, chorobie generała, wezwaniu doktora; jedna Stella wiedziałaby, jak mu to oznajmić tak, aby nie przerazić starego.

W pół godziny może weszła ona z Antoniną. Na jej twarzy, mimo łez, było tyle spokoju i rezygnacyi, gdy postąpiła ku bratu, aby go uścisnąć, że Robert wydziwić się jej nie mógł. Wsparła się na jego ramieniu i znać tłumiąc jęk mimowolny, chustkę chwyciła w białe zęby... W chwilę potem odetchnęła spokojniej, wróciła do panowania nad sobą.

— Nie mów mi nic, rzekła, wiem wszystko, pójdę do ojca, lecz pozwól, spytaj, czy doktor pozwoli, chciałabym stryja zobaczyć!...

Cieciorka namyslał się.

— Idź pani, rzekł, może ktoś będzie tak szczę-

śliwy, że go do życia rzeczywistego napowrót  
ściągnąć potrafi.

Drżąca, ale z przymuszonym uśmiechem na u-  
stach, wsunęła się na palcach Stella i przywitała  
generała zwykłym:

— Dzień dobry.

— Któż to jest? królowa Jadwiga?.. zawołał.

— To ja, Stella, twoja Stella, mój stryju.

— Stella... gwiazda... nie, ty jesteś królowa Ja-  
dwiga!

Popatrzył i spytał znowu:

— Czy szambelan wstał?

Ucieszyła się Stella, lecz po tém pytaniu rozsą-  
dném nastąpiło:

— Najjaśniejsza pani! niegodzien jestem, byś  
namiot rycerza odwiedzała, ale tę szarfę, którą  
mnie darzysz, zachowam do zgonu. Na tarczy ją  
herbowej zawieszę, jak Nałęcz drugi.

Skłonił głowę i w tejże chwili znowu zdało mu  
się, że jest na łowach, począł psy nawoływać:  
hu! hu!

Zapłakana wyszła Stella. Spokojne to obląka-  
nie straszne było. Nie mówiąc słowa, przesunęła  
się przez salon... złączyła z Antoniną, i obie pobie-  
gły czatować u drzwi szambelana. Gdy mu śnia-  
danie jego wnoszono, trochę niespodzianie w tej  
porze weszła Stella i przyklękła przed ojcem.

— Cóż mi to acanna tak rano przynosisz? u-  
śmiechnął się stary, wszak to nie twoja godzina?

— Tak, kochany ojczy, alem wolala sama przyjsc, aby ci powiedziec, ze generał troche niezdrów... Nic to nie jest straszego, zawsze jednak...

— Generał nie zdrów! Widzicie! przerwał szambelan, ja mu zawsze mówię: nie pij wody po baraninie. Cóż mu takiego?

— Trochę gorączki, nie wiem; jest dr. Cieciorka. A i nasz kochany Robert przybył w nocy, ale tam siedzi przy chorym.

— Widziałaś już Roberta?

— Na chwilę.

— Cóż przywozi? nadzieje znowu?

— Nie wiem, jakoś mi o tem nie mówił.

— A niechże przyjdzie do mnie. Generałowi dać rumianku i zostawić go w spokoju, a wody mu zakazać, do wieczora odejdzie. Niech Robert przyjdzie do mnie. Właściem rad, że w porę mi powraca, pomoże do tego balu, który chcę dać. Bez niego by mi to nie poszło, a koniecznie, póki żyję jeszcze, muszę raz wystąpić. Już jeśli Gozdowski poskąpi, ja z mojej szkatułki łożyc-em gotów.

Stella nie mówiła nic.

— Przyślij-no mi Roberta...

Pocałował ją w głowę.

Całych sił potrzebowała Stella, by twarzą nie wydać uczucia, aby się okazać spokojną i wesołą.

Szambelan tego dnia był dziwnie rozpromieniony, wyglądał świeżo i usta miał uśmiechnięte.

— Proszę cię, rzekł do odchodzącej, napędź

tu Roberta do mnie... a generała zostawić w spokoju, on nie lubi, żeby mu się tam naprzykrzali, kiedy niezdrów.

Z t $\acute{e}$ m poselstwem wróciła Stella do Roberta, który po chwili namysłu wybrał się do ojca.

Widzenie się z nim było prawie powtórzeniem przyjęcia Stelli i rozmowy z nią. Uderzyła syna ta pogoda oblicza ojcowskiego i ta szczęśliwa jego ślepota, co się niczego nie domyślała.

Tak dzień cały upłynął na doglądaniu dwóch starców, a rodzeństwo z sobą dłużej się nawet rozmówić nie mogło. W stanie zdrowia generała nie zaszła prawie żadna zmiana, był ciągle senny a gdy się przebudzał, mówił od rzeczy. Podano mu jedzenie, zaczął jeść łapczywie, chciwie, nieprzytomnie także i zaraz po zjedzeniu zasnął znowu.

Doktór Cieciorka przypatrywał się temu z widocznym smutkiem. Żadnych środków lekarskich nie można było przedsiębrać, oprócz lekkich derywatywów, któreby odciągnęły nacisk na mózg, ale te widocznie jakoś nie poskutkowały.

We dworze ruch był niezmierny i popłoch. Szambelan go nie widział, parę razy spytał o brata, zalecił rumianek, przywołał do siebie ks. Serafina na rozmowę, uspokajał Stellę i spędził czas do wieczora, bez żadnej zmiany w zwykłym porządku zajęć swoich.

Robert, zmęczony wrażeniami, podróżą, bezsennością, wieczorem zszedł do swego pokoju. Zastał

w nim już oczekującą nań Stellę, która chodziła zamysłona.

— Przyszłam tu, rzekła powoli, aby ci dodać męztwa... Jestem pewną Garbowskiego, że się szlachetnie obejdzie z nami, że poszanuje niedolę. Chciałam, myślałam, marzyłam, że ofiarą swojej ręki splecę dług... ale, mój drogi Robercie, ta ręka dziś nie ma szacunku, byłaby ciężarem, nie darem. Garbowski jęj nie chce... pisał wczoraj do mnie. Może czuł, że go kochać nie mogła, chociaż go szanuję, choć się zmuszałam, aby być dla niego dobrą, łagodną, uprzejmą. Lecz serce czuje, gdy drugie mu nie odpowiada biciem równem. Zostaję wolną. Oddamy mu wszystko... ale szlachetny Zygmunt nie wypędzi nas ze starym ojcem, z biednym stryjem. Bądź spokojny. Ja zostanę, z tobą i ojcem i dożyjemy, co nam Bóg wyznaczył. Umielismy być szczęśliwi, potrafimy i cierpieć, Robercie.

Na te słowa wszedł Gozdowski. Domysłając się interesów, Stella znikła.

Plenipotent, jak wszyscy, co nic nie robią, minę miał strasznie zajętą, zakłopotaną, spieszył się, usiłował udawać czynnego.

— Mnie się zdaje, zawołał, że potrzeba teraz jeszcze spróbować traktowania z Zembrzyńskim, o jakiś *modus vivendi*. Słyszałem, że powrócił z Warszawy, byłby szalonym, gdyby głupi wyrok chciał na nas z całą jego wykonać surowością; to-

by cały świat nań oburzyło! toby była infamia! to nie może być! Ja jutro rano do niego pojedę. Otrzymamy warunki przynajmniej lżejsze.

— Probuj pan, rzekł książę Robert, nic nie zaszkodzi próbować, ale nie upokarzaj się, nie prosz, bo mnie się zdaje, że człowiek ten nic nie ustąpi. Dowodzi tego sposób, w jaki ten proces prowadził.

— Zabiłby się w obywatelstwie! krzyknął Gozdowski.

— Ale on nigdy w niem nie żył, dodał ks. Robert.

— Bądź co bądź, jeśli książę pozwoli, ja jadę, a pewnie godności domu książęcego, równie mi drogiej jak jego dostojnym członkom, nie narazę.

To powiedziawszy, plenipotent się oddalił.

Nazajutrz kazał sobie dać najwykwintniejszy z ekwipażów książęcych, liberyą paradną i wyruszył do Podmoszczan.

Przybył tu około południa. Na spotkanie jego wyszedł pan Zembrzyński aż do sieni, co było dobrą wróżbą wedle Gozdowskiego; przyjął go z niskimi ukłonami i poprowadził do saloniku. Usiedli.

Gozdowski do roboty był niepotem, ale tém lepiej też mówić umiał.

— Przyjeżdżam do szanownego sąsiada, rzekł, jak się łatwo domyślisz... w imieniu tych książąt, których pan dobrodziej potrafiłeś dziwnie szczęśli-

wie prowadzonym procesem zwyciężyć. Powinno to zaspokoić jego miłość własną a obudzić szlachetność.

— To jest, mości dobrodzieju, interes, odparł gospodarz, a w interesie uczucia nie grają żadnej roli. Tu rachunek i krédka...

— Lecz i rachunek nawet zdrowy nie powinien pana prowadzić do nadużywania zwycięstwa, przerwał Gozdowski.

— Nadużywania? rzekł Zembrzyński, uchowaj Boże, ale do używania mam prawo zupełne.

— Przecież należałoby być wyrozumiałym i ludzkim.

Zembrzyński zmilczał.

— Przyjeżdżam w imieniu książąt, dodał plenipotent—i proszę go o powolność.

— O jaką? zapytał Zembrzyński.

— Przecież nam pan całej tej przestrzeni lasów zabrać nie myślisz?

— Tylko to, co mi przysądzono, rzekł gospodarz, ani cala więcej.

— Lecz pan sam wiesz, że wyrok jest... nierozsądny.

— Tego nie wiem.

— Dwieście lat używalności.

— Przyznasz pan, że czas było oddać zagarżoną własność, rzekł nielitościwy Zembrzyński.

— Przedawnienie też prawo do posiadania daje.



— Znać, żeście go państwo nie mieli, gdy mnie przysądzono dyferencyą.

— Ależ panie! czyż masz być tak nielitościwym?

— Muszę, sucho rzekł Zembrzyński.

Gozdowski chwycił się z krzesła; ta zimna krew go oburzała. Chciał odejść już.

— Siadaj-że acan dobrodziej, odezwał się Zembrzyński, a nie opuszczaj domu mojego, dopóki przekąski nie dadzą. Uczyń mi pan ten honor, proszę. W interesie gniewu niema a staropolska gościnność...

— Dziękuję panu, dziękuję, sucho rzekł Gozdowski, śniadania nie jem a czasu nie mam.

— Pan dobrodziej się gniewasz?

— Nie, jestem oburzony! Jakto?... szlachcic nasz, tutejszy zapewne, z taką zaciętością i srogością postępować możesz z domem w całym kraju tak szanowanym! Pięknaż to pamięć zostanie, że ich do ruiny doprowadzisz?

— Ja? zawołał Zembrzyński, ja? Mój mości dobrodzieju, widziałeś asindziej kiedy stary dąb, który pastuszkowie wypalał... utrzyma się to na pasemku kory... przychodzi leciuchny wietrzyk i olbrzym się wali. Mówią, że burza dąb obaliła! a nie... spróchniały był, spalony był. Ja jestem tym wietrzykiem, szanowny panie a dobrodzieju.

Mówiąc, kłaniał się nisko, a pokorny był, jakby wcale nie zwyciężył wczora.

— Więc nie mamy o czem mówić?...

— Czekał pan, rzekł gospodarz, czekaj proszę. Widzisz pan, sam powiedziałeś... jestem stary szlachcic. No, tak... i mam nałogi szlacheckie i szanuję tych panów bardzo i pochlebia mi, gdy się o nich choćby otrę. Ot, wiesz asindziej co, możeby się to i dało zrobić... coś ulżyć, coś ułożyć; ale o tém ja z kim innym traktować nie będę, tylko z samym księciem szambelanem.

Gozdowski począł się śmiać.

— To wprost nie może być, rzekł. Książę szambelan zdał wszystkie interesa synowi, o niczém nie wie, niczém się nie zajmuje, obcy jest wszystkiemu, co się w koło dzieje. Rodzina, strzegąc jego spokoju, nie dopuszcza doń żadnej, a tém mniej złej wiadomości. On o procesie tym prawie nie wie.

Zembrzyński słuchał ciekawie, lecz głową trząskł.

— Co mi to pan dobrodziej mówisz! ale czyż to może być? to nie może być!

— Tak jest.

— To źle, odparł Zembrzyński. Suponujmy, że wśród nieświadomości jakimkolwiek sposobem wpadnie wieść o tym upadku i ruinie, boć ks. ks. Brańscy nie mają dziś nic, bankruci są, no to stary jak od piorunu będzie zabity.

— Ale on się o tém nigdy nie dowie, mamy do czynienia z człowiekiem szlachetnym, z moim krewnym, który dom książąt szanuje.

— Cóż? na jałmużnie żyć będą?

Gozdowski się oburzył.

— Książęta mają środki, o których pan nie wiesz.

— He? he? czy anioł z nieba, czy ptaki niebieskie jak na pustyni prorokowi będą im złote cegielki radziwiłłowskie przynosić?... roześmiał się gospodarz.

Plenipotent był zmieszany, gniewny, oburzony tak, że nawet mówić już nie chciał, kłaniał się i odchodził.

— Słuchaj pan, żebym dowiedział, iż jestem lepszy, niż panowie myślicie, zawołał Zembrzyński, odstąpię połowę lasów, słyszysz pan, połowę lasów, ale o to sam na sam, bez świadków, z księciem umawiać się będę. Tak, lub nie. To moje ostatnie słowo. Jak chcecie...

— Wszak z ks. Robertem... przerwał Gozdowski.

— Nie z ks. Robertem, ale z szambelanem, zawołał gospodarz; rozumiesz mnie pan, albo z nim sam na sam w cztery oczy, albo z nikim... albo z nikim! powtórzył. oczy jaskrawe, żółte topiąc w plenipotencie.

Gozdowski zdumiony, sam nie wiedząc, co począć z tą propozycją, zakręcił się, skłonił i nie odpowiadając, odjechał. W ganku jeszcze Zembrzyński, kłaniając mu się, dodał:

— Będę czekał odpowiedzi; daję czasu pięć dni do namysłu, lecz inaczej nic, inaczej... nic.

Z t $\acute{e}$ m odjechał plenipotent, powtarzając sobie: inaczej nic...

Dziwny człowiek, myślał przez drogę. Dla czego ten upór, żeby koniecznie z samym szambelanem mówić?.. i za to połowę lasów chce oddać... Oczywista rzecz, próżność, nic więcej jak chęć popisania się ze wspaniałomyślnością, żeby potem mógł powtarzać, iż tę ofiarę księciu samemu uczynił. Ale jakże to może być, gdy szambelan o niczem nie wie?

Powróciwszy do Brańska, Gozdowski zawahał się, co ma uczynić z wnioskiem tym Zembrzyńskiego. Należało jednak donieść ks. Robertowi o skutku wyprawy, i choć kilka godzin zwłóknął plenipotent, w końcu spytany wszystko opowiedzieć musiał. Księżniczka Stella była przytomną; i ona i książę poczęli myśleć, jakby to możliwem uczynić. Trzeba było starca przygotować, wyznać przed nim, że proces źle poszedł i skłonić go do przyjęcia Zembrzyńskiego.

Zenon, wezwany do rady, znajdował, że w tym razie mimo najszczerzej chęci oszczędzania księcia szambelana należało go uprzedzić, a dziwacznemu żądaniu Zembrzyńskiego dogodzić. Do t $\acute{e}$ j misyi wybrano Stellę, która ze wszystkich najwięcej miała rezygnacyi, krwi chłodnej i taktu. Starzec ją kochał czule i od niej najlepiej przyjmował nawet przykre wiadomości, które osłodzić umiała.

— Każecie mi, rzekła, podejmę się tego, lecz powiem szczerze, wolałabym najcięższe zadanie inne, nad to... tak mi żal błogi pokój ojca zamącić!

Zastanawiano się jeszcze nad dziwaczném żądaniem, lecz nikt nie umiał dociec prawdziwej jego przyczyny.

Stella, rachując na to, iż odrazu nie potrafi skłonić szambelana, nie obudzając podejrzeń w nim o grożącym niebezpieczeństwie, rozpoczęła powoli tegoż wieczora od napomknień, iż jęj się zdawało, jakby proces z Zembrzyńskim gorzej szedł, niż przewidywano.

— Wnoszę o tém z zakłopotania Roberta, dodała, z milczenia jego i niepokoju.

— Może to być imaginacya twoja, odparł szambelan, bo ja po Robercie nic nie spostrzegłem podobnego, on zawsze jest ponury i zamyślony, a co się tyczy procesu, ten trwa niewiedzieć wiele lat... i będzie sobie się ciągnął drugie tyle.

— Gozdowski także mi napomknął, że się lęka o niego, bo Zembrzyński ma być nadzwyczaj zabiegliwy, czynny i pieniacz wielki.

— Ten Zembrzyński... co to tu był raz u mnie? rzekł ks. Norbert, hm! wygląda na pokornego człeczka, ale oczy ma bardzo brzydkie, bardzo brzydkie!..

Po téj rozmowie Stella czekała dnia następnego i znowu napomknęła o Zembrzyńskim i o procesie.

— Ty bo się tém próżno niepokoisz, zawołał, śmiejąc się, ksiązę, wy młodzi w ogóle łatwo się trwożycie... Byle co, ogarnia was panika.

Ruszył ramionami.

— Cóż z procesu być może?

— Możemy go przegrać, westchnęła Stella.

— **No** to będziemy apelowali, mówił szambelan; trochę kosztu i tak się sobie to pociągnie.

— Gozdowski przyznał mi się, rzekła ciszej, żeśmy przegrali.

— I nie czyją pewnie winą, tylko jego, odparł szambelan. Gozdowski poczciwy człowiek, ale postarzał i ociężał.

— Mówił mi też, iż gdybyś ojciec chciał powagą swą przemówić do Zembrzyńskiego, pewnie by się upamiętał.

— Hm!.. ja już od wszystkiego umyłem ręce, odpowiedział szambelan, ja się do niczego nie mieszam; jakże mam wchodzić w to?... nie godzi mi się, *quo titulo*.

— Lecz jeżeli Zembrzyński skłonny jest przez uszanowanie dla ojca, coś więcej uczynić, powolniejszym być?

— Nie sądzę, rzekł szambelan, wszakże zobaczymy, zobaczymy...

Pierwsze lody były złamane, wsparł Stellę ks. Robert, pochlebiało to ks. Norbertowi, iż z nim tylko do czynienia mieć chciano, nie sprzeciwił się więc. Nikt w tém żadnego zresztą nie upatrywał

niebezpieczeństwa. Gozdowski śmiał się z próżności szlachetki.

— Choćby ksiązę się miał trochę zmęczyć, połowa lasów naszych tego warta. Głupi dorobkowiec wysoką ceną opłaca ten honor, że z samym księciem o tém mówić będzie i jemu ofiarę tę uczyni. Rad, że mu się to jakoś przeprowadzić udało, Gozdowski jeszcze raz pojechał do Podmoszczan, z daleko lepszą fantazyą niż przedtém.

— Masz więc pan czegoś żądał, ks. Norbert zgadza się przyjąć pana i mówić z nim.

Zembrzyńskiemu płowe oczy jakby pomarańczowym ogniem jakimś zagorzały nagle, chwycił, za rękę Gozdowskiego.

— Możeż to być! istotnie?

— Tak jest! tak! śmiał się Gozdowski, ksiązę szambelan przyjmie pana, lecz zarazem w imieniu rodziny troskliwej o jego zdrowie upraszam go, abys z łagodnością i należnym starcowi uszanowaniem z nim rozmawiał. Jest dumny, do czci ogólnej nawykły, drażliwy, należy go oszczędzać.

— Bądź pan spokojny, będę już wiedział, jak z nim mówić, odezwał się żywo Zembrzyński, to moja rzecz! Płacę za audyencyą drogo, chcę być swobodnym.

— To są tylko życzliwe uwagi.

Gozdowski uważał, że gospodarz po odebraniu tej wiadomości bardzo był poruszony i jakby

roztargniony chodził, cały już przejęty znac honorem, który go miał spotkać.

Niedługo bawiąc i postanowiwszy, o której godzinie miał nazajutrz przybyć Zembrzyński, plenipotent powrócił, rad z siebie, iż jego umiejętnym zabiegom Brańscy ocalenie części znacznej majątku będą winni.

---

W dniu wyznaczonym pan szambelan polecił kamerdynerowi, aby mu dobył dawno niepotrzebowany strój paradny, a nawet niebieską wstęgę i parę zagranicznych orderów, które zwykle wkładał tylko na wielkie uroczystości. Chciał znać tém większe wywrzść wrażenie na biédnego szlachetkę. Pokoje kazano wyświeżyć i przybrać, służba przywdziała liberye wielkie; słowem, wszystko było w pogotowiu, jak gdyby na przyjęcie znakomitego gościa. Zarazem jednak zaleconém było, ażeby to się nie wydawało umyślnie na ten dzień wziętém, ale jakby powszedniem. Gozdowski miał Zembrzyńskiego przyjąć w ganku i do drzwi szambelana odprowadzić.

Na umówioną godzinę powóz pana Zembrzyńskiego stanął w istocie pod gankiem, a szlachcic wysiadł z niego blady i jakby pomieszany. Wydał jakieś ciche rozkazy ludziom swoim, którzy



pomimo nalegania służby od ganku się oddalić nie chcieli i z powozem przy nim pozostali.

Gozdowski rozpoczął rozmowę, lecz przybyły nie zdawał się jej ani słyszeć, ani rozumieć, szedł prosto przed siebie, szukając już oczyma kogoś przed sobą, a gdy mu wskazano drogę i otworzono drzwi, rzucił się w nie z pośpiechem tak, że zdawać się mogło, iż obawiał się, aby go jeszcze nie wyrzucono.

Szambelan sam jeden, wedle umowy, oczekiwał na niego, podwoje się zatrzasły, a Gozdowski, oczekujący niecierpliwie wyjścia Zembrzyńskiego, rozpoczął przechadzkę i nasłuchiwanie, ale drzwi, szczelnie zaparte, żadnego nie puściły głosu.

My, nim tę scenę opowiemy, zwróćmy się do Zembrzyńskiego w chwili, gdy Gozdowski mu oznajmił, iż mieć będzie żądane posłuchanie.

Po odjeździe plenipotenty stary latał jak oszalały; całe życie pracował on na tę chwilę zemsty, której nareszcie spragnione jego usta napić się miały. Pięćdziesiąt lat palił go na twarzy otrzymany policzek; poświęcił się cały zapłaceniu zań; teraz nadeszła chwila, w której szambelan był w ręku jego.

Zembrzyński namyslał się, co począć? Gorączka nim miotała; chciał najprzód przypomnieć starcowi krzywdę wyrządzoną i dawszy policzek za policzek, ząb za ząb, sięść do powozu i uciec.

Wkrótce rozważa przyszła, niebezpieczeństwo

takiego postępu, nikczemność porwania się na starca bezsilnego, oburzenie, jakie to wywołaćby musiało, strach zemsty, powstrzymały gwałtowne pierwsze postanowienie. Zembrzyński powiedział sobie, że mu rzuci w oczy rękawiczkę i zemściwszy się słowy, odjedzie. Chciał, ażeby szambelan wiedział, iż on całe życie nosił się z myślą zemsty, że dla niej pracował, męczył się, znosił nędzę i że temu tajemnemu prześladowaniu winien był w większej części ruinę swoją i rodziny. Układał plany, jak to ma powiedzieć, jakich użyć wyrazów, lecz wśród snucia projektów napadały go i trwogi i niecierpliwość. Powracał do pierwszej myśli opoliczkowania z namiętą pasyą, to znowu słabł i chciał z dumą wystąpić słowem tylko i wyrzutem.

Cały dzień spędził na tém trapieniu się myślami, na przerabianiu swęj mowy, na rojeniu o tém spotkaniu, a gdy nazajutrz, drżący z niecierpliwości, siadał do powozu, nie był pewnym, jak postąpi, czy go namiętność uniesie, czy wspaniałomyślność, czy złaje, czy przebaczy, czy się porwie...

W takim stanie rozdrażnienia wysiadł Zembrzyński z powozu i poszedł za Gozdowskim do pokoju szambelana.

Był to, dziwném zrządzeniem wypadku, ten sam pokój, ten sam na boku stał w nim dotąd stół, przy którym Zembrzyński niewinnie został opoliczkowany. Gdy wszedł, żywo jeszcze jakby wczorajsza przypomniła mu się cała ta scena, i na-

nowo wybuchnęła żądza zemsty, ale się pohamował.

Przed nim stał z miną pańską, z całą powagą swą, starzec siwowłosy, mimo wieku tak jeszcze krzepki i imponujący swą postacią, jak przed pięćdziesięciu laty. Twarz jego miała wyraz tej pewności siebie, tej dumy pańskiej, przed którą Zembrzyński dawniej drżać był nawykł. Był to ten sam, od którego chłopakiem ubogim uciekł. Dziś mienie, spokój, honor nawet jego były w rękach mściwego człowieka, który dożył uroczystej chwili porachunku.

Szambelan podszedł kilka kroków i grzecznie powitał Zembrzyńskiego. Ten kocie swe oczy wlepił weń i milczący, wzrokiem go przeszywając, szedł z wolna, nie mówiąc nic; myśli i wyrazy wirowały mu po głowie i ustach...

Oglądał się, czy nie było zasadzki... ale pokoje były puste i drzwi pozamykane. Od lat pięćdziesięciu nie zaszła tu prawie żadna zmiana: poznawał sprzęty, przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły. Tylko ks. Norbert z młodego i żywego mężczyzny stał się starcem, obleczonym majestatem wieku.

Spojrzenie Zembrzyńskiego i wyraz jego twarzy tak dolegały szambelanowi, iż nareszcie, oczy spuściwszy, aby nań nie patrzeć, sam postanowił przemówić, by nazbyt przeciągnięte przerwać milczenie.

— Witam waćpana dobrodzieja, odezwał się szambelan i najprzód mu dziękuję za jego uprzejmość, iż chciałeś się do mnie fatygować.

Nim się zebrał na odpowiedź Zembrzyński, wargi sobie do krwi pokąsał.

— Nie uprzejmość żadna mnie tu sprowadza, zawołał, mylisz się wasza książęca mość, przyjechałem w innym celu.

— Zawsze to z jego strony dla nas... dla mnie bardzo pochlebna atencya.

— Nie z atencją przybyłem, mości książę, głosił podchwycił Zembrzyński, inny mam cel.

Uderzony wyrazami i tonem, szambelan się wyprostował i spojrział z góry.

— Radbym go wiedział, rzekł sucho, siadaj a-sindziój.

— Dziękuję, będę mówił, stojąc, odparł gwałtownie Zembrzyński.

— Jak się podoba, ale ja z memi staremi nogami stać nie mogę, pozwolisz, że siadę.

I z największym spokojem szambelan siadł. Spojrzął na gościa, spotkał kocie jego oczy, lecz wzroku ich wytrzymać nie mogąc, swoje od nich odwrócił.

Zembrzyński syczał, nie mogąc przyjść do słowa, spokojność starca go roznamiętniała.

— Nie wiem, czy w. ks. mość dawne czasy dobrze dziś sobie przypominasz, począł, trzęsąc się niemal. Co do mnie, ja mam pamięć doskonałą.

Lat temu pięćdziesiąt i kilka, mości ksiązę, na jego dworze służył ubogi chłopak, który nie mógł sobie zasłużyć na łaski pańskie. Bito go i pędzono pod zły humor... Oto przy tym stoliku, mości ksiązę, racz sobie dobrze przypomnieć — tam... ten chłopak niewinnie dostał od was policzek. Tym chłopakiem jestem ja, uderzył się w pierś, dzisiaj przychodzę ci go oddać.

Książę zrazu znać nie zrozumiał, potem słupiał w miarę, jak słuchał, naostatek zerwał się, wstał i wyprostowany jak posąg, rękę trzęsącą się naprzeciw siebie wyciągnął.

— Ha! boisz się, zawołał Zembrzyński, bezsilny stary!.. Jesteś dziś w moich rękach, na mojej łasce... Lecz cóż to znaczy, gdybym ci dał policzek? Ja ci dam raz w serce, bo ci powiem to, co przed tobą ukrywają i tają, co cię zabije! Jesteście przezemnie bankrutami, w Brańsku siedzicie na łasce, nie macie nic... jesteście żebracy... gorzej, bo zostajecie ze sromotnymi długami na sumieniu... Rozumiész to, mości ksiązę? To wszystko zrobiłem ja! Podpomogłem do ruiny, szczybiłem, gryzłem, jak robak wpiłem się w wasze ciało... i mam tę pociechę, że dokazałem, czego pragnąłem... Pójdziecie z torbami, jasnie oświeceni książęta! Cha! cha! z torbami! cha! cha!

Nieruchomy stał stary ksiązę, słuchając i patrząc oczyma osłupiałemi, jakby mowy téj zrozumieć nie mógł. Wszystko, co mu się obijało o uszy,

zdawało się czémś tak niepojęcie dziwném, że Zembrzyńskiego wziął za waryata. Jedna okoliczność, wspomnienie policzka danego niewinnie, który on sobie całe wyrzucał życie, nadawała téj scenie prawdopodobieństwo.

Na gwałtowną mowę, szambelan do podobnego apostrofowania nienawykły, nie umiał odpowiedzieć, takim tonem nikt nigdy do niego mówić się nie ośmielił, nie rozumiał, co to mogło znaczyć... Słuchał więc, a gdy zapęrzony Zembrzyński mówić zaprzestał, namarszczył tylko brwi i rzekł:

— Co? co? co to jest? mów asindziej jaśniej... powoli? Nie rozumiem.

— **A!** wasza książęca mość nie rozumiesz? jak-to? i nie pamiętasz niewinnie mi danego policzka? he? Naprawdę, tobym za niego może i wdzięcznym być powinien, bo on mnie zrobił człowiekiem. Gdyby nie to pragnienie zemsty, jakie on we mnie obudził, byłbym się może zwał, spadek po stryju stracił, a tak... skąpiłem, szachrowałem, ciulałem, zbierałem, pókim nie dorobił się tyle, aby całym ciężarem mojego majątku sięść wam na karku i ssać... Cha! cha! To może i tego nie rozumie w. ks. mość, żeście bankrucil...

— Nigdy żaden Brański nie zbankrutował! zawołał książę szambelan, rumieniąc się cały.

— Doprawdy? a dla czegóż?

— Dla tego, że każdy oddał do koszuli, jeśli komu był winien.

— Ale wy dziś i koszulę oddawszy, zostaniecie dłużni! podchwycił Zembrzyński, i to, co masz na sobie, nie jest już twoje. Winnicie Garbowskiemu więcej, niż warto to, co wam pozostało. Ja wam odbiorę pół Brańska, które wygrałem... i pójdziecie z torbami...

Książę ponuro w ziemię spojrział... zdawało się, że dreszcz jakiś przebiegł po nim; siadł i powlókł ręką drżącą po czole.

— Mów powoli, rzekł cicho, mów powoli. I to asindziej tego cudu dokazałeś? przez zemstę?

— Tak! ja! ja! roześmiał się zwycięzko Zembrzyński, nie macie nic... ja wam zabieram wygrane ziemie, a reszta na spłatę długów nie starczy.

Starzec popatrzył nań długo; w tém wejrzeniu przeszły z kolei uczucia różne, milczał, wreszcie się odezwał:

— I jesteś asindziej szczęśliwy teraz? zadowolony? spokojny?

Zembrzyński zabelkotał coś... spodziewał się wybuchu... znajdował niewzruszone męstwo jakieś, które po ochłonięciu z pierwszego wrażenia wracało...

— Będę szczęśliwy, odpowiedział, gdy was zobaczę upokorzonych, odartych, żebrzących, na barłogu...

— Mój panie Zembrzyński, szkoda że to nie może być, odezwał się szambelan zwolna, majątek możecie sobie zabrać. Większe od nas rody zubo-

żały nieraz, a nie były ubóstwem upokorzone... bo my potrafimy nasze ubóstwo lepiej nosić, niż ty swoje bogactwo. Żebrać nie będziemy... Jam stary, umrę prędko; dzieci pójdą pracować. Moje resztki i gałgany wyniosą tyle, ile twoja fortuna. Zatem, mospanie Zembrzyński, gdyś swoje sprawił... a oddałeś mi policzek... bywaj zdrów i idź z czystym sumieniem, jeśli możesz...

Zembrzyński zbladł z gniewu... ręka mu drżała, myśl zrywała się namiętnie, budząc go, by się targnął na starca; lecz szambelan, który zwykle chodził z laską i miał ją przy krześle, od niechceńia obojętnie wziął ją do ręki i bawił się ciężką jej gałką złoconą. Zembrzyński postrzegł, że nicby łatwiejszego nie było, jak w głowę nią dostać za pierwszym gwałtowniejszym poruszeniem.

— Masz mi asindziej jeszcze co do powiedzenia? spytał stary.

— Nic więcej, mości księżę, chciałem ci przypomnieć obelgę... i dowieść, że nad robakiem nawet znęcać się nie trzeba, bo i robaki kłusają.

— Dziękuję waszmości za naukę, odparł zwolna szambelan. Co się tyczy policzka, winien byłem, przyznaję; a jeśli chcesz, powiem ci, iż o przebaczenie proszę. Ja ci też twą zajadłość przebaczam... Nie mogło inaczej być... zamało miałeś serca, abys się mścił inaczej i szlachetniej. Rzeczy więc skończone; idź asindziej z Bogiem, idź z Bogiem!

To mówiąc, zadzwonił stary ręką drżącą, wszedł



kamerdyner... oczyma księżę mu wskazał gościa, któremu szeroko drzwi otworzył. Ks. Norbert wstał, postąpił krok i uklonił się spokojnie a poważnie.

Zembrzyński zmieszany, zły, rzucił nań okiem mściwem... dopadł progu i wybiegł, znać obawiając się pogoni, bo znalazłszy powóz przed ganikiem, rzucił się weń i kazał pędzić, co koń wyskoczy do domu.

Chwilę potem, jakby upojony, szambelan pozostał sam z sobą... oparty o stół, myśląc, co ma począć. Nawykły wszystko czynić i przedsiębrać z Bogiem, ręką słabą przeżegnał się; potem targnął dzwonek... Wszedł komerdyner.

— Prosić księcia Roberta, rzekł.

Silnej natury mężem był ks. Norbert. Cios, który w niego uderzył, zachwiał nim ledwie na chwilę; teraz już ta dusza spokojna znowu wracała do pierwszego stanu... Zbięrał myśli i męztwo całe na przyjście syna.

Ks. Robert, który całej doniosłości tych odwiedzin wcale nie przeczuwał, wszedł, sledząc niepokojnie w twarzy jego oznak, jakie na niej zostawiły. Znalazł ojca wzruszonym, lecz z męstwem wielkiem i wysiłkiem stawiającego czoło losom.

— Żłescie czynili, odezwał się powoli, zesłałym nieco głosem, żescie przedemną taili wszystko... Ten człowiek mi odkrył położenie nasze. Sam się przyznaje, że był nieszczęścia naszego przy-

czyną; mścił się na mnie... za nieszczęsny policzek...

Spuścił głowę stary.

Robert rzucił się ścisnąć go za nogi, a stary się rozplakał.

— Robercie, wierzaj mi, ja zniosę, co potrzeba, mężnie, i nie stęknę... mów mi prawdę! Ten człowiek nie kłamał?

— A! ojcze drogi, może potrafimy ocalić coś, nie wiem, przygotować się jednak potrzeba do tego, co najgorszym być może.

— Spokojnie tylko, spokojnie, mówił ks. Norbert, a Stella? wie już ona? a generał?

Robert zmilczał o generale.

— Stella, rzekł, najwięcej z nas wszystkich ma mężstwa.

— O! to szlachetna natura, to serce piękne! zawołał stary, jam tego był pewny! O mnie się nie lękajcie! Nie trzeba tracić ani chwili... nie należy kłamać, ani szukać wybiegów... oddać, oddać wszystko! Trochę pieniędzy i klejnotów jest u mnie, proszę to zabrać, zapłacić... sprzedać srebra, obrazy, sprzęty, wszystko... wszystko. Nikt na nas się żalić nie powinien.

Zadumał się chwilę.

— Jabyś chciał jak najprędzej ztąd oddalić się, dodał, mnie nie przystoi siedzieć tu, otoczonemu dostatkami; ja potrafię być ubogim... ja chcę swoją część z tej ofiary dźwigać. My winni, czy los,

czy złość, nie wchodzę—stało się. Bóg zsyła krzyż, umykać ramion zesłanemu przez Pana buntem jest. Za co ja mam być lepszy?... Ja chcę wspólnie cierpieć z wami. Wy pewnie potracicie głowy, ja muszę myśleć o wszystkiém. Jeśli się nie czujesz na siłach, Robercie przyslij mi kogo, należy się zająć interesami. Posądzam, żeście, szanując mój spokój, wiele dla niego poświęcili, dziś, gdy ja już wiem o wszystkiém... trzeba czas stracony odzyskać.

— Ja jestem na rozkazy ojca, rzekł Robert.

— Brańsk musimy opuścić... inwentarze, ruchomości posprzedawać, ubogim ludziom żeby grosz nie zaległ; niech nikt na nas nie płacze... Nie zjadajmy tego, co nie nasze. Wszakże mamy dworek z ogrodem w Lublinie? Kto w nim mieszka? co się z nim dzieje?

— Wynajęty, rzekł Robert.

— Bądź co bądź, trzeba go odebrać, wyporządzić... przenieść się. Dla mnie dość izby jednej.

Niespokojny poszedł do zamczystego biurka szambelan.

— Czekaj, rzekł, jam tu zbierał, nie sądząc, by się to tak na złą godzinę przydało!.. Co tu jest, zabierz sobie, płac... proszę cię, płac... nie chcę nic mieć na sumieniu.

I ręką drżącą począł wyrzucać szambelan z szufladek zielone woreczki z dukatami. Było ich tam

kilka tysięcy. Robert powiedział sobie, że je zachowa na ojca potrzeby.

— Ale ja w tém wszystkiém chcę widzieć jasno, bez złudzeń, mówił niespokojnie, trzeba mi obrachować wartość majątku... wszystkie ciężary... co od niego oderwie proces... co się należy sługom.

— Drogie ojcze, przerwał Robert, wszystko się spełni, jak rozkażesz, ale dziś uspokój się, odetchnij. Cios ten zbyt niespodziany... umysł i serce oswoić się z nim muszą.

— Tak... tak... lecz w nieszczęściu jedna praca i zajęcie dają siły do zniesienia go. Boję się, bym spoczywając, przez myśl własną nie został rozszarpany... lękam się o siebie... Nie mówcie nic generałowi, dopóki nie wyzdrowieje... proszę was... ja sam mu oznajmię i potrafię powiedzieć.

Szybko a gorączkowo wyrzywały się wyrazy z ust szambelana, lecz w końcu słabnąć zaczął, wsparł się na dłoni... zakrył oczy, zamilkł. Ręką tylko żegnał syna, wskazując mu, ażeby odszedł.

Robert oddalił się powoli.

---

## E P I L O G.

W pięć lat po opisanych wypadkach hrabia Mościński, wydawszy córkę za księcia także, ale nie mającego nic, oprócz tytułu i trancuzczyzny, przez Szwajcara mu wpojonćj, osadziwszy młode

małżeństwo w owym pałacu z żółtymi kolumnami, sam, nie chcąc być zawadą nowemu stadłu, wyjechał do Warszawy. W tydzień po przyjeździe, błądząc tęskny po mieście a szukając znajomych, spotkał elegancko ubranego jegomości, już wcale niemłodego, który mu się z uśmiechem kłaniał. Na nieszczęście hrabia miał i krótki wzrok i krótszą jeszcze pamięć tak, że przypomnieć sobie nie zdołał, kto to mógł być taki. Pamiętał, że go gdzieś widział, ale nazwiska i miejsca, w którym się poznali, zapomniał. Gdy po raz wtóry w kilka dni znowu się na ulicy zetknęli, a ów znajomy-nieznajomy uklonił się hrabiemu, ten go zatrzymał...

— Jak się pan dobrodziej miéwa? (Spodziéwał się, że w rozmowie potrafi się czegoś dowiedzieć.)

— Dziękuję hrabiemu. Pan hrabia tu oddawna? na długo?

— Ja? od kilkunastu dni; na jak długo, nie wiem.

— Sam?

— Tak jest... córka moja wyszła za księcia C... i została w domu. Sam jestem tu, a co gorzej, jakos w Warszawie niewiele znajduję dawnych znajomości. A pan dobrodziej?

— Ja teraz tu mieszkam, rzekł nieznajomy, od czasu jak Brańsk został sprzedany.

Hrabia dopiero teraz przypomniał sobie, iż tego pana widywał w Brańsku, gdzie, jak mu się zdawało, był czéms nakształt plenipotentą, przyjaciele domu. Był to w istocie pan Gozdowski.

— Brańsk sprzedany! słyszałem, słyszałem, uboléwałem, ale szczegółów żadnych nie wiem.

— Gdyby to pana hrabiego zająć mogło, najlepiej znając te nieszczęśliwe interesa i skład okoliczności... opowiedziałbym jak najdokładniej.

— **A!** proszę bardzo! zawołał hrabia, nudzę się w tej Warszawie, będzie mi wielce przyjemnie spędzić z nim chwilę. Chodźmy na obiad do Bouquerel'a, zjemy go sobie w gabinecie.

Gozdowskiemu milszym nikt być nie mógł nad tego, co go na dobry obiad zapraszał. Chwycił więc rękę hrabiego z gorącą wdzięcznością i poszli. Zasiedli do stołu w kątku; po piérwszych żalach i westchnieniach nad losem ksiąząt kochanych, Gozdowski tak opowiadanie swe rozpoczął:

— Upadek tego domu oddawna przewidywać było można, a nikt go wcześniej nie widział ode mnie, lecz zaradzić stało się niepodobieństwem. Mały, lichy człowieczyna, niejaki Zembrzyński, któremu ksiązę szambelan, panie świeć nad duszą jego, dał w ucho, gdy był w usługach jego, całe życie poświęcił zemście. Długoby to opowiadać przyszło... dosyć, że na swoim postawił. Wszystko razem na nas spadło. Ksiązę generał, który o interesach wiedział i troskał się niemi, dostał pomieszania zmysłów, a szambelan, gdy jeszcze marzył o świetności i wielkości domu, nagle się dowiedział, że nie mieli nic. Tu się dopiero okazała prawdziwa wielkość duszy tego człowieka.

Zniósł wszystko jak najspokojniej, nie chcąc póty grosza wziąć z majątku, póki długi do ostatniego szeląga nie zostały wypłacone. Posunął to, panie hrabio, aż do śmieszności, ale trudno, słuchać go musieliśmy. Sprzedano obrazy, srebra, powozy, konie, sprzęty, aż do najdrobniejszych pamiątek familijnych. Stary był nieubłagany, księżniczka Stella mu pomagała, dosyć że Brańsk, lasy, i co było gotówki, i co przyszło z inwentarzy, pochłonęli wierzyciele. Jeden tylko mój synowiec Garbowski bardzo się szlachetnie znalazł: chciał czekać, chciał ustąpić, książkę nie przyjął, a wszelako z jego pomocą coś się ocalić dało. I tak miliona wa ta fortuna, podzielona, rozdarta, posprzedawana kawałkami, poszła po rękach. Książętom został dworek z ogrodem w Lublinie na przedmieściu, z kilką morgami ziemi, tyle właśnie, ile oni dawniej gracyalistom swoim dawali, a z majątności ocalało po sprzedaży klejnotów i z tego, co ks. Robert, od ojca wzięwszy, przechował dla niego, może półtorakroć sto tysięcy, to jest mniej, niż oni dawniej miéwali dochodu.

— Proszę! proszę! przerwał hrabia, i cóż z sobą poczęli?

— Największa bięda była z generałem, który zupełnie nieprzytomny, jednak to zrozumiał, iż był w Brańsku i wynosić się nie chciał. Do domu obłąkanych za nie go oddać nie chciano. Ledwie ks. Stella potrafiła wymódlz na nim, że wyjechał.

Osadzono go we dworku, gdzie i szambelan nieboszczyk do śmierci w jednej izdebce przemieszkiwał.

— Zmarł więc ks. szambelan? spytał Mościński z westchnieniem.

— Niedawno, śmiercią chrześcijańską, piękną, jaką daj Boże każdemu. Pobłogosławiwszy dzieci, pomodliwszy się, zapragnął się zdrzemnąć i usnął na wieki. Kazał się pochować przez pokorę w prostej sosnowej trumnie.

— A general?

— Generał żyje i zdrow zupełnie, ale bredzi. Ję nadzwyczaj wiele, po mrozie chodzi w koszuli i zbroi żelaznej, bo ją często wdzięwać lubi. Śpiewa pieśni pobożne, czasem godzinami warty odbywa niby u grobu Pańskiego... pyta się kilka razy na dzień o brata i nie czekając odpowiedzi, mówi o czém inném. Bięda z nim, lecz to szczęście, że spokojny, byle Żydów nie widział, bo tłucze ich jako niewiernych Saracenów i jednemu miednicę na głowie rozbił... Zresztą dla wszystkich jest grzeszny a dla Roberta i Stelli powolny. W Robercie widzi Ryszarda Lwie serce, w Stelli najczęściej królowę Jadwigę, lub Blanchę.

— A tych-że dwoje, brat i siostra? spytał hrabia, nie ożenił się Robert?

Gozdowski potrząsł głową.

— On się nigdy nie ożeni! Gdyby już to uczynił, lepiejby było, bo dawny romans trwa; ale hr. Natalia iść za niego nie chce, aby mu świata nie



zawiazywać, a on się nie żeni, bo sądzi, iż koniec końcem ona pójdzie za niego. A tymczasem życie tęskne, nudne, bez celu. Cały dzień cygaro, i to liche pali, bo na dobre mu nie stało, książki przewraca, bo nie czyta, lub chodzi zamysłony.

— A księżniczka Stella?

— To jest, panie, zawołał Gozdowski, widelec podnosząc do góry, to jest anioł w ludzkiem cieiele! Ta jest wszystkiem w domu, a do tego słońcem, co ogrzewa, głosem co pociesza... siostrą miłosierdzia. Do ostatniej chwili pielęgnowała ojca, pielęgnuje generała, troszczy się o brata... zawsze o kogoś, nigdy o siebie... Miała ona takiego, bardzo majątnego chłopaka, mojego kuzyna, co się w niej szalenie zakochał, ale... trafiła kosa na kamień... Garbowski się dowiedział, że księżniczka, choć wyjść za niego była gotową, nie kochała go... więc pierścionek już mając, zrzekł się jej ręki. Był to, panie hrabio, największy szalaławiła, jakiego kiedy świat widział. I co pan powie? wpływ tej kobiety uczynił go statecznym, zmienił na innego człowieka. Oddał księżniczce pierścionek, a mimo to został przyjacielem domu; prosił o jedyną łaskę, aby mu bywać pozwolono, przesiaduje z niemi niemal całe dni i kocha się zapamiętale. Czemu się nie żeni? Bóg go wie... bo ja sądzę, że i ks. Stella nicby przeciwko temu nie miała... a że miłości szalonej niema, toby się bez niej obeszło.

— A. zapewne! to tylko zawada do szczęścia

prawdziwego, przerwał hrabia, wychylając kieliszek bordeaux. I ja bardzom rad, że moja Alfonia poszła za księcia przez rozsądek, a on ożenił się przez szacunek. Takie małżeństwa są zawsze najbezpieczniejsze, z miłością zaś, jak z zapalkami w kieszeni... niech ją!...

Gozdowski uśmiechnął się z tego trafnego porównania amfitryona.

— Ale proszę acana dobrodzieja, mówił hrabia, cóż tedy więcej? co więcej? jak żyją? co robią?

— Żyją w dworku pod Lublinem, który jednak, choć stary, księżniczka potrafiła tak upiększyć, tak ubrać, że tam ludzie się schodzą przyglądać, jak na dziwowisko. Ogródek cacko. Z pałacu naturalnie zostało wiele rzeczy, a że Brańsk nabył Garbowski... zabrali, co chcieli. Było aż nadto czem pokoiki ubrać, a smaku im niebrak. Generał ma wielki pokój do ogrodu i swego służącego, który go nie odstępuje. Księżniczka stoi we dwóch pokojach obok, aby w razie potrzeby mogła dobieść do niego; ksiązę Robert z drugiej strony od ogrodu; od ulicy są dwa pokoje bawialne. Życie nadzwyczaj skromne, a na nich doprawdy, po tych dawnych wygodach i nazwyczajeniu do zbytku, ani znać, że wielu rzeczy wyrzekać się muszą... Księżniczka Stella chodzi czarno, a piękniejszą jest, niż kiedykolwiek była, ks. Robert, jako żołnierz, nawykł się obchodzić małym... Jedyne ich towarzy-

stwo młody Garbowski, albo kto ze starych wiejskich przyjaciół.

Hrabia kiwał głową nad pieczysem... tak go to opowiadanie przejmowało. W milczeniu nalał kieliszek szampańskiego wina Gozdowskiemu a drugi sobie, tręcili się i posmakowali. Rozmowa na chwilę była boleścią nad losem książąt przerwana.

— Mój Boże, takie piękne dobra! wtrącił Mościński, co to tam przy skrzętném gospodarstwie można z tego było zrobić... takie inwentarze! Wszystko diabli wzięli... At, nieład! nierząd!

— Ah, panie hrabio, fatalizm — *ananke!* rzekł Gozdowski.

Hrabia ostatniego wyrazu czy nie dosłyszał, czy prędzej niezrozumiał, rzekł pospiesznie.

— *A nianki! nianki!* tak, gdzie wiele nianiek, to wiadomo...

Gozdowski zamilkł, wielce zdumiony.

— Cóż, proszę pana dobrodzieja, niechże mnie pan powieć, począł zaraz Mościński, co się stało z tym... z tym... jakże się zwał... co to się mścił, co wygrał proces?

— A... z Zembrzyńskim?

— Tak! z tym, co w twarz dostał.

— Pan hrabia wie, że gdy proces wygrał, uparł się z samym starym szambelanem traktować, wlaź do niego i człowiekowi, który o Bożym świecie nie wiedział, nagle wyśpiewał, że bankrut, że bez koszuli wyjdzie... i t. p.

— A cóż szambelan?

— Książę? jam myślał, że go apopleksya ubije. Gdzie zaś! tak to zniósł i tak mu głowę zmył a ki-jem go pono nastraszył, że ten, co tu przybył z wielką fantazyą, pojechał jak zmyty.

— Ho! ho! bo ten książę Norbert, przerwał hrabia, z powagą wielkiego znawcy ludzkich charakterów, książę Norbert to był prawdziwy senator, statysta i człek wielkiego majestatu. Przed nim każdy się czuł małym, panie. To był senator, panie, to był senator!.. A cóż tedy ten... jakże się zowie?..

— Zembrzyński. No cóż pojechał do domu, żółtaczki dostał, sprowadzili doktora Cieciorkę zapóźno, cóś tam żółć zaczęła w nim dokazywać i umarł sobie jeszcze wprzód nim szambelan. A dobrze mu tak, bo był zły...

— A z majątkiem co się stało?

— Podobno, że się jacyś dziedzice znaleźli, bo na majątek zawsze się oni znajdują...

— O tak, uśmiechnął się Mościński. Dziwne dzieje... i oto dom zacny, wielki, poczciwy, gniazdo cnoty prawdziwe... wiatr rozniósł i zniszczył... Szkoda, panie, szkoda... tylko to już ratować było trudno. Oni pewnie i do mnie żal mają, dodał hrabia, lecz niesłuszny. Nie szło mi o majątek, ale o szczęście córki, którego ks. Robert z tą nieszczęśliwą miłością w sercu nigdy zapewnić jej nie mógł. Ja bo, panie, miłości zawsze jestem przeci-

wny, to panie głupstwo. Żeniłem się bez miłości, żyłem dzięki Bogu bez niej i dziecko takem wydał, że tam o tém nie słyhać. Szacunek, zgoda... i dosyć. Szkoda domu! szkoda domu!...

— Jeszcze to, panie hrabio, nie ostatnie słowo o nim, rzekł Gozdowski. Książę Robert może się ożenić, księżniczka może wyjść za mąż...

— Wątpię, wątpię, wtrącił, doléwając wina, hrabia. Ale, ale, a cóż się stało z tą panną (ładna panna) co przy księżniczce była?

— Z panną Antoniną... Ruszył ramionami Gozdowski i uśmiechnął się. Wzięli pono Żurbowie nadal tę samą dzierżawę u nowego dziedzica. Dobrzy ludzie! Zenon, jej brat, niby to prawnik... myśli zostać adwokatem; ano myśli i nie namyslił się dotąd. Panna Antonina za mąż iść nie chce; mocno ją posądzam, że się w księciu Robercie kocha. Wychowała się z księżniczką, nabrała pańskich obyczajów, nie bogata... gdzie to tam jej męża znaleźć! Raz wraz to ona dojeżdża do Lublina, to pan Zenon... nieodstępni goście. Mnie się zdaje, że to się tak wszystko zestarzeje i zeschnie... Ale ludzie najczcigodniejsi... Mnie też, wzdychając, dokończył plenipotent, spotkał ten los, żem, życie strawiwszy na ich usługach, po długich latach znalazł się na bruku, stary, siwy i już na niewiele przydatny.

Hrabia sądząc, że tu może nastąpić przymówka

o jakie miejsce w jego dobrach, albo o rekomendacją, chrząknął głośno i zaczął kaszleć bardzo... Gozdowski kończył:

— Szczęściem że tam miałem kapitałik swój po ojcu i jakiś grosz oszczędzony, więc z tym się tu wyniosłem do Warszawy i żyję... aby do końca, bo późno już na nowo rozpoczynać zawód, a panowie teraz plenipotentów nie potrzebują... Prawdę rzekłszy, dodał, panów i niema.

— Hę? spytał hrabia, hę? no, są gdzieś niegdzies, tylko czasy cięższe nastały.

— Czasy bardzo ciężkie! powtórzył Gozdowski.

— Otóż proszę, proszę! Tak się tedy tym Brańskim marnie zeszło! powtórzył Mościński, zapalając cygaro, bardzo mi ich żal!

— Któż ich nie żałuje?

— Myślę jednak, że sami sobie winni, mrucał hrabia. Od dawnych tam lat na łasce Bożej było wszystko.

— Złość ludzka też się przyczyniła, przerwał Gozdowski. Zembrzyński ten ich podkopywał, piędździe pod innemi nazwiskami tkał, procenta zaległy... rosło to, rosło i nagle, gdy się upomniano o wszystko... nie było już ratunku.

— Nie było ratunku! westchnął kuzyn. Przyznam się, że teraz w tej niedoli radbym zobaczyć i odwiedzić ks. Roberta a oświadczyć im kondolencją swoją...

— To nie byłoby trudno, rzekł Gozdowski, bo on często bywa w Warszawie.

Hrabia bojaźliwie się obejrzał... Było to rzucone na wiatr; lękał się, by go los za słowo nie chwycił. Wstał prędko od stołu, zapiął się, pożegnał i spojrzawszy na zegarek, wymknął się, myśląc, iż długo w mieście bawić nie wypadnie.



KONIEC TOMU DRUGIEGO.







—

2

1/4 30

383203

30 00

WISZA SZKOŁY PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA

106313

Biblioteka WSP Kielce



0149227